

Rozdział 1

Często mówi się, że dzieci są błogosławieństwem rodziców, i chociaż owo błogosławieństwo może się okazać niełatwe, opinia ta jest w ludzkich umysłach zakorzeniona tak głęboko, że brak potomstwa w tej czy innej rodzinie staje się przedmiotem ogromnego zainteresowania, zwłaszcza gdy rzecz dotyczy człowieka majątnego.

Właśnie o tym pani Bennet – posuwająca się w latach, choć nie w owej godności i dystynkcji, jaka powinna towarzyszyć dojrzałemu wiekowi – miała się przekonać przy okazji urodzin swego wnuka, panicza Edwarda Darcy'ego.

– Moja droga pani Bennet – rzekła pani Long, która przybyła do Meryton Lodge, by odwiedzić swą długoletnią przyjaciółkę – mam nadzieję, iż nie zjawiam się w nieodpowiedniej chwili! Kiedy już wyruszyłam w drogę, przypomniałam sobie, że to dzień w istocie niezwykły; można by powiedzieć: święto! Wszak w tym szczęśliwym dniu nie wolno zlekceważyć owocu małżeństwa twojej córki Elżbiety z panem Darcym... nawet jeśli dojrzał z wolna i niepewnie! Żadne nieporozumienia w rodzinie nie mogą powstrzymać młodzieńczego oczekiwania czystej przyjemności i dowodów uczucia.

Pani Bennet udawała, że nie wie, o co chodzi.

– Sam środek lata...! Obawiam się, moja droga pani Long, że ten upał jest dla ciebie nieco za duży. Co prawda Meryton Lodge nie leży na tyle daleko, by nie można tu było przyjść pieszo, a drzewa, które drogi pan Darcy posadził dla ich cienia, mają już siedemnaście lat, wszelako lękam się, że trochę jest pani gorąco, droga pani Long. – I zadzwoniła po zimną lemoniadę, którą szybko przyniesiono.

Pani Long wciąż zaprzeczała, że dręczy ją upał, sądziła bowiem, iż będzie jeszcze goręcej.

– Grono moich przyjaciół i znajomych stało się niezmiernie liczne – mówiła dalej, upiwszy łyk lemoniady. – To prawda, że kilku – tu rzuciła okiem na panią Bennet – opuszczając ziemski padół, dopełniło żywota...

– Ma pani przed sobą wiele lat, pani Long – przerwała jej pani Bennet, nie mogąc pojąć, do czego zmierza ta rozmowa.

– ...jednak do każdego z przyjaciół mej młodości muszę teraz dodać dwa kolejne pokolenia – ciągnęła pani Long – i właśnie dlatego zawsze mam pod ręką kalendarz. Mniemam, iż wolno mi radzić, abyś robiła to samo, droga pani Bennet.

– Mam swój własny kajet, w którym notuję ważne terminy – odparła pani Bennet. – Nie byłabym zaskoczona, słysząc, że i ty postępujesz identycznie, droga pani Long.

– Nie mam żadnych trudności w zapamiętywaniu terminów – rzekła pani Long. – Nie można jednak oczekiwać, bym pamiętała wszystkie urodziny, wszelkie pory rozpoczęcia i zakończenia nauki, czy każdą bolesną rocznicę śmierci któregoś z drogich przyjaciół! – Mówiąc to, pani Long otarła oczy, przyglądając się bacznie pani Bennet, która zrobiła to samo.

W pokoju zapadła cisza, a pani Bennet pochyliła głowę, wspominając tych, których niegdyś kochała, a potem niepowetowanie utraciła.

– Tak, pan Bennet pochowany został w merytońskim kościele osiemnaście lat temu. W dniu świętego Michała – rzekła pani Bennet, podejmując ten kierunek rozważań z większym ożywieniem. – A kochana Mary... no cóż, w kwietniu minęło sześć lat od chwili, gdy umarła na gruźlicę, czyniąc nieszczęsnego pana Ropera niepocieszonym wdowcem.

– Święta prawda – przyznała pani Long. – Jednakże rozwodzisz się pani nad przykrymi stratami, jakich doznałaś, nie zaś nad owymi radosnymi wydarzeniami dzisiejszego dnia.

Na te słowa pani Bennet podeszła do okna, mówiąc, iż nie znajduje lepszego sposobu na uczczenie letniego dnia, niż wyjście do ogrodu, by podziwiać róże, co też natychmiast zaproponowała pani Long.

– Gdyby twój kalendarz, droga przyjaciółko, był tak gęsto zapisany jak mój – powiedziała pani Long, której już nic nie mogło odwieść od powziętego zamiaru – wiedziałabyś, że dzisiaj przypadają urodziny twego wnuka – szesnaste, ni mniej, ni więcej! Twego własnego wnuka! Przyznam, że wyruszyłam w drogę, spodziewając się również, iż zastanę panicza Darcy w Meryton Lodge, u swojej kochanej matki Elizabeth i jej oddanego małżonka, pana Fitzwilliama Darcy. Wszak państwo Darcy, o czym często sama nu pani

opowiadałaś, zawsze w tym czasie przyjeżdżają z Derbyshire, podróżując do swych walijskich posiadłości lub udając się na kontynent. Przy wielu okazjach wspominała pani, że warto odbyć tę okrężną podróż, jeśli nagrodą jest wizyta dziedzica Pemberley u babci.

Pani Bennet odparła, że Edward jest w szkole, a jej córka i zięć nie mają zwyczaju opuszczania Pemberley wcześniej niż w sierpniu.

– Edward nie może być w szkole – oświadczyła triumfalnie pani Long. – Wszak w Eton są już wakacje. Sama byś to pani wiedziała, droga pani Bennet, gdybyś, tak jak ja, zapisywała wszystko w kalendarzu.

Pani Bennet nie znajdowała już żadnego argumentu, zaś pani Long, odczuwając dla niej współczucie, wróciła do nader wyeksploatowanego tematu ich rozmów, którym była regularność (bądź sporadyczność) zaproszeń pani Bennet do Pemberley.

– Możesz, oczywiście, mówić, że ta podróż jest dla ciebie niezmiernie męcząca – rzekła pani Long – lecz lady Katarzyna de Bourgh jest równie zaawansowana w latach jak ty, moja droga pani Bennet, a jak słyszę od pana Collinsa, jeździ do Pemberley, kiedy tylko ma ochotę, by zobaczyć swego siostrzeńca, pana Darcy'ego. To pewne, droga pani Bennet – mówiąc to pani Long ulegała coraz większej ekscytacji i krążyła po pokoju niemal wpadając na gospodynię – to pewne, że w tych trudnych chwilach córka cię potrzebuje; potrzebuje mądrości starszej niewiasty, własnej matki! Dziwię się, że nie zbierasz się, pani, do drogi, aby być tam przynajmniej z okazji urodzin swego wnuka.

– Będę odwiedzać i podejmować moich krewnych, kiedy ja zechcę! – wykrzyknęła pani Bennet. – Niczemu też nie służy, droga pani Long, słuchanie tego wszystkiego, co ma do powiedzenia pan Collins. Nie mam wątpliwości, że wyolbrzymia on liczbę wizyt, jakie składa lady Katarzyna. Obawiam się też, że pan Collins zrobi więcej dla owej damy niż dla własnych córek, i nieszczęsna Charlotta o tym wie.

– Biedna Charlotta ma tylko córki – ozwała się pani Long, dłużej już nie pozwalając się zastępować w zasięgnięciu najnowszych informacji o charakterze młodego panicza Darcy'ego – ale twoja córka jest dumną matką syna!

– Doprawdy, czasami myślę, że w Longbourn kryje się jakiś duch, który zsyła tam tylko córki! – rzekła pani Bennet. – Pani Collins znajdzie się w identycznej sytuacji, jak biedny pan Bennet: cztery córki i posiadłość Longbourn przechodząca prawem majoratu w ręce... nie wiadomo kogo!

Powiedziawszy to, pani Bennet wyjęła chusteczkę z kieszeni sukni i otarła oczy.

– W Pemberley to się nie zdarzyło – powiedziała pani Long. – Pytam jedynie o postępy młodego Edwarda, mając na względzie przyszłość tak wspaniałej posiadłości, droga pani Bennet. Pamiętam bowiem, wszak opowiadałaś mi to tak dokładnie, że panicz Darcy, ledwie ukończywszy siedem lat, podczas swych pierwszych lekcji historii lubił bić Anglików jako żołnierz walczący po stronie Napoleona! Przypominasz to sobie, pani Bennet? Dziwne... Nawet jak na dziecięcą zabawę... Wszak w przypadku bitwy stanąłby przeciwko własnemu ojcu, czyż nie?

Pani Bennet, westchnąwszy głęboko, przyznała, że w istocie tak właśnie by było...

Rozdział 2

Pani Bennet postanowiła towarzyszyć przyjaciółce aż do bram Meryton Lodge, by pożegnawszy ją tam, udać się do Longbourn. Kilka dni temu Charlotta zaprosiła ją w odwiedziny do dawnego domu. Dzień był przyjemny, a jasne słońce umilało spacer pod drzewami i gdyby nie myśl o pani Long i jej kalendarzu, wycieczka ta byłaby doskonała pod każdym względem.

Co najmniej siedem lat minęło od chwili, gdy Edward Darcy zademonstrował owe szczególne upodobania, które pani Long z taką wyrazistością przypomniała sobie dzisiejszego popołudnia, i można by wybaczyć pani Bennet, że równie długo żałowała swej niemądrej ufności wobec przyjaciółki. Świąteczna wizyta w Pemberley pozwoliła pani Bennet już na pierwszy rzut oka dostrzec osobliwość tego dziecka. Próbowwała regularnie wyrażać córce i zięciowi swoje zaniepokojenie, ale jej uwagi spotkały się z chłodem i czymś, co wydawało się być obojętnością, a nawet pewnego razu (czego pani Bennet nigdy nie zapomniła) została przez samego pana Darcy'ego – i to w obecności lady Katarzyny de Bourgh! – siłą wyprowadzona z galerii.

To prawda, że ośmioletni chłopiec mógł się bawić w walkę po stronie Bonapartego w wojnach na Półwyspie Iberyjskim choćby dlatego, aby odróżnić się od swoich szkolnych kolegów, ale – o czym pani Bennet opowiedziała pani Long po powrocie do Meryton – Edward nie miał żadnych szkolnych kolegów z tej prostej przyczyny, że pan Darcy, jak przystało na człowieka z jego pozycją i majątkiem, nie posyłał chłopca do szkoły. W Pemberley zatrudniono guwernera, który kształcił Edwarda w logice, moralności oraz metafizyce i przygotowywał go do Eton, gdzie chłopiec uczył się przez ostatnie cztery lata. Nie dochodziły stamtąd żadne wiadomości o jakichkolwiek kłopotach, a o fakcie, że po przybyciu do owej szkoły chłopiec najwyraźniej próbował przybrać nazwisko inne niż „Darcy”, pani Bennet dowiedziała się, podsłuchując rozmowę między córkami podczas kolejnej wizyty planowanej w związku ze zbliżającymi się świętami. Chociaż pani Bennet nie podzieliła się tą niepokojącą informacją z panią Long, to jednak przez pewien czas czuła silną potrzebę zwierzeń na temat swego wnuka. W czasie, jaki minął od chwili, gdy Edward został przyjęty do Eton, nie usłyszała żadnej pogłoski o jakichkolwiek kłopotach związanych z postępowaniem chłopca, a już dwa lata upłynęły od dnia, gdy uprzednio zapraszana do Pemberley, została później odsunięta, z powodu niemile przyjętego komentarza na temat jej wnuka. Kalendarz pani Long niewątpliwie odnotował ów upływ czasu. Ale, jak pani Bennet wielokrotnie powtarzała, przyzwyczaiła się do pełnych treści listów od córki i owego „kiedy chcę zobaczyć Darcych, jeżdżę do tego zachwycającego domu w Holland Park, który pan Darcy wybudował dla mnie, bym mogła wprowadzić w towarzystwo kochaną Kitty”.

Pani Bennet oczywiście niczego takiego nie robiła, ponieważ wiedziała, że Elżbieta i zięć są zbyt zajęci i zadowoleni z posiadłości w Pemberley, by odwiedzać Londyn, zaś Kitty była zamężna i wraz z małżonkiem, majorem Courtauldem, mieszkała w Sussex. Lubiła jednak raczyć zarówno panią Long, jak i jej córkę, panią Collins (przyjaciółkę Elżbiety), opowieściami o wspaniałym karnawale, który zaowocował równie satysfakcjonującym małżeństwem. Wszystko, co było zgodne z zasadami Darcych, stało się dewizą pani Bennet, która dochodząc do ogrodu dawnego domu, ponownie zdumiała się swą niegdysiejszą niedyskrecją wobec pani Long. Zwierzenie się

Charlotcie nie wchodziło, oczywiście, w rachubę, ale niesłychana pamięć pani Long obudziła zarówno świeży niepokój, jak i oburzenie ową sugestią uczynioną przez własnego wnuka, że jego babka była Francuzką. Wyrósł już z pychy, to pewne... a jednak pani Bennet czuła potrzebę rozproszenia wątpliwości na temat przyszłego pana na Pemberley.

Pan Collins, powitawszy panią Bennet, gdy tylko weszła w drzwi, zaczął się popisywać najnowszymi ulepszeniami poczynionymi w Longbourn, tak więc uwagi, dotyczące pani Long i jej kalendarza, rychło zastąpiło kolejne rozdrażnienie.

– Zechce pani zauważyć, droga pani Bennet, że przebiłem zachodnią ścianę biblioteki, by można było przejść z niej do oranżerii. Nocą, z książką w ręku, można spoglądać ku Mlecznej Drodze i zastanawiać się nad ulotnością życia, marnością doczesnego świata i sensem wszechświata. Charlotta umieściłaby tu drzewa palmowe i zajmowała się pozłacaniem oraz tynkowaniem, ale – jak jej powiedziałem – nie mieszkamy w Brighton, lecz znajdujemy się w domu osoby duchownej. Wszystko, co jest moje, nie będzie wszakże trwać wiecznie, zostaną bowiem wezwany przed oblicze Pana...

Charlotta z serdecznością zajęła się panią Bennet, pytając o Elżbietę oraz o państwa Bingleyów i ich

liczne potomstwo, ona zaś odparła, że wszyscy cieszą się wybournym zdrowiem.

– Słyszę, że droga Elżbieta zakłada w Pemberley własne mleczne stado – rzekła Charlotta, wskazując pani Bennet fotel w oranżerii – i że ma najlepszą śmietanę i masło w całym hrabstwie. Jest doskonałą panią domu. Zawsze wiedziałam, że tak będzie. Jakże się cieszę, pani Bennet.

Pani Bennet, choć zdeprimowana wielką ilością szkła, jakie otaczało ją w tym nowym pomieszczeniu, będącym ruiną wspaniałej biblioteki pana Benneta, wysłuchiwała tego z zadowoleniem i wahając się, z zakłopotaniem, chciała zrewanżować się takimi samymi uprzejmościami.

– Jakże się miewają twoje córki, droga Charlotto? – To pytanie było wszystkim, na co mogła się zdobyć. – Musisz chyba niecierpliwie wypatrywać owego dnia, gdy każda z nich znajdzie odpowiedniego męża.

– Jeszcze są na to za młode – ze śmiechem odpowiedziała Charlotta. – Jesteśmy szczęśliwi, pani Bennet – stwierdziła, przystępując do wyliczania zalet i uzdolnień wszystkich czterech córek, podczas gdy pan Collins, udając skromność i powściągliwość, wyszedł do ogrodu, by przyjrzeć się nowym sadzonkom.

– Żal mi cię, biedna Charlotto – rzekła pani Bennet, nie bacząc na ową litanię zachwytu. – Jesteś bowiem w identycznej sytuacji, w jakiej niegdyś byłam ja. Longbourn przejdzie na jakiegoś kuzyna, ty zaś nie będziesz miała nic, co mogłabyś zostawić swoim córkom. Wprawdzie ja miałam ich pięć, a ty cztery... chociaż teraz i ja mam tylko cztery, odkąd straciłam moją biedną Mary.

– Jej śmierć była prawdziwą tragedią – rzekła cichym głosem Charlotta.

– Owdowiały Thomas Roper jest niepokieszony. Nie ma drugiej kobiety tak wykształconej jak Mary i on twierdzi, że nie będzie żadnej następczyni...

Charlotta wyraziła zdumienie, iż pani Bennet tak głęboko analizuje uczucia i perspektywy małżeńskie pana Thomasa Ropera.

– ... Napisał do mnie – mówiła dalej pani Bennet. – Okazał wielki hart ducha, godząc się z faktem, iż nie może być dziedzicem Pemberley. Jestem przekonana, że gdy dom i posiadłość dziedziczone są prawem majoratu, jak to się dzieje, o czym dobrze wiesz, zarówno w przypadku Pemberley, jak i Longbourn – tu pani Bennet ściszyła głos wobec bliskiego powrotu pana Collinsa – niektórzy z kuzynów popadają w rozgoryczenie, kiedy na świat przychodzi spadkobierca i zajmuje ich miejsce.

– W rzeczy samej – odparła Charlotta, wyraźnie podążając myślami w stronę, ku której dyskretnie kierowała ją pani Bennet, i po chwili w najuprzejmiejszy sposób spytała o postępy młodego Edwarda.

– Musi się mieć na baczności – rzekł pan Collins, który słysząc ich rozmowę, uprzedził Charlottę i panią Bennet. – Doszły mnie słuchy, że w Eton działa koteria, którą można określić jedynie jako zło. Młody Edward musi być czujny, by uniknąć jej szponów.

– Zło? – zdumiała się pani Bennet. – To z pewnością niemożliwe w tak renomowanej szkole.

– Rodzice bywają bardzo opieszali... – odparł pan Collins, rzucając pani Bennet przenikliwe spojrzenie, wskrzeszając pełną niepokoju myśl o owym kilkuletnim okresie, kiedy pani Long opowiadała Charlottcie i jej mężowi o kapryśnym charakterze młodego Edwarda. – ... i nawet najpotężniejszy w tym kraju bogacz może być mniej zdolny do wychowania dziecka w świadomości dobra i zła, niż skromny wyrobnik.

Słowa te pogrążyły panią Bennet w milczeniu i klimat rozmowy zmienił się dopiero dzięki przybyciu Amy, drugiej córki Charlotty, która była rzeczywiście tak śliczna, skromna i inteligentna, jak tylko można się było spodziewać po czternastoletnim dziewczęciu wychowywanym w ciszy prowincji. Już niebawem więc pani Bennet szczebiotała o przyjemnościach, które roztaczały się przed Amy w rezultacie owych wspaniałych koneksji, jakie miała teraz wdowa po panu Bennecie.

– Poznasz mojego wnuka, Edwarda Darcy'ego, drogie dziecko. Wiedz, że mam dom w londyńskiej dzielnicy Holland Park. W następnym roku urządzę bal dla mojej wnuczki Mirandy, która jest o rok starsza od Edwarda. Będziesz za młoda, aby przyjechać, chyba że twoja droga mama okaże się bardzo wyrozumiała, ale gdy przyjdzie czas, będziesz i ty miała tam swój własny bal. Co byś na to powiedziała, droga Amy?

– Zarówno Amy, jak i jej starsza siostra, będą podejmowane przez lady Katarzynę de Bourgh w Rosings, kiedy osiągną odpowiedni wiek do wejścia w towarzystwo – oświadczył pan Collins, zanim jego córka zdołała udzielić jakiegokolwiek odpowiedzi na propozycję pani Bennet. – Lady Katarzyna zapewnia, że Amy zostanie przedstawiona wszystkim osobom, które mają znaczenie i pozycję. – Ośmielam się sądzić, że będą tam tańce.

– Pierwszy raz o tym słyszę, panie Collins! – wykrzyknęła

Charlotta. – Wszelako nie możemy teraz rozmawiać wyłącznie o naszych dzieciach. Kiedy pani Bennet tak uprzejmie zgodziła się złożyć nam wizytę w Longbourn, miałam nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej o

rodzinie drogiej Lizzy. Jak zapowiada się Edward... jak mu się wiedzie w szkole... ku czemu zaprowadzą Mirandę jej talenty i uzdolnienia...

– Z pewnością ku czemuś lepszemu, mam nadzieję, niż posada guwernantki cudzego dziecka – rzekła Amy z porywcznością, która wprawiła wszystkich w zdumienie.

– Amy, zechciej wyjść z oranżerii i wrócić do swoich lekcji – powiedział pan Collins. – W rzeczy samej los okaże się dla ciebie łaskawy, kiedy jakaś przyzwoita rodzina zaoferuje ci posadę guwernantki, jeśli nadal będziesz miała tak ostry język.

– Jest młoda – rzekła Charlotta, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. – Często, droga pani Bennet, przywodzi mi na myśl kochaną Lizzy z czasów, gdy moja przyjaciółka była dziewczynką. Jakże do niej tęsknię... Jest tak daleko...

– Droga Elżbieta może potrzebować twojej rady i wsparcia – ozwał się pan Collins. – Pozwalam ci, byś złożyła wizytę w Pemberley. Byłbym gotów tak postąpić już kilka lat temu, gdy po raz pierwszy usłyszałem owe wieści... rzecz nie w tym, naturalnie, bym nasłuchiwał takich rzeczy jak owe pogłoski...

– Cóż to były za pogłoski? – wykrzyknęła pani Bennet, wbrew samej sobie żadna poznania całej wiedzy pana Collinsa.

– ... Trzeba też wiedzieć, że moja droga małżonka i ja rzadko opuszczaliśmy Longbourn, by złożyć lady Katarzynie uszanowanie, jakiego wymagają jej zaawansowane lata. Charlotta jest oddaną matką, nasze córki są jeszcze młode, ale zniosą ciężar jej nieobecności. Charlotta, zgadzam się, że powinnaś odwiedzić swą dawną przyjaciółkę, panią Darcy, w Pemberley. Ja mogę przyłączyć się do ciebie później.

Pani Bennet, choć starała się jak mogła, nie otrzymała żadnych dalszych informacji o owych pogłoskach i po krótkiej chwili przyjęła ofertę pana Collinsa, który zaproponował, że odwiezie ją do Meryton Lodge zaprzężoną w kucyka dwukółką.

Rozdział 3

Elżbieta i Fitzwilliam Darcy po dziewiętnastu latach małżeństwa wciąż uważani byli za jedną z najszcześniejszych par zarówno w hrabstwie Derbyshire, jak i poza jego granicami. Opowieści o urodzie i inteligencji pani Darcy, urokach Pemberley i miłym charakterze właściciela tej posiadłości wędrowały wraz ze wszystkimi gośćmi, którzy z niej wyjeżdżali, bardzo zadowoleni ze swego pobytu.

Pani Darcy miała wszystkie przywileje, jakimi powściągliwy los mógł ją obdarzyć: córkę, która odziedziczyła po matce piękne oczy i miłe usposobienie; syna, o którym pewni ludzie mówili, że jest żywym portretem lady Anny (matki pana Darcy'ego), choć niektórym to sprostowanie wydawało się niestosowne, bo kierowało uwagę na jego wzrost, który z pewnością był niewielki. Miała też Elżbieta przyjaciół i niezliczonych znajomych. Jednak to Jane Bingley, mimo wszystkich nowych twarzy, które mogłyby ją wyprzeć z serca Elżbiety, wciąż – wyłączwszy jej męża – pozostawała bliższa swej siostrze niż ktokolwiek inny. Kiedy zaś obie panie – niezmiennie młodzieńcze w pełnym rozkwicie macierzyństwa i urody – wymieniały zwierzenia, każdy przypominał je sobie jako dziewczęta darzące się zrozumieniem i wzajemną troską pod niepraktycznym okiem pani Bennet w Longbourn. Jane miała teraz pięcioro dzieci i wcale nie była „zniszczoną trzydziestolatką”, jak to przewidywała ciotka Darcy'ego, lady Katarzyna de Bourgh, przy okazji swej pierwszej – od chwili jego małżeństwa z Elżbietą, które tak krytykowała – wizyty w Pemberley. Przeciwnie; Jane, choć nieustannie zajęta dziećmi, tkła wspaniałe gobeliny, z których kilka wystawiono w Pemberley, wprawiając w zachwyt gości, podczas gdy córka lady Katarzyny, panna de Bourgh, która odrzuciła wiele propozycji małżeńskich, niewiele miała rozrywek prócz muzyki, za to rysy – bardziej naznaczone przemijaniem lat niż pani Bingley. Elżbieta – i tu także panowała zgoda, że chyba jakiś magiczny czar spoczął na niej, gdy przyszła na świat – wydawała się z roku na rok młodsza i coraz bardziej urocza.

Z kolei pan Darcy z roku na rok stawał się coraz bardziej posłuszny życzeniom i sugestiom Elżbiety i nauczył się, że to, co mogłoby uchodzić za zachciankę spełnianą z racji nieustępliwego charakteru żony, w rzeczywistości zawsze było nie tylko trafną lokatą kapitału, ale także dziełem sztuki. Elżbieta zapełniła salony i galerie Pemberley obrazami Boningtona i Constable'a, a światło pejzaży Turnera kontrastowało z wiszącymi na ścianach starymi portretami van Dycka i Tycjana. Wyczucie nowej epoki oraz skrzęca się wesołość i talent Elżbiety tak przesyciły dom, ogrody i park Pemberley, że żaden z gości nie mógł nie zauważyć trafności nowych pomysłów i ich związków z naturą. Dekoracyjny staw, któremu Darcy zrazu był przeciwny, stał się teraz jego ulubionym zakątkiem podczas letnich wieczorów i to tutaj, pomimo komarów, siadywał co wieczór z wujem swojej Lizzy, panem Gardinerem, gdy ten czcigodny starszy pan przyjeżdżał na ryby. W nowym stadzie jerseyowskich krów z jasno- brązowymi bokami widział teraz dopełnienie Pemberley. Niewielki „mleczny salonik”, gdzie wiejskie dzieci mogły siadywać wśród malowniczych ruin i zażywać przyjemności pikników z panią tego domu i jej córką Mirandą, gromadził latem zarówno mieszkańców, jak i pracowników Pemberley. Wszystko razem dostarczało przybyszom idyllicznych rozkoszy i goście zgadzali się z opinią, że to z pewnością pani Darcy odpowiada za harmonię i powodzenie tego przedsięwzięcia, jakim było Pemberley. Szeptano, że nawet lady Katarzyna wyrażała swoją aprobatę, czyniąc to jednak wyłącznie wobec swego siostrzeńca i to najzupełniej poufnie.

Tego lata miał wziąć ślub jeden z najstarszych przyjaciół państwa Darcych, kuzyn pana Darcy'ego, pułkownik Fitzwilliam. Fakt, że niegdyś był on bliski oświadczenia się Elżbiecie – wtedy, gdy pan Darcy wydawał się jej odpychający, choć dziś z trudem mogła sobie to przypomnieć – przyczynił się do wzmocnienia więzi między całą trójką. Mówiono, że pułkownik Fitzwilliam długo leczył serce złamane od chwili, gdy panna Elżbieta Bennet odkryła, że pan Darcy wcale nie jest takim nikczemnikiem, jakim wydawał się być. To, że znalazła się w ramionach mężczyzny tak bardzo przewyższającego dobrotliwego pułkownika, nikogo nie mogło dziwić, ale mówiono też, że stało się tak dlatego, iż pułkownik mieszkał kilka mil od Pemberley, na skraju wrzosowisk, gdzie osiadł jako farmer, choć bezspornie szlachecki farmer to ktoś znacznie lepszego rodzaju niż mogłoby sugerować to słowo. Nie był bogaty, a za łaskawość losu poczytywał sobie przelotne spojrzenia pani Darcy, gdy szła do swych zajęć w mleczarni lub w ogrodzie, gdzie wodę skierowano tak, by płynęła przez torfowe poręby obsadzone prymula- mi i wspaniałymi, różnorodnymi krzewami. Pomimo że był zręcznym ogrodnikiem i człowiekiem o bezgranicznej cierpliwości – której pan Darcy z pewnością nie miał – pułkownik Fitzwilliam nie miał jej na tyle, by nie karcić kuzyna za jego dumę

ani by dotrzymać wieloletniej wierności jego żonie. Jedyne oczy i wypieki zdradzały pułkownika Fitzwilliama, gdy pani Darcy nagle wychodziła zza drzew, bądź też gdy ona i pan Darcy – bardzo rzadko będąc z sobą sam na sam w owej krzątaninie i zarządzaniu domem tak wielkim jak Pemberley – przystawali na jakiejś polanie i sądząc, że są zupełnie sami, pozwalali sobie czule rozmawiać w sposób, który był nie do pomyślenia, gdy pozostawali w zasięgu czujnego wzroku służby, dzieci i gości. To, że pułkownik Fitzwilliam był tak wspaniale tolerowany, jeśli zdarzyło mu się wejść w drogę parze tak żarliwie kochającej się po tylu latach, świadczyło, że nie jest żadnym „byłym”, ale przyjacielem, obrońcą i domownikiem, za co oboje państwo lubili go jeszcze bardziej.

Właśnie dlatego nieoczekiwane, niemal „wzięte z sufitu”, małżeństwo pułkownika Fitzwilliama wywołało w Pemberley pewne zdumienie. Elżbieta rozmawiała o tym z Jane w swoim buduarze, pokoju z małym kominkiem z porcelanowych, biało-niebieskich kafli, jakie produkowano w Delftach, pokoju tak całkowicie podobnym do Elżbiety w blasku, łagodności i jasności jej wyglądu, że Jane często mówiła, iż woli siedzieć tutaj, niż spędzać czas we wspanialszych salonach i wytwornych pokojach na dole.

Wesele miało się odbyć przed końcem tygodnia. Kaplica została przez Elżbietę udekorowana zielenią, którą szczerze uzupełnić miały kwiaty z ogrodu Pemberley. Elżbieta myślała o różach, ostróżkach i strzępiastych goździkach. Postanowiła urządzić swojemu staremu przyjacielowi wspaniałe wesele. Miał odbyć się bal z tańcami. W pogotowiu czekały już najlepsze wina pana Darcy'ego przyniesione z piwnicy. Porcelanowe wazy z czasów dynastii Ming, które zdobiły ołtarz, miały być napełnione bukietami białych róż. Wszystko to, jak zauważyła Jane w buduarze Elżbiety, dla człowieka co najmniej w wieku Darcy'ego; dla człowieka, który przez całe życie był zatwardziałym kawalerem! Czyż to nie dziwne, że tak szybko i gwałtownie się zakochał?! I to w osobie tyle lat od niego młodszej?!

– Wprawdzie nie poznaliśmy jego narzeczonej – mówiła Elżbieta – ale z pewnością nie będziesz zdumiona, moja słodka Jane, że lady Katarzyna jako ciotka i Darcy'ego i pułkownika Fitzwilliama wcześniej przestudiowała genealogię jego przyszłej małżonki. Lady Sophia Farquhar jest, o czym wszyscy jesteśmy uświadomiani przy każdej możliwej okazji, córką jakiegoś szkockiego księcia i zgodnie z tym, co mówi lady Katarzyna, zarówno ów książę, jak i matka Sophii, zmarła hrabina, nie życzyliby sobie niczego lepszego niż małżeństwo córki z pułkownikiem Fitzwilliamem.

– Czemu więc sam książę nie oddaje swojej córki mężowi?

– Nie słuchałaś wczoraj wieczorem lady Katarzyny? – zapytała ze śmiechem Elżbieta. – Ten książę również zmarł. Jego posiadłości przeszły na jakiegoś siostrzeńca, który wrócił z zamorskich kolonii, by znaleźć się w tej doprawdy godnej pozazdroszczenia sytuacji, zaś lady Sophia, będąc osobą zupełnie obcą swemu krewniakowi, woli wyjść za mąż w tutejszej skromnej kaplicy.

– Skromnej? – spytała ze zdziwieniem Jane. – Zapewne nigdy tu nie była, droga Lizzy.

– Słyszałam, że była... – odparła Elżbieta. – Kilka miesięcy temu, gdy Darcy i ja przebywaliśmy w Walii, pułkownik Fitzwilliam oświadczył, że lady Sophii podobał się urok Pemberley oraz niewielki rozmiar gospodarstwa.

– Wielkie nieba! – wykrzyknęła Jane, teraz zdumiona jeszcze bardziej niż na początku owej rozmowy o wyborze żony, dokonany przez pułkownika Fitzwilliama. – Gdzież więc spędzała ona młodość, jeśli posiadłość Pemberley wydaje jej się małą? Jakże zatem uda się pułkownikowi Fitzwilliamowi zaspokoić potrzeby takiej żony w jego skromnym domu?!

W tym momencie obie siostry znów wybuchnęły śmiechem i dopiero zbliżające się kroki pana Darcy'ego kazały im przybrać poważne miny.

– Musimy się modlić, by lady Katarzyna nie zorientowała się, jakie pojęcie miary ma jej nowa powinowata – wyszeptala Jane, mimo iż pan Darcy, wsunawszy głowę w drzwi, śmiał się rozweselony. – Mam nadzieję, że po swoim ślubie pułkownik Fitzwilliam będzie tu u was bywał, droga Lizzy, równie często jak teraz. Wszak bez niego ciężkie czasy nadeszłyby dla Edwarda, więc myślę...

Tu Jane przerwała i zaczerwieniła się, bo rzadko była nietaktowna, a mając prawdziwie wrażliwą naturę, spostrzegła, że Elżbieta i Darcy odwrócili oczy i starali się przejść do innego tematu.

– Zdaje się, że zapowiada się piękny dzień na wesele – powiedział pan Darcy.

– Rozmawiałam już z McGregorem o oranżeriach – odparła Elżbieta – ale nie obiecuje brzoskwiń przed naszym wyjazdem na południe, choć przyrzekł truskawki na weselne przyjęcie.

Jane wstała i już miała wyjść z pokoju, gdy Elżbieta poprosiła, by jeszcze chwilę została.

– Jestem taka szczęśliwa, droga Jane, że pragnę, byś dzieliła ze mną to szczęście – mówiąc to, Elżbieta spoglądała na Darcy'ego, jakby prosząc męża o zgodę i jednocześnie obdarzając go swoją. – Usłyszeliśmy po prostu dobre wieści z Eton. Edward dobrze sobie radzi. Otrzymaliśmy od niego list o takiej treści, że aby

go nagrodzić, Darcy obiecuje Edwardowi, że będzie mógł przyjechać do Pemberley na to wesele.

– To przepustka na cały tydzień – rzekł Darcy, uśmiechając się na widok wyraźnej radości swej żony i niemal nie mogąc ukryć własnej. – Oczekujemy go lada chwila. Zje z nami kolację, jeśli przed wyjazdem nie będzie tracić czasu na dobieranie halsztuka.

– Jestem pewna, że przyjedzie już wkrótce – powiedziała Elżbieta z nutą lęku, aż nadto wyczuwalną dla Jane.

– A zacny pan Falk... jakież on musi być zadowolony! – wykrzyknęła Jane, by wypełnić tę krótką ciszę, jaka zapadła między rodzicami Edwarda. – Jakże musi być dumny z owych wysiłków, które wcześniej wkładał w jego edukację!

– Początkowo wprost nie mógł uwierzyć w te wiadomości – odparła Elżbieta.

– Pan Falk był bezcenny jako nauczyciel naszych dzieci – powiedziała Jane, wciąż wyczuwając jakieś skrepowanie między siostrą i panem Darcym. – To dzięki twojej uprzejmości, Lizzy, i twojej szczodrości, Darcy, mieszka on teraz w Pemberley i nie musi czuć doskwierającego ubóstwa ani samotności podeszłego wieku!

– W Pemberley jest dość miejsca dla pana Falka – ozwał się Darcy, który odzyskał już pełnię dobrego humoru – choć, niestety, nadmiernie demonstruje swoje poglądy.

Jane i Elżbieta, słysząc to, wymieniły spojrzenia, ale tak dobrze, jak tylko mogły, skryły uśmiech satysfakcji i zadowolenia.

Przez pierwsze lata małżeństwa Elżbiety i Darcy'ego niemożliwa byłaby taka swoboda zachowania dumnego pana na Pemberley. Kiedy już bowiem przyszło mu tolerować obecność nauczyciela swego syna, okazywał uprzejmość graniczącą z lodowatym chłodem i wskazywał mu drzwi, gdy tylko zaplanowane lekcje dobiegały końca. Jane wiedziała, że fakt, iż nie czynił tego teraz, był wynikiem łagodnego wpływu jej siostry. Lizzy ułagodziła męża i nauczyła go okazywać zyczliwość, bo naturę Darcy'go od dziecka hamowała i wpałała mu chłód ciotka, lady Katarzyna i inni członkowie owego wspaniałego rodu, do którego należała jego matka. Elżbieta tak dalece pozbawiona była pretensjonalności, że nie zgadzała się na uniżone ukłony robotników posiadłości, a nawet nalegała, by ich dzieci bawiły się razem z jej potomstwem w długich galeriach i przejściach Pemberley, pomimo że zgromadzono tam cenne obrazy i porcelanę. To ona była osobą, która mogła rościć sobie prawo do owej umiejętności, z jaką zmieniła usposobienie Darcy'ego, przywracając mu radość i uśmiech, do jakiego nie był zdolny na początku ich małżeństwa.

Niegdyś tak nie było. Pierwsze lata Edwarda były rzeczywiście trudne. Edward był bowiem bardzo małym dzieckiem, co nawet pani Reynolds, miejscowa ochmistrzyni, powiedziała kilku wybranym przyjaciółom w pokojach dla służby w Pemberley. Wydawało się niemożliwe, że pewnego dnia odziedziczy on tę posiadłość. Dawał też tak gwałtowny upust wybuchom nie dającego się opanować gniewu, że niania i dwie pokojówki nie mogły go pohamować.

Jane skrycie sądziła, że to właśnie sposób, w jaki przy podobnych okazjach pan Darcy traktował swego syna, skłaniał go do kolejnych przewinień: wykrętów i oszustw. Ojciec karał chłopca surowo i zamykał w pokoju o chlebie i wodzie. Elżbieta błagała męża, by okazał mu wyrozumiałość, ale pan Darcy zrobić tego nie umiał i nie chciał. Kiedy więc Edward ukończył siedem lat i nie umiał czytać ani pisać, nieuchronnie stało się zaangażowanie jakiegoś nauczyciela i opiekuna dla młodego spadkobiercy całego majątku pana Darcy'ego. Edward musiał mieć nauczyciela – Jane widziała ogromną ulgę siostry, gdy przestała się obawiać charakteru pana Falka – który okazywałby surowość, gdy w pobliżu znajdował się pracodawca, ale który z drugiej strony byłby dla tego dziecka wzorem uprzejmości i miałby dla niego dużo zrozumienia.

Edward już w wieku ośmiu lat zaszokował gości zebranych z okazji świąt Bożego Narodzenia, wyciągając pudełko żołnierzyków i obwieszając, że jest po stronie armii Napoleona i pokona w tej wojnie wszystkich swoich kuzynów. Później zaś posunął się jeszcze dalej i w czasie wizyty swojej babci, pani Bennet i ciotki, lady Katarzyny, odkryto, że poinformował pana Falka, iż przodkowie babci byli Francuzami, a nieszczęsny pan Falk był tym, który musiał znosić kpiny całego towarzystwa, kiedy uprzejmie wypytywał panią Bennet, czy „t” na końcu jej nazwiska powinno się wymawiać twardo czy miękko.

Na wspomnienie tych wydarzeń policzki Jane zapłonęły, zarówno z powodu Elżbiety, jak i niej samej. Wszak przed wieloma laty była pewna Francuzka... Owa Francuzka była kochanką jej własnego ukochanego męża, Karola, ale na długo przedtem, zanim pan Bingley wynajął posiadłość Netherfield nieopodal Longbourn i szczerze zakochał się w Jane. Syn pana Bingleya, natychmiast przyjęty i zaakceptowany przez Jane w dobroci jej serca, radził sobie dobrze i wstąpił do policji sąsiedniego hrabstwa. Już samo to, o czym Jane dobrze wiedziała, sprawiało, iż Elżbiecie trudniej było dźwigać ciężar godnego pożałowania charakteru Edwarda.

Teraz, po latach nauki i opieki pana Falka, od dawna wszystko układało się dobrze. To prawda, że na wakacjach, spędzanych kilka lat temu w posiadłości pana Darcy'ego w hrabstwie Yorkshire, podczas polowania na pardwy chłopiec przestawał raczej z naganiaczami niż ze szlachtą, a późną nocą znaleziono go śpiącego w karczmie, co gorsza, wyraźnie pijanego. Miał wtedy trzynaście lat i Elżbieta przekonywała męża, by raczej udzielił synowi poważnej nagany niż kary, która przekształciłaby się w publiczne upokorzenie.

Od tamtej pory chłopiec nie popełniał żadnych przewinień w Eton i doniesienia o jego postępach w nauce, choć nieco monotonne, były całkiem zadowalające. Elżbieta i Darcy zmniejszyli czujność, ponieważ ciągle obawy, z całym towarzyszącym im napięciem i udawaniem, wielokrotnie wystawiały ich małżeństwo na próbę. Teraz byli więc zachwyceni opinią, jaką Jane wygłosiła, słysząc, że w nagrodę za swoje wysiłki Edward będzie mógł przyjechać do hrabstwa Derbyshire na ślub pułkownika Fitzwilliama.

Wszystkiego, co Edward Darcy wiedział o sporcie, nauczył go jego uprzejmy kuzyn, dzięki któremu był teraz doskonałym strzelcem i wybornym wędkarzem. To właśnie siła i cierpliwość pułkownika Fitzwilliama znakomicie przyczyniły się, o czym obie siostry dobrze wiedziały, do poprawienia charakteru młodego dziedzica, a o tym, że Darcy gotów był uznać doniosłość roli przyjaciela w wychowaniu tego chłopca, świadczyła jego decyzja, by Edward przybył z północy na tę uroczystość.

Elżbieta i Darcy z uśmiechem rozeszli się w różnych kierunkach, by znaleźć ogrodnika i wydać ostatecznie dyspozycje dotyczące weselnego dnia, zaś Jane także poszła swoją drogą, by odszukać męża, który spacerował po parku Pemberley z ich najmłodszą córką. Idąc, zastanawiała się, że podobnie jak Elżbieta, i ona nie była ani trochę przyziemna i nie przejmowała się opinią takich osób jak lady Katarzyna de Bourgh i panna Karolina Bingley, które żyły tylko po to, by znajdować błędy u innych i złośliwie o nich opowiadać. Była zadowolona, że ciotka pana Darcy'ego i siostra Karola także przybędą na ślub pułkownika Fitzwilliama. Same zobaczą, jak się wiedzie paniczowi Darcy'emu, co do którego niegdyś poważnie wątpiły, czy będzie odpowiednim spadkobiercą Pemberley.

Rozdział 4

Wiele pozostawało jeszcze do zrobienia przed uroczystością zaślubin pułkownika Fitzwilliana i lady Sophii, a najbardziej nagłą sprawą było zapewnienie wygody narzeczonej, która nieco później tego samego dnia przyjechała wraz z Lady de Bourgh, by krótki okres przed uświęceniem więzów małżeńskich spędzić w Pemberley jako gość Fitzwilliana, Darcy'ego i jego małżonki.

Naręczona uczestniczyła w wieczornym przyjęciu wydanym w przeddzień ślubu dla uczczenia przyszłego związku. Kwiaty, szampan i wspaniała kolacja – wszystko było jeszcze na etapie przygotowań. Pozostawała też sprawa sypialni lady Sophii, którą Elżbieta zamierzała przystroić najpiękniejszymi kwiatami, wybierając w ogrodzie barwy żółte i białe, jako dominujący kolor weselny. Uwagi wymagały też różnorodne drobne sprawy, bowiem w Pemberley spodziewano się niemałego tłumu, składającego się zarówno z domowników, jak i gości, którzy przybyli z daleka, aby po połączeniu się szczerze oddanego kuzyna Darcy'ego i jego wybranki w związek małżeński wznieść toast na cześć owej pary.

Elżbieta wybiegła więc z buduaru pochłonięta mnóstwem drobiazgów, które zewsząd na nią spadały. Jej pierwszą pomocnicą we wszystkich sprawach była Miranda i Elżbieta wiedziała, gdzie może ją znaleźć, ponieważ dziewczę rzadko pozostawało w domu. Miranda bardziej kochała przestrzeń i owe projekty, które z ochotą wprowadzała w majątku wraz z matką, niż domatorstwo i doskonalenie zwyczajowych uzdolnień, jakich spodziewano się po młodej damie. Modelowa mleczarnia na skraju parku, leżąca z tej strony posiadłości, skąd najbliżej było do miasteczka, stała się miejscem pomyślnie rozwijającego się eksperymentu ze stadem jerseyowskich krów i właśnie tutaj Miranda, silna i wysoka jak na siedemnastolatkę, lubiła spędzać większość czasu. O tym, że z przyjemnością pomagała matce w codziennych obowiązkach, związanych z prowadzeniem gospodarstwa takiego jak Pemberley, było powszechnie wiadomo. Mirandę znano jako osobę całkowicie pozbawioną egoizmu i próżności. Chętnie służyła Elżbiecie wszelką pomocą, wspierając ją w podejmowaniu w Pemberley narzeczonej pułkownika Fitzwilliana. A kiedy czasami czuła, że te zajęcia są dla matki ciężką próbą, nie ociągała się z okazaniem jej współczucia i zrozumienia, nawet jeśli nie domyślała się, jaką trwogę odczuwała matka, gdy po raz pierwszy przyszło jej pełnić obowiązki pani na Pemberley i zaspokajać kaprysy lady Katarzyny de Bourgh.

Idąc przez park, Elżbieta ze zdumieniem usłyszała za sobą pospieszne kroki, a potem poczuła, że mocna ręka ujmuje jej ramię. Zwolniła tempo i uśmiechnęła się. Nawet po wielu latach małżeństwa przyjemnie było słyszeć szybko podążającego za nią Darcy'ego, a z jego rozradowanego wyrazu twarzy mogła się domyślać, że nie przynosi żadnych alarmujących wieści.

– Najdroższa Elżbieto – rzekł Darcy, gdy teraz oboje przechadzali się bardzo statecznie; powietrze nasycone było wszystkimi aromatami, jakie potrafił zapewnić dobry ogrodnik, rozległy park i kwiatowe klomby. – Tak ciężko pracujesz, by nasz kuzyn Fitzwilliam był szczęśliwy. Jestem zadowolony i dumny, bo to człowiek, który doprawdy nigdy nikogo nie zranił i który dostarczył nam tak wielkiej radości i zadowolenia, jakiego tylko można sobie życzyć ze strony przyjaciela, chociaż, co muszę stwierdzić, jest kompletnym durniem w grze w warcaby i pozwala się pokonać nawet Karolowi Bingleyowi.

Elżbieta ze śmiechem odparła, że zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, dla przyjaciela, który był domownikiem, opiekunem i sprzymierzeńcem przez te wszystkie lata, które razem spędzili w Pemberley.

– Okazujesz też zrozumienie dla mojej długiej przyjaźni z Karolem Bingleyem – mówił dalej Darcy – bo przecież nie podoba ci się podejmowanie panny Karoliny Bingley, która teraz przyjechała do Pemberley na tę uroczystość, a ja po naszym ślubie dałem ci słowo, słodka Elżuniu, że nigdy więcej nie będziesz zmuszona jej gościć.

– Żal mi jej – powiedziała Elżbieta owym szczerym tonem, który jej mąż pokochał i któremu ufał, przedkładając towarzystwo i nieustającą szczerą żonę nad przebywanie z jakimkolwiek pochlebcą, których mu, jako panu na Pemberley, nie brakowało. – Panna Bingley widzi, że wszystkie jej przyjaciółki są zamężne i mają dzieci, jej zaś szczęście nie sprzyja. Dobrze chociaż, że Karol zapewnia jej dożywocie w swoim domu w Barlow. Jeśli jednak musisz doszukiwać się miłosierdzia i współczucia, to spójrz na moją siostrę Jane.

Napomknięcie o dzieciach sprawiło, że między małżonkami zapadła cisza. W milczeniu szli dalej w kierunku mleczarni. Zza drzew widać było skraj miasteczka i pokrytą strzechą leciwą chatę porośniętą

jaskrawoczerwonymi różami. Stanowiła ona pierwszy „przystanek” przed przejściem następnych kilkunastu jardów do farmy.

– Do rozpoczęcia żniw ten dom będzie ponownie pokryty dachem – rzekł Darcy, który nauczył się czytać myśli żony, zanim jeszcze je wygłosiła. – Nie lękaj się, Elżuniu, nie ryzykowałbym narażenia się na twój gniew, w przypadku gdybyś stwierdziła, że staremu Martinowi i jego żonie deszcze padają na głowę.

Elżbieta rozejrzała się wokół, a widząc, że otoczeni więzami niewidoczni są dla reszty świata, wspięła się na palce i z uczuciem podziękowała mężowi. Wiedziała, że jego dobry charakter skrywał się czasem pod surowością lub lekceważeniem, bowiem tak wiele spraw musiał doglądać w tutejszej posiadłości, że mógł zapomnieć o owej walącej się chacie. Ośmielała się żywić nadzieję, że jej troska i działania Darcy'ego służyły dobremu zarządzaniu posiadłością i cicho cieszyła się, gdy właśnie tak mówiono w hrabstwie.

Miranda, spostrzegłszy rodziców, wybiegła ku nim z nowego drewnianego budynku, gdzie mieściła się mleczarnia. Panienska miała zdolności, które szybko stały się ważnym elementem udanego prowadzenia tego przedsięwzięcia: znacznie łatwiej niż rodzice przyswajała sobie nowe metody gospodarowania i zastosowanie nowoczesnych maszyn. Darcy stopniowo doszedł do tego, że w sprawach związanych z gospodarką w posiadłości zdawał się na córkę.

– Jestem taka szczęśliwa – rzekła cicho Elżbieta na widok Mirandy – że Edward będzie z nami podczas tej uroczystości. Wciąż jestem pod wrażeniem wiadomości, że uzyskał wyróżnienie za postępy w nauce! Należałoby go nagrodzić jeszcze bardziej, mój kochany... Czy nie powinniśmy wziąć go ze sobą za granicę? Jeśli naprawdę tam pojedziemy, bo wiem, że w Yorkshire będzie polowanie, a potem ta wizyta w Brecon, bo tak wiele trzeba dopilnować w Walii...

– Zgodziłem się na przepustkę dla Edwarda ze szkoły, aby mógł być z nami, i to jest już wystarczający prezent – odparł Darcy i jak zwykle zmarszczył brwi, widząc nadmierną, przynajmniej w jego oczach, pobłażliwość matki wobec syna. – Wszak znamy już rezultaty rozpieszczania Edwarda.

Słyszając to, Elżbieta zagryzła wargi i odsunęła się, tak że Miranda spotkała rodziców dziwnie oddalonych od siebie i spojrzała na nich badawczo. To, że wyczuła prawdopodobny powód nagłej zgryzoty Elżbiety, widać było w pełnym współczucia spojrzeniu, jakie ku niej skierowała.

– Właśnie miałem powiedzieć mamie, że gdy tylko zakończą się ślubne uroczystości pułkownika Fitzwilliama, zabieram ją do Włoch – rzekł Darcy, który znów uśmiechnął się radośnie. – Pojedziemy do Wenecji i złożymy wizytę naszym przyjaciółom w Palazzo Albrizzi.

Po tych słowach, nie spojrzawszy na Elżbietę, pan Darcy, wciąż szeroko uśmiechnięty, obrócił się na pięcie i drogą przez park udał się z powrotem do domu, pozostawiając zarówno żonę, jak i córkę z utkwionym w niego wzrokiem. To, że Darcy, co Elżbieta przyznała z westchnieniem, z zadowoleniem nagradzał jej wysiłki związane z małżeńskim szczęściem pułkownika Fitzwilliama, było oczywiste, ale Edwardowi nagrody za jego trudy w szkole jednak odmówił. Ale też, co Elżbieta na usilne nalegania Mirandy musiała przyznać, ona sama nigdy nie była w Wenecji i wiedziała jedynie, że miasto zbudowane na wodzie musi być czymś wspaniałym.

Rozdział 5

Elżbieta i Miranda zajęły się zbieraniem kwiatów do ozdobienia galerii i wielkich pokoi Pemberley. Prostą i bezpretensjonalną dekorację zaprojektowaną przez Elżbietę podziwiali wszyscy prócz lady Katarzyny, która ubolewała, że jest zbyt mało malownicza i uparcie trwała w tradycjach przeszłości. Swą ulubioną żółtą barwę lilii i białą bzu połączyła razem z myślą o sypialni lady Sophii. Miranda zaś zrobiła główny bukiet na środek weselnego stołu: Niespieszne wybieranie kwiatów w ciągu dnia, gdy brzęczenie pszczoł było jedynym dźwiękiem w kwiatowym ogrodzie, w nieoczekiwany sposób przyniosło ukojenie i potrzebę rozmowy, i Elżbieta, wbrew sobie, jeszcze raz wyraziła żal, że pan Darcy nie okazuje większej dumy z najnowszych osiągnięć syna.

– Papa jest ostrożny, ty zaś jesteś zbyt szybka, mamó – rzekła ze śmiechem Miranda. – Nie wątpię, że poprawa Edwarda wywarła na nim duże wrażenie, ale nie lubi wyrażać swych uczuć zbyt pośpiesznie. Chce natomiast podkreślić znaczenie tej radosnej chwili, zabierając cię do Włoch, a sama wiesz, jak bardzo przez całe lata pragnęłaś tam pojechać. Teraz naprawdę pojedziesz, pomyśl o tym, mamó! I weź ze sobą szkicownik, bo okropnie zaniedbałaś swoje umiejętności!

Elżbieta roześmiała się, ale cichym głosem powiedziała, że wciąż myśli o nagrodzie dla Edwarda... że chciałaby go zabrać do Francji lub Włoch, wraz z Mirandą, naturalnie.

– Mamó, prosisz o zbyt wiele! – zawołała Miranda. – Na pozór nie pragniesz niczego, a tymczasem często żądasz rzeczy niemożliwych! Papa nie jest jeszcze gotów do odbycia podróży z Edwardem. Przeszłość była ponura w równej mierze dla syna, jak i dla ojca.

– Jesteś mądra, Mirando – rzekła Elżbieta, wzdychając, i pomyślała, zresztą nie po raz pierwszy, że obie bardziej przypominają siostry niż matkę i córkę, choć musiała też przyznać, że czasem czuła się córką Mirandy i że ich role wydawały się odwrócone.

– Czemu nie weźmiesz Edwarda do Walii, skoro później się tam wybieracie? – mówiła dalej Miranda, a potem wolniutko pomachała w stronę bramy, bo właśnie podszedł tam pan Gresham, architekt i syn rządcy majątku, i stał uśmiechając się do pani Darcy i jej córki, które zatrzymały się nad klombem niebiesko-żółtych fiołków.

– Nie mogę tego zrobić – odparła Elżbieta, nie zastanawiając się nad tym, co powiedziała, a potem zatrzymała się i zaczerwieniła. Pan Gresham zbliżył się akurat wtedy i zobaczył jej rumieniec.

– Doprawdy, na me życie, nie mogę pojąć dlaczego? – powiedziała Miranda, uklękawszy jeszcze głębiej w krzewach róż, które pięły się dziko na wyraźne polecenie Elżbiety i ku niezadowoleniu głównego ogrodnika.

Elżbieta była zakłopotana i wyglądała szczególnie młodzieńczo i pięknie, zwłaszcza w oczach pana Greshama, który przybył do Derbyshire na ślub swego starego znajomego, pułkownika Fitzwilliama, ale także po to, choć nikomu by się do tego nie przyznał, by odświeżyć nieustające pragnienie spotkania pani Darcy i przebywania w jej towarzystwie. O ile bowiem pułkownik Fitzwilliam był oddany Elżbiecie, lecz pamiętał o małżeńskich więzach, które połączyły pannę Bennet z Darcym, o tyle pan Gresham żywił w tej kwestii uczucia o zdecydowanie bardziej złożonym i niejasnym charakterze. W początkach małżeństwa Elżbiety i Darcy'ego pan Gresham był młodym człowiekiem i obserwował ów wyniosły sposób, w jaki Darcy traktował swoją młodą żonę, kiedy jego przyjaciele i krewni dręczyli ją podczas pierwszego świątecznego przyjęcia w Pemberley.

Był świadkiem dumnego i niezrozumiałego wyjazdu Darcy'ego do Londynu, kiedy żądanie lady Katarzyny, by umieszczono ją w apartamencie odległym od pokoju pani Bennet, przywiódło Elżbietę do granic udręczenia i wstydu, i to on zaproponował Elżbiecie, że będzie ją eskortował podczas jej własnego wyjazdu na południe, choć ostatecznie udała się nie do Londynu, lecz pod skrzydła dawnej przyjaciółki Charlotty Lucas, która po ślubie z panem Collinsem zamieszkała w Longbourn. Gresham zrozumiał, że rychło odkrycie Elżbiety, iż jest brzemienna, pojednało ją z mężem, ale nie był w stanie pojąć (prawdopodobnie dlatego, że nie chciał), iż Darcy był w żonie równie mocno zakochany, jak ona w nim. Gdyby to zrozumiał, łatwiej domyśliłby się powodu rumieńców Elżbiety. Nagle uświadomiła sobie, że w istocie nie chciała zabierać syna do Walii, ponieważ wolała przebywać tam wyłącznie z Darcym, gdyż w przeszłości tak wiele miłości musieli odsunąć na bok przez to dziecko. Jednak pan Gresham zauważył w

oczach pani Darcy jedynie to spojrzenie, które przypomniało mu owe pierwsze dni w Pemberley, gdy potrzebowała jego wsparcia i towarzystwa.

Nie było mu łatwo odeprzeć pierwszy impuls, by przeskoczyć przez bukszpanowy żywopłot na ścieżkę, gdzie stała Elżbieta, wciąż zdumiona owym nagłym olśnieniem, że bardziej kocha męża niż syna, i wziąć ją w ramiona. Jednak oparł się temu pragnieniu i oszołomiony, zrywając różę prążkowaną czerwienią i bielą – różę taką, jakie wyhodowano w epoce króla Henryka VIII i jakie od tamtych czasów rosły w ogrodzie w Pemberley – z uprzejmą miną wręczył ją Mirandzie, choć wydawało się nieprawdopodobne, by Elżbietę, która niegdyś wyczytała wzrokiem to, co naprawdę do niej czuł, zmylił ten gest.

– Przychodzę tu, by panią odszukać, pani Darcy – rzekł pan Gresham z nutą skrepowania właściwą dla syna rządcy i dawnego bibliotekarza w Pemberley – i powiedzieć, że niektórzy państwa goście właśnie przyjechali, zaś pana Darcy'ego nie można znaleźć ani w domu, ani na polach.

– Tak wcześnie?! – wykrzyknęły zgodnym chórem Elżbieta i Miranda, po czym z koszami kwiatów pobiegły do bramy, pozostawiwszy za sobą na brukowanej ścieżce pana Greshama, który pochylił się i zbierał kwiaty, bowiem zgubiły je w pośpiechu.

Rozdział 6

Charlotta Collins i lady Lucas postanowiły dłużej nie zwlekać z wizytą u pani Bennet w Meryton Lodge i widząc, że dzień jest bardzo piękny, zostawiły miasto na uboczu i skręciwszy ku tylnemu podjazdowi zdążyły zobaczyć, że przez frontowe bramy wyjeżdża wspaniała karetka z herbem, którego z tej odległości nie sposób było rozpoznać.

– Któż to może być? – Lady Lucas zwróciła się do córki. – Czyżby to pan Darcy z Elżbietą odwiedzał panią Bennet o tej porze roku?

– Myślę, że nie – odparła z uśmiechem Charlotta – bo Lizzy pierwsza odwiedziłaby nas w Longbourn, mamó. Zapewne jakaś nowa znajoma pani Bennet i nie wątpię, że niebawem dowiemy się, kto to jest.

– Gdyby był tu twój ojciec, niechybnie zidentyfikowałby ten herb – oświadczyła lady Lucas – ale tak długo przebywa w Londynie, że niewielka jest szansa, że przyjedzie akurat dzisiaj i że go rozpozna.

Charlotta właśnie miała zawołać, że pani Bennet nie będzie tracić czasu na opisywanie pióropusza na herbowym kartuszu swego gościa, gdy osoba, o której mówiły, pomachała im z okna i nie zwlekając wyszła na próg.

– Cud, że karetka miała dość miejsca, by wjechać – rzekła pani Bennet, ledwie znajdując czas na powitanie lady Lucas i jej córki. – Tutejszy podjazd jest taki wąski... Proszę pana Darcy'ego, by kazał go poszerzyć, ale wciąż nie udaje mi się tego załatwić. Mogę tylko mieć nadzieję, że pasażerka nie dozna żadnej krzywdy, gdy z boku na bok rzucać ją będzie na tych kamieniach. Nikomu nie przychodzi do głowy, by naprawić drogę, żebym nie wiem jak często o tym mówiła!

– Miejmy nadzieję, że tej pasażerki nic się nie stanie – powiedziała lady Lucas zdumiona tym, że pani Bennet wyraźnie przedkłada powozy nad pieszych. – Być może przyszliśmy w nieodpowiedniej chwili, droga pani Bennet, i powinniśmy spróbować szczęścia w stosowniejszym momencie.

Pani Bennet nie przestawała spoglądać ku drodze, jakby można było ponownie przywołać karetkę i jeszcze raz wyprowadzić z niej pasażerkę. Charlotta widząc, że istotnie przyszły nie w porę, pociągnęła matkę za rękaw.

– Wiesz przecież, mamó, że południowe słońce ci nie służy, a poza tym pan Collins potrzebuje mnie w warzywniku. Groził, że wykopie dzisiaj groch i zasieje fasolę, jeśli nie będę na miejscu i mu nie pomogę.

Żadne z jej słów nie dotarło jednak do lady Lucas, którą ekscytowało wyłącznie zaspokojenie własnej ciekawości. Weszła więc do budynku, za nią zaś podążyły, choć niechętnie, córka i pani Bennet.

– Pomyślałam, że przyniosę ci wiadomości z dworu świętego Jakuba, droga pani Bennet – powiedziała bez wstępów lady Lucas, gdy dotarli do salonu, usiadła na krześle. – Sir William pisze, że królowa jest miła, ale niezmiernie nudna. Słyszę też, że są tam młode panny, które przez sześć lub nawet siedem sezonów nie znajdują mężów! Dwór niczego nie oferuje młodym. Mało tam rozrywek i wielki niedostatek partnerów!

Pani Bennet odparła, że nie ma o to obaw.

– Miranda jest równie śliczna, jak moja Lizzy, a pozycja córki pana Darcy'ego, pana na Pemberley, czyni z niej doskonałą partię. Będzie raczej problem, jak odpędzić adoratorów od drzwi.

– Trudno się jednak spodziewać, że wniesie ona jakiś wielki posag, czyż nie mam racji, pani Bennet? – rzekła lady Lucas. – Wszak Edward odziedziczy wszystko, nieprawdaż?

– Ta, przypuszczam, że tak... – odparła pani Bennet, nie wiedząc, ku czemu zmierza ta rozmowa. – Nie mam jednak wątpliwości, że Miranda będzie szczerze wyposażona.

– Pemberley dziedziczone jest prawem majoratu przez panicza Darcy'ego – mówiła dalej lady Lucas z uporem zatrwającą obie jej słuchaczki. – Posiadłości w Walii i w Yorkshire także przejdą na niego. Również wszystkie zasoby finansowe, powozy i klejnoty, jeśli się nie mylę, droga pani Bennet?

– Mamó – ozwała się Charlotta, wstając. – Dzień dziś taki gorący i jesteśmy zmęczone. Pan Collins będzie się gniewać, jeśli nie wrócimy przed południem.

– Potem równie dobrze – zakończyła lady Lucas w sposób wysoce nieprzyjemny dla swoich słuchaczek – okazuje się, że panicz Darcy uświadamia sobie, nawet w swym młodym wieku, rozkosze i pułapki życia w stolicy. Może więc uniknie ich, gdy przejmie swoje dziedzictwo. Byłoby to nader wskazane.

– Cóż to znaczy?! – wykrzyknęła pani Bennet, wycierając twarz i polecając podać gościom herbatę, w

nadziei, że jej wyraźne zatroskanie da się wytłumaczyć nagłym uprzytomnieniem sobie, iż jest opieszalą panią domu. – Doprawdy nie wiem, jak mam cię przeproszać, moja droga Charlotta... i droga lady Lucas.

– Musimy już iść, mamó – rzekła Charlotta, ale właśnie w tym momencie z zewnątrz dobiegł głos pana Collinsa, który rubasznie witał się z lokajem, więc tylko westchnęła...

– Pan Collins tak bardzo pragnie, by wróciły panie do Longbourn, że sam przybywa, aby je tam odprowadzić! – zawołała pani Bennet.

Nie przyniosło to jednak rezultatu, ponieważ ów dżentelmen, kłaniając się pani domu, szybko wyjaśnił, że powód, dla którego przybył do Meryton Lodge, nie jest w żaden sposób związany ani z uprawą jego ogrodu warzywnego, ani też z rychłym powrotem żony i teściowej do domu.

– Pracowałem właśnie w swoim gabinecie, pani Bennet... jeśli mogę tak nazwać ów pokój, o którym pani drogi zmarły małżonek lubił myśleć jako o swojej bibliotece...

– Ależ to była jego biblioteka – z ostrą nutą w głosie odpowiedziała pani Bennet.

–... kiedy ujrzałem jakiś arcyinteresujący ekwipaż. Nie mógłbym sobie nawet wyobrazić, by jechał z Meryton Lodge, gdyby nie ów biegnący z tyłu chłopiec stajenny, który powiedział mi, że to właśnie pani miała takiego gościa. Nie potrafię powiedzieć, droga madame, którą karetkę wybrałaby lady Katarzyna, jeśli chodzi o wyposażenie i przepych, ale niewiele byłoby do wyboru między tą a jej własnym powozem w Rosings.

– A jednak nie była to lady Katarzyna de Bourgh – odparła lady Lucas tonem, który miał być przebiegły. – To ktoś zupełnie tutaj nowy... osoba, ośmielam się powiedzieć, z Londynu!

Na te słowa pani Bennet uśmiechnęła się nienaturalnie i zajęła herbatą, którą w końcu przyniesiono.

– Ktokolwiek mógłby to być – mówił pan Collins, podczas gdy lady Lucas rzuciła mu piorunujące spojrzenia z powodu jego niestosownej ciekawości, dotyczącej tak delikatnej kwestii – z pewnością należy do rodziny, która wie, jak zabezpieczyć domowników.

Charlotta pomyślała o swoich pokojach w Longbourn, gdzie mogłaby siedzieć z dala od pana Collinsa, wstała, powiedziała, że martwi się o przeziębienie najmłodszego dziecka i że wróci przez park sama.

– Jeśli to ktoś ważny, z Londynu, to możliwe, że przywozi wiadomości o młodym paniczku Darcym – rzekła lady Lucas, bo czuła, że i dla niej nadeszła pora odejścia. – Sir William mówił mi, że widuje twego szanownego wnuka, pani Bennet, w... Picadilly!

– Ktokolwiek byłby pasażerem tak wspaniałej karety – ciągnął dalej pan Collins, który wydawał się nieświadomy owego niezmiernie niemiłego wrażenia, jakie ta wiadomość wywarła na pani Bennet – on czy też ona, nie umrze, nie zostawiając testamentu, jak robi to biedny sir William. Wprost trudno zliczyć, jak wiele razy radzono mojemu drogiemu teściowi, aby spisał ostatnią wolę i sporządził testament. Jednak życie na dworze tak go oszałamia, że przebywając w otoczeniu, choćby i dalekim, samego monarchy, myśli tylko o własnej nieśmiertelności, zaś żonę i córkę pozostawia zupełnie nie zabezpieczone!

– Ależ panie Collins, bardzo proszę! – zawołała lady Lucas, wręcz przerażona tym, do czego posunął się jej zięć, aby wydobyć od pani Bennet informację, której tak bardzo pragnął. – Sprawy sir Williama należą do niego! Zechciej o tym pamiętać!

Charlotta, bardzo błada, podeszła do drzwi, a jej gwałtowne wyjście w pewien sposób sprawiło, że całe towarzystwo oprzytomniało.

– Pójdę z nią! – zawołała lady Lucas, bo uraza z powodu niedyskrecji pana Collinsa była jedynym wyborem, jakiego mogła dokonać. – Proszę przyjąć szczere przeprosiny, madame... – rzekła i wstając z pewną trudnością, sztywno skłoniła głowę.

– Tak, tak, musimy się pożegnać – powiedział pan Collins. – W rzeczy samej byłem zdumiony, zastając panią w Meryton Lodge, pani Bennet. Z pewnością przygotowywała się pani do owego radosnego dnia zaślubin siostrzeńca lady Katarzyny, pułkownika Fitzwilliama, nieprawdaż? Zdumiewam się, że nie ma pani wśród gości, którzy wnoszą toast na cześć związku pułkownika Fitzwilliama z lady Sophią.

Pani Bennet odparła, że pułkownik Fitzwilliam nie należy do jej rodziny, o czym, jak przypuszczała, pan Collins musiał wiedzieć.

– Wszak jest on kuzynem pana Darcy'ego – powiedział pan Collins tonem dla pani Bennet tak odpychającym, że poszukała, zresztą nadaremnie, zrozumienia u swej przyjaciółki lady Lucas. – Dowiaduję się też – ciągnął pan Collins – że i panicz Darcy będzie na tym ślubie. To jego „przepustka” z Eton, którą obdarował go pan Darcy. Lady Katarzyna donosi mi o tym w liście.

Po tych słowach pan Collins – okazując się równie niepomny na ulgę, którą przyniósł teraz pani Bennet, jak uprzednio był nieświadomy jej wcześniejszego poruszenia – w holu udał, że pomaga ubrać się

lady Lucas i nie minęło wiele czasu, gdy do Charlotty wracającej przez park do Longbourn dołączył mąż i matka.

Pani Bennet pozwoliła sobie na triumfalny uśmiech, kiedy jej goście w końcu wyszli. Pan Collins dostarczył jej prawdziwych wieści o miejscu pobytu Edwarda, demaskując lady Lucas jako osobę będącą wyłącznie intrygantką. Co więcej, wszyscy wrócili do domu, nie dowiedziawszy się tego, co tak bardzo chcieli wiedzieć. A jednak pani Bennet miała niemal niepohamowaną ochotę, by zwierzyć się komuś, wyjawiając mu nazwisko i pozycję swego gościa. Jako powiernica wchodziłaby w rachubę jedynie pani Long... Kiedy więc sylwetki pana Collinsa i lady Lucas wchłonęła gorąca mgiełka na drodze do Longbourn, pani Bennet poleciła, by zajechał powóz i poszła na górę, aby przygotować się do wizyty w mieście.

Rozdział 7

Pani Long jeszcze nie słyszała o owym wspaniałym powozie na podjeździe pani Bennet i początkowo była zbyt pochłonięta własnymi sprawami, by poświęcić gościowi nieco więcej uwagi.

– Stolik do gry ma być naprawiony! – żądała pani Long. – Jakże mam go ustawić na dzisiejszy wieczór dla majora Merrimana i panny Merriman, jeśli nogi będą się pod nim wyginać tak jak w zeszłym tygodniu? Już trzy dni temu obiecano mi, że jakiś człowiek tego dopilnuje, ale nie przyszedł. Powiadają też, że pojawi się okropna grypa, choć trudno mi w to uwierzyć; wszak mamy tak cudowne lato.

– Tak, rzeczywiście, jest cudowne – powiedziała pani Bennet ze sztucznym uśmiechem.

– To ma być wieczór muzyczny – mówiła dalej pani Long – a nie wiem doprawdy, czy ktokolwiek gra równie źle jak ta nieszczęsna panna Merriman... z wyjątkiem pani drogiej córki Mary, Panie, świeć nad jej duszą! Ona nie ma pojęcia, jak interpretować utwór... Nie mogę, jak sędzę, odwołać tego wieczoru z powodu braku stolika do kart... ale zrobiłabym to, droga pani Bennet, gdybym tylko mogła!

Pani Bennet zachowała milczenie, a ponieważ było to u niej tak niezwykle, pani Long szybko przeprosiła gościa za swój brak delikatności w mówieniu o zmarłej Mary Roper słowami, które były lekceważące i nieuprzejme.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje, doprawdy nie wiem! Pani z pewnością pogrążona jesteś w głębokim smutku z powodu pani Roper... twojej drogiej Mary, która, co najważniejsze, stała w kolejce do pozycji pani na Pemberley, gdyby, no właśnie, gdyby twoja córka Elżbieta nie obdarzyła pana Darcy'ego wspaniałym dziedzicem i spadkobiercą... – Tu pani Long znów się zatrzymała, wiedząc, że wkroczyła na niebezpieczny grunt i że pani Bennet nie przyjechała do Meryton, by rozmawiać o swoim wnuku, po tak wielu latach obaw z nim związanych. Wyrzuty sumienia – wszak pani Long miała czułe serce i nie lubiła oglądać swej przyjaciółki cierpiącej tak boleśnie – doprowadziły (po początkowych aluzjach w stronę pani Bennet) do serii bezpośrednich pytań o gościa, jakiego wcześniej przyjęła u siebie tego dnia.

Jednak pani Bennet teraz najwyraźniej zdecydowana była kazać pani Long poczekać w odpowiedzi na jej uprzejme dociekania.

– Zdaje się, że będę uprawniona do pieczętowania się herbem... dokładnie takim samym jak te, które ozdabiały ów powóz – rzekła na wstępie. – Trzeba to załatwić najpóźniej do następnego lata, gdy pojedę na dwór z moją wnuczką Mirandą... w rzeczy samej, każę je wytłoczyć na mojej papeterii, nie zaszkodzi bowiem, aby owi handlarze z Meryton dokładnie wiedzieli, komu cały czas służyli.

– Jeśli twój herb, pani Bennet, przywoła tu stolarza, wytłocz go zaraz! – rzekła pani Long ze śmiechem, który był trochę zbyt serdeczny.

– W istocie nie potrafię powiedzieć, czy ów nowy stan rzeczy zmieni moją pozycję w tej okolicy – rzekła pani Bennet po chwili refleksji, której pani Long nie chciała teraz zakłócać. – Jestem bowiem zaproszona do grona ośmiu najlepszych rodzin hrabstwa Hertfordshire, droga pani Long – mówiła dalej pani Bennet. – Mogłam o tym poinformować rodzeństwo Bingleyów i pana Darcy'ego już przy owej pierwszej okazji znajomości z nimi, w Netherfield. Nie, moja pozycja w tej okolicy nie ulegnie zmianie, nawet gdyby należało się do mnie zwracać w inny sposób niż ten, do jakiego zostały przyzwyczajone moje przyjaciółki!

– A jak trzeba się będzie do pani zwracać? – spytała pani Long, zaczynając się niepokoić. – Ufam, że nie zamierza pani ponownie wychodzić za mąż, droga pani Bennet? – Tu pani Long powstrzymała się od przypomnienia owego niefortunnego małżeństwa zaproponowanego pani Bennet przez jakiegoś pułkownika Kitchinera z Uplyme, do którego o mało nie doszło zaraz po ślubie Jane z panem Bingleym i Elżbiety z panem Darcym. – Nie pragnęłabys przecież powtarzać błędów przeszłości, droga pani Bennet – zakończyła pani Long, przylapując się na tym, że nie jest w stanie powstrzymać się od owego napomknienia.

Pani Bennet zaczerwieniła się na wspomnienie pułkownika Kitchinera, który – co całe Meryton dobrze pamiętało – był szubrawcem i oszustem. Nie większy' był z niego pułkownik niż ze sprzedawcy ryb (którym zresztą się okazał) z kramem na przystani w Uplyme i domkiem odziedziczonym po żonie zmarłej w podejrzanym okolicznościach.

– W moim wieku! – zaprotestowała słabo pani Bennet. – Wybacz, jeśli powiem, że sędzę, iż rozklekotany stolik do kart wprawił cię w wyjątkowo zły humor, pani Long. Najwyraźniej nie jest to odpowiedni dzień, by poinformować cię o moim odkryciu pochodzenia tak znamienitego, że zmienia

przyszłe perspektywy życiowe zarówno moje, jak i – mam nadzieję – moich ukochanych córek!

Pani Long, widząc, że pani Bennet wzburzyła się ponad rozsądną miarę, otworzyła okno. Z pewnym ociąganiem zaproponowała też gościowi brzoskwinowy sorbet przygotowany na wieczorne przyjęcie, którego pani Bennet szybko i chętnie spróbowała.

– Twoje pochodzenie – rzekła pani Long, udając, że nie zagląda w szklany deserowy puchar i jego puste dno. – A jakież ono może być, moja droga pani Bennet?

Pani Bennet – głosem początkowo tak cichym w swej skromności, że pani Long musiała pochylić się do przodu, by łowić jej słowa – wyjaśniła, że właśnie tego dnia odwiedziła ją w Meryton Lodge lady Harcourt. Lady Harcourt poinformowała panią Bennet, że są spokrewnione... że pani Bennet może, tak jak sama lady Harcourt, wywodzić swe pochodzenie od króla Wilhelma Zdobywcy... że jest ono równie normańskie jak pochodzenie wszystkich Harcourtów i że pani Bennet ma prawo używania tego nazwiska (przed swoim własnym, naturalnie) a także herbu Harcourtów.

– Pani Harcourt-Bennet... – spróbowała pani Long. – Muszę przyznać, że minie trochę czasu, nim się do tego przyzwyczaję.

– Zechciej pani przyzwyczać się do tego szybko – odparła ostro pani Bennet. – I bądź łaskawa poinformować o tym tych moich znajomych, których spotkasz dziś w mieście!

Pani Long rzekła, że nie ma w planie dziś spotykać nikogo oprócz stolarza.

– Lady Harcourt zaprasza mnie do Londynu i niebawem wyjeżdżam – powiedziała pani Bennet, która zachowała tę ważną informację na koniec. – Ma dom w Green Park... wspaniały, jak powiadają.

– Zatem prawdopodobnie spotkasz się pani ze swoim wnukiem, paniczem Darcym – powiedziała pani Long starannie dobranym tonem. – Czy to nie od lady Lucas słyszałam, że młodego dziedzica Pemberley widziano ostatnio spacerującego w tamtych stronach, lub też może wałęsającego się? Czyż to nie w Picadilly widziano pani wnuka?

Rozdział 8

Elżbieta przywitała gości z serdecznością i słodyczą, z jakiej znana była przez wszystkich, którzy ją kiedykolwiek spotkali, i cieszyła się widząc, że ów burkliwy wyraz podziwu lady Katarzyny de Bourgh wobec umiejętności zarządzania Pemberley miał pewną szczerą łatwą do rozpoznania u kogoś, kto tak bardzo przyzwyczajony był do wygłaszania swojej opinii na każdy, nawet najbardziej delikatny temat.

– Moja droga Elżbieto, z pewnością wszyscy jesteście dziś z ciebie dumni. W tym domu rzadko widać było takie rezultaty troski i talentu, jak twoje... Cienie Pemberley są doprawdy usatysfakcjonowane!

Elżbieta odparła, że dom tak elegancki potrzebuje tyle starań, ile nakazują jego rozmiary, choć nie była w stanie ukryć uśmiechu na wspomnienie owej beczelności, niechęci i nieprzychylności ciotki pana Darcy'ego w czasie, gdy poślubiał on, jakąś pannę Elżbietę Bennet". Mogła zaakceptować to, że z pewnością zdobywa zaufanie za udoskonalenia w Pemberley, ale lady Katarzyna widziała też – co za pech! – bunt Edwarda i jego odmowę okazania rodzicom szacunku, i wtedy również nie była przyjemna.

Dobry nastrój długo nie opuszczał Elżbiety, która odsunęła na bok te wspomnienia. Czyż bowiem ta straszna lady Katarzyna nie była teraz najbardziej uległa? I czyż nie umacniało to nadziei na harmonijne letnie spotkanie w Pemberley? Właśnie owo uznanie, Elżbieta musiała to przyznać, było jej największym szczęściem, bo czyż dzisiaj nie była sto razy szczęśliwsza niż dziewiętnaście lat temu? I czyż ona i Darcy nie kochali się teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem? Pojechać do owego miasta na wozie tylko z nim, gdy skończą się wszystkie uroczystości ślubne... to mogłoby się stać jej drugimi zaślubinami z Darcym... Elżbieta wiedziała, że jego uczucia były takie same. Lady Katarzyna musiała odczuć ten małżeński zachwyty między swoim siostrzeńcem a jego żoną, myślała Elżbieta, i z pewnością – mimo całej początkowej determinacji, by zapobiec temu mariażowi – pogodziła się z ich małżeństwem. Ponadto owa inteligencja, której Edward – po tak trudnym starciu – dowiódł, i fakt, że jest godny rodowego nazwiska, wszystko to musiało wpłynąć na odmienne zachowanie lady Katarzyny. Elżbieta z zachwytem odpowiadała na jej dociekliwe pytania o charakter szkolnych postępów Edwarda, o środek transportu, który dowiezie go do hrabstwa Derbyshire i o trasę, którą wybrał jego ojciec.

– Powinien tu być około czwartej i zje z nami kolację – mówiła Elżbieta. – Edward z pewnością uradowany jest, tak jak my wszyscy, szczęściem pułkownika Fitzwilliama, bo pułkownik Fitzwilliam uczył go strzelania, wędkowania i polowania. Fakt, iż pan Falk pozostaje tu, by pomagać Edwardowi kontynuować naukę w czasie wakacji, doskonale dopełni jego edukacji.

– Szkoda, że nie może przydać mu kilku cali wzrostu – rzekła lady Katarzyna. – Chyba w całej historii Pemberley nie było dziedzica o tak znikomej posturze.

Elżbietę zirytowały te słowa, ale postanowiła nie zważać na lady Katarzynę, choć kilka minut wcześniej w głębi duszy chwaliła jej odmienioną postawę wobec rodziny siostrzeńca.

– Lady Sophia przyjeżdża wcześniej – powiedziała Elżbieta, myśląc, że lepiej zmienić temat rozmowy i pozostawić na boku kwestię niskiego wzrostu nieszczęsnego Edwarda. – Ośmielam się przypuszczać, ciociu Katarzyno, że już wcześniej ją poznałaś.

– Na pewno nie – padła odpowiedź. – Nie jest moim zwyczajem włączyć się po pustkowiach Szkocji. Nigdy nie wiadomo, jakie barbarzyństwo może tam człowieka spotkać.

Do długiej galerii, w której Elżbieta podejmowała ciotkę, weszła Miranda i postawiła na stołach dwa puchary złotych róż. Czowała na sobie drwiące spojrzenie lady Katarzyny, ale – podobnie jak matka – wolała raczej zlekceważyć maniery owej damy, niż się nimi martwić. Dzisiaj jednak nie mogła się powstrzymać od uczynienia sobie zabawy kosztem ciotki i niewinnym, ale dla Elżbiety natychmiast rozpoznawalnym tonem zapytała, czy lady Katarzyna zna dom, z którego przybywa dzisiaj narzeczona pułkownika Fitzwilliama.

– To jakiś zamek znacznie większy niż Pemberley – mówiła Miranda, unikając spotkania ze wzrokiem matki. – Bardzo stary... Rezydencja Makbeta, jak poinformowano pułkownika Fitzwilliama.

– Cóż za nonsens, Mirando! – wykrzyknęła lady Katarzyna, a dziewczę odwróciło wzrok, by ukryć śmiech. – Ci barbarzyńcy nie mają pojęcia o cywilizacji, walczą między sobą i stawiają sterty kamieni, które nazywają zamkami!

Do domu wszedł uśmiechnięty pan Darcy, prowadząc obok siebie z jednej strony pułkownika Fitzwilliama, z drugiej zaś jego narzeczoną. Miranda, chwytając karcące spojrzenie matki (bo Elżbieta

skręcała się ze śmiechu na sporządzony przez lady Katarzynę wizerunek rodu, z którego pochodziła narzeczona jej drugiego siostrzeńca, i – aby ukryć rozbawienie – mogła jedynie zmarszczyć brwi) pobięła przywitać tę parę, która właśnie została przyprawdzona, by narzeczona mogła poznać panią Darcy i lady Katarzynę do Bourgh.

Rozdział 9

Lady Sophia Farquhar była szczupłą, wysmukłą kobietą o głęboko osadzonych oczach i niemodnie uczesanych włosach. Można by ją wziąć za chłopca, który wychowywał się nie otrzymując niezbędnej wiedzy o zaletach swojej płci lub przynajmniej za kobietę, która chciała otwarcie pokazać, że się wyrzeka niewieściej próżności. Już niebawem stało się jasne, że w lady Sophii nie było niczego sztucznego; okazało się to zwłaszcza w chwili, gdy Elżbieta, najserdeczniej ściskając dłoń swojej nowej kuzynki, życzyła jej wiele szczęścia na nowej drodze życia.

– Małżeństwo jest aktem wyboru – odparła lady Sophia głosem tak twardym i donośnym, że Elżbieta zdumiała się, iż pułkownik Fitzwilliam mógł znieść wizję życia w jego zasięgu.

– W rzeczy samej – rzekła lady Katarzyna, która podeszła bliżej, by bacznie przyjrzeć się narzeczonej swego siostrzeńca, a w jej tonie można było usłyszeć nutę dezaprobaty. – Ośmielam się sądzić, że jest pani świadoma swego wyboru. Człowiek na wojskowej rencie nie mieszka w pałacach i choćby starał się jak najlepiej prosperować dzięki swoim owcom i zwierzynie, nie ma innego wyboru niż ten, o którym mówi stare porzekadło: tak krawiec kraje, jak materii staje...

– Taki jest los drugiego syna – wtrącił ze śmiechem pułkownik Fitzwilliam, a Elżbieta przypomniała sobie, z pewną irytacją, że stary przyjaciel już wcześniej skarżył się na ubóstwo jako drugi syn pewnego lorda w Rosings, gdy tylko go poznała, i że zbeształa go wtedy za to, kiedy spacerowali po wielkim parku lady Katarzyny.

– Będę więc żoną farmera niczym owa biblijna gospodyni domowa – powiedziała lady Sophia.

Jakiś głos rozległ się teraz zza pleców naręczonych i całe towarzystwo mogło się przekonać, że pan Falk, guwerner Edwarda, przyłączył się do zgromadzonych gości i rodziny.

– W Biblii nie ma żadnej gospodyni domowej – rzekł pan Falk.

Elżbieta opanowała rozbawienie i dokonała prezentacji. Pan Falk, naturalnie, znany był lady Katarzynie i zaledwie tolerowany przez pana Darcy'ego, zaś Miranda była bardzo przywiązana do tego leciwego człowieka, którego łysa głowa i coraz bardziej nerwowe wypowiedzi stanowiły znaczącą część miłych wspomnień z dzieciństwa. Czy owe maniere pana Falka (to korygowanie lady Sophii w znajomości Pisma Świętego, a więc i jej przyszłej roli żony pułkownika Fitzwilliama!) można mu było wybaczyć, wydawało się wątpliwe, więc Elżbieta postanowiła delikatnie porozmawiać z nim później na temat sposobu, w jaki powitał nowego honorowego gościa w Pemberley.

– Chciałabym, by obejrzała pani kaplicę i zaaprobowała jej dekorację. – Elżbieta zwróciła się do lady Sophii. – Mam nadzieję, że zechce pani dodać kilka szczegółów, które z radością powitamy, ponieważ Miranda i ja pracowałyśmy według własnych gustów i potrzebujemy pani rady.

Fakt, iż Elżbieta przez lata małżeństwa z panem Darcym nauczyła się taktu i dyplomacji, był znany i doceniany szeroko i daleko. Jednak ani takt, ani dyplomacja nie mogły zapobiec następnej równie niemile widzianej wizycie w wielkiej galerii i przez chwilę pani Elżbieta Darcy uległa owemu uczuciu oszołomienia i lęku, jakie znała ze swego pierwszego przyjęcia, które wydała wkrótce po ślubie. Czuła, że się rumieni i że ciemne, okrągłe jak guziki oczy lady Sophii wpatrują się w nią ze zdumieniem.

Panna Karolina Bingley – bo to ona właśnie się pojawiła poprzedzana przez swego brata Karola i ukochaną siostrę Elżbiety, Jane – nie wyszła za mąż. Porzuciwszy nadzieję na zdobycie za męża pana Darcy'ego, stała się coraz bardziej kapryśna w doborze towarzystwa i w ciągu niespełna kilku lat została samotna i wdzięczna – jak należało sądzić, bo owa wdzięczność nigdy nie została wyrażona – otrzymując dożywotnie utrzymanie w niewielkiej posiadłości Karola Bingleya. Jako ciotka dzieci Jane i Karola była daleka od doskonałości. Jej skłonność do odnajdywania mrocznych i nieprzyjemnych stron życia skłaniała ją do opowiadania takich bajek, które niezmiernie przerażały młodych Bingleyów, czyniąc to tak często, że dobroduszna Jane wkraczała, by powstrzymać swoje potomstwo od uznania cioci Karoliny za czarownicę.

Karolina Bingley przywitała lady Sophię spojrzeniem tak otwartym i nieustraszoną, jak to, którym spoglądała przyszła małżonka pułkownika Fitzwilliama i chociaż Elżbieta w głębi duszy cierpiała nad możliwymi powodami, dla których jej stary przyjaciel – i kuzyn Darcy'ego – zdecydował się poślubić osobę taką jak lady Sophia, to jednak równie skrycie musiała przyznać, że panna Karolina Bingley ma szansę w końcu spotkać swoją partię. Nie wzięła jednak pod uwagę bezpośrednich obserwacji panny Bingley i złościła

się później, odkrywszy swą własną irytację, powodującą napięcia, które normalnie potrafiła rozproszyć.

– Doprawdy, droga Lizzy, mogłabyś powiedzieć parobkowi w swojej wzorowej mleczarni, żeby trochę uważał i nie wrywał rogów tym nieszczęsnym bykom z takim okrucieństwem! Zjazd z drogi do uroczego parku Pemberley obok ryków owych ohydnych zwierząt całkowicie wywraca mi żołądek!

– Przecież niekoniecznie trzeba zadawać im ból w czasie takiej operacji – ozwała się lady Sophia głosem brzmiącym niczym trąba lub róg, jaki słyszy się nocą na morzu. – W hodowli bydła istnieją nowoczesne metody zarówno obcinania bykom rogów, jak i usuwania im jąder.

Teraz nawet panna Bingley żałowała wyboru tematu i zaczęła wypytywać lady Sophię o jej rodzinę i posiadłości.

– Wielokrotnie słyszałam opowieści, że kolekcja Farquharów jest najlepsza na północ od granic ze Szkocją. I że pani matka, hrabina, została zachwycająco sportretowana przez Allana Ramsaya oraz że w zamku Farquhar znajdują się włoskie arcydzieła nie mające sobie równych w okolicy. Słyszałam też, że zbudowano tam wspaniałą bibliotekę, która jest przedmiotem zazdrości wielu koneserów w tym kraju. Bez wątpienia będzie tam pani często wracać z mężem...

– W sezonie kocenia się owiec z pewnością nie będę podróżować – odparła lady Sophia tonem, który zdawał się zachęcać, namawiać, ostrzegać wszystkich zebranych w tym pokoju przed zaniedbaniem obowiązków wobec stad i trzód. – Będę wstawać o świcie, by rozpaćić ogień i smażyć placki dla pasterzy. Nie spodziewam się, abym miała wiele czasu na podróże za północną granicę, gdzie – w każdym razie – dziedziczy wszystko jakiś kuzyn, który jest mi praktycznie zupełnie obcy.

– Oto okrucieństwo prawa majoratu! – wybuchnęła lady Katarzyna. – Czemu dom ma być dziedziczony w linii męskiej?! Jak zapewniał sir Lewis, nasza córka Anna dziedziczy Rosings i na tym koniec!

– To nieuprzejme wobec naszych gości, by tak długo rozwodzić się nad kwestią majoratu – rzekł pan Darcy, który uśmiechał się, by okazać serdeczność narzeczonej swego kuzyna, ale najwyraźniej tracił już cierpliwość. – Czy wolno mi zaproponować, byśmy udali się do kaplicy, aby obejrzeć dzieło Elżbiety i Mirandy? Dzień mamy tak piękny, więc możemy też pospacerować po parku, bo później grozi nam burza.

– Och nie, papo! Z pewnością nie będzie burzy! – wykrzyknęła Miranda i podbiegła, by uwiesić się u jego ramienia, a tak wyraźne uczucie córki do ojca szybko poprawiło atmosferę wśród tych, którzy zebrali się w galerii, by poznać narzeczoną pułkownika Fitzwilliama.

– Dlaczego, na miłość boską, żeni się z nią? – zapytała panna Bingley donośnym szeptem, gdy towarzystwo zeszło przez różne hole i kondygnacje szerokich schodów do kaplicy. – W ogóle nie mogę tego zrozumieć!

– Nikt nigdy nie uczynił niczego równie głupiego – rzekł pan Falk, gdy czekali, by pozwolić lady Sophii wkroczyć do ozdobionej i przesyconej zapachem kwiatów prywatnej kaplicy dworu Pemberley.

Rozdział 10

Elżbieta, zadowolona, że Jane gościła w Pemberley, po szybkim obejrzeniu dekoracji kaplicy znalazła siostrę w pokoju, gdy zmywała pył z twarzy młodszego syna i rozmawiała ze swą najstarszą córką, Emily. To dziewczę, które miało teraz dziewiętnaście lat, było ulubienicą cioci od czasu swego dzieciństwa... od czasu, gdy Elżbieta często przyjeżdżała do Barlow z problemami pierwszych lat małżeństwa, aby zasięgać rady u siostry i pana Bingleya.

– Dziwne, że jest tyle kurzu w tak piękny, słoneczny dzień – rzekła ze śmiechem Jane. – Bez wątpienia ten chłopak bawił się gdzieś na farmie, a mówi mi, że dano mu jakieś zajęcie w mleczarni.

Zawstydzenie, jakie czuła Elżbieta w związku ze sporządzonym przez pannę Bingley obrazem męczarni zwierząt, nieuchronnie wyszło teraz na jaw, więc Jane, umywszy syna, potrząsnęła ze smutkiem głową i odesłała go do pokoi dziecinnych, gdzie czekała na chłopca misa świeżych jagód, a potem – w parku – gra w wolanta z bratem i siostrą. Emily także, czując, że mama chce zostać sama ze swoją siostrą, znalazła jakieś usprawiedliwienie i wyszła z pokoju, nie omieszkawszy jednak, przechodząc obok Elżbiety, złożyć lekkiego pocałunku na jej policzku.

– Nie powinna ciocia przejmować się lady Sophią – powiedziała poważnym tonem, który był przyjemnie złagodzony dowcipem – ponieważ ma ona swoje własne pomysły i pragnie narzucić je innym; wszak zanim jeszcze weszła na górę, by cię poznać, była już w kuchni, by dyktować przepisy na dziecięce posiłki. „Żadnych puddingów – mówiła – a jedynie robione po szkocku świeże twarogi precedzane przez muślin i podawane bez jakichkolwiek dodatków”.

Emily opowiedziała to donośnym głosem lady Sophii, tak że zarówno jej matka, jak i ciotka wybuchnęły śmiechem.

– Cóż ona sobie wyobraża, że może wchodzić do kuchni bez mojego pozwolenia?! – wykrzyknęła Elżbieta, a potem, widząc wyraz twarzy Jane, roześmiała się znowu i zostawiła całą sprawę.

– Nie spodobała jej się dekoracja, jaką Miranda i ja zrobiliśmy w kaplicy – powiedziała Elżbieta – ponieważ jej zdaniem to jaskry i stokrotki są bożym kwieciami, które się żółci i bieli na łąkach, nie zaś lilie i białe róże, które hodujemy w Pemberley, a które ona uważa chyba za diabelskie girlandy.

– To dziwne, skoro jej rodzina jest, jak powiadają, tak daleka od szorstkości i niedelikatności. Farquharowie wszędzie znani są z dobrego gustu, wyrafinowania i zamożności – rzekła Jane. – Lady Sophia utraciła swój zamek na rzecz jakiegoś kuzyna i wynagradza to sobie surowością poglądów. Być może to leży u podstaw jej zachowania.

– Wszak Miranda także nie odziedziczy Pemberley... Jest starszym dzieckiem i mogłaby słusznie czuć żal. Kocha tę posiadłość, zna się na gospodarstwie, a jeszcze ani razu nie uskarżała się, że, gdy przyjdzie na to czas, wszystko należeć będzie do Edwarda!

– Niewiele osób dorównuje Mirandzie – spokojnie zauważyła Jane. – Lizzy, widzę, że smucisz się utratą przyjaciela w osobie pułkownika Fitzwilliam, bo nie potrafisz uwierzyć, że owa przyjaźń będzie trwać nadal, gdy będzie miał żonę. To przykre... ale za rok lub dwa każde z nich odnajdzie jakieś zainteresowania, które wykluczają niepożądane spotkania, ty zaś mieć będziesz w pułkowniku Fitzwilliamie wspólnego z Darcym przyjaciela w tej samej mierze co przedtem.

– Ale dlaczego, Jane, dlaczego? – zapłakała Elżbieta, bo nie potrafiła dostrzec żadnej przyszłej radości. – Cóż on w niej może widzieć? Lady Sophia jest przeciwieństwem kobiety, jaką na żonę wybrałby drogi pułkownik Fitzwilliam.

– Potrzebna mu pomoc przy inwentarzu – powiedziała Jane. – Potrzebny mu partner do gospodarowania na ziemi, która jest głównie wrzosowiskiem zbyt surowym i niegościnnym, by przynosić zyski i zapewniać luksusowe życie.

– Masz rację – rzekła Elżbieta, kiwając głową. – Zapominam, że my jesteśmy bogaci, a pułkownik Fitzwilliam musi utrzymywać się tak, jak może z owej ubogiej ziemi. Nie... Lady Sophia jest idealną żoną dla farmera.

Jane i Elżbieta odwróciły od siebie wzrok, by nie prowokować się wzajemnie do żartów, ale powstrzymanie się od dalszego komentarza okazało się niemożliwe dla Jane, która znów zaczęła mówić łagodnym tonem, że pułkownik Fitzwilliam tak długo zakochany był w Elżbiecie, że trudno mu dostrzec

zalety innej panny.

– Wiesz, że to prawda, Lizzy. Wielbił cię jeszcze przed oświadczynami Darcy'ego w Rosings. On żył tylko dla twojego szczęścia oraz po to, by mieć pewność, że Edward będzie doskonałym sportowcem trzymającym się z dala od kłopotów, ponieważ on się starzeje. Lękasz się tej straty... także z powodu Darcy'ego, chciałabyś, żeby bardziej troszczył się o wychowywanie dzieci. Choć wyraźnie widać jego ojcowską miłość do Mirandy, nigdy nie okazał dziecku tej niezbędnej cierpliwości, jakiej Edward wymaga, na jaką zasługuje i właśnie dlatego cierpi. W rzeczy samej, widzę, że i z tego powodu przeraża cię nieobecność pułkownika Fitzwilliama. Musisz jednak pozwolić temu człowiekowi na jego własne życie i własne szczęście!

– Masz rację, Jane! – powiedziała Elżbieta. – Stałam się taka samolubna, że ledwie sama mogę w to uwierzyć. I naprawdę wiem – dodała cicho – że Darcy nie jest łatwy w stosunkach z dziećmi. Podczas naszych pierwszych świąt Bożego Narodzenia w Pemberley dał mi to odczuć... choć miał dobry powód, by odwołać dziecięce przyjęcie, w które włożyłam tyle wysiłku i troski!

– Zaiste, to był dobry powód – rzekła Jane, której poczucie sprawiedliwości i łagodność charakteru znacznie dojrzały od chwili adopcji syna Karola Bingleya i zaakceptowania przez nią owej tajemnicy męzowskiej przeszłości. – Podczas gdy Karol chce budować życie swoich dzieci czułymi słowami, szafasami wśród drzew i wszystkim, czego mogą potrzebować, Darcy trzyma się zasad minionej epoki. Jego własny ojciec był bardziej czuły, wychowując Darcy'ego i jego siostrę, niż obecny pan na Pemberley! Ale ty go wciąż kochasz, Lizzy, i tylko wypada mieć nadzieję, że go nakłonisz... teraz, gdy złagodniał do tego stopnia, że pozwala Edwardowi przyjechać na ów ślub... do rozmowy z synem, jak z równym sobie i aby raczej pochwalał jego działania, niż ostro go za nie krytykował. Wcale się nie dziwię, że brak ci pułkownika Fitzwilliama jako mediatora między ojcem i synem.

– Spróbuję – powiedziała Elżbieta, a potem zwierzyła się siostrze, że ona i Darcy będą mieli okazję, by porozmawiać o Edwardzie, kiedy razem znajdą się we Włoszech, daleko od Pemberley. – Ponieważ tutaj, przynajmniej – mówiła – pojawia się kwestia dziedzictwa, która kładzie się cieniem na każdej opinii Darcy'ego o synu. Pobyt z dala od pana Falka i jego poglądów dotyczących postępów Edwarda także umożliwi nam bardziej wyraziste spojrzenie... Przrzekam ci, Jane!

W korytarzu rozległy się jakieś kroki, więc siostry odsunęły się od siebie, nie chciały bowiem wyglądać jak konspiratorki, siedząc tak blisko przy oknie.

– Spróbuję ci uwierzyć – odparła ze śmiechem Jane – ale przynajmniej, że widzę w Wenecji raczej parę zakochanych gołąbków, niż konferujących rodziców.

Elżbieta uśmiechnęła się i potrząsnęła głową, gdy kroki zbliżyły się i zatrzymały u drzwi, i Darcy zapylał Jane, czy jej siostra jest w środku.

Jane odpowiedziała twierdząco i uśmiechnęła się jeszcze bardziej, gdy Elżbieta wyszła z pokoju do męża i słychać było ich przyciszone głosy. Potem rozległ się szczęśliwy śmiech Elżbiety prowadzonej przez Darcy'ego i szelest jedwabiu jej sukni, omiatającej drogę do apartamentów pana i pani na Pemberley.

Rozdział 11

Dla pani Bennet dni w Meryton Lodge stały się nieznośnie długie, noce zaś były teraz najkrótsze w roku, a brak jakiegokolwiek zaproszenia, które pozwalałoby wyjechać z Hertfordshire, doskwierał jej do ostatecznych granic.

– Nie rozumiem, dlaczego nie jedzie pani do Kitty, choćby po to, by zmienić klimat – rzekł pan Collins, który odbierał w tym czasie wiele wizyt pani Bennet, wysyłany na jej powitanie przez swą żonę Charlotte, wynajdującą sobie wiele pilnych zajęć, gdy tylko zapowiadano tego gościa w Longbourn. – Wszak Kitty zawsze rada panią widzi, nawet jeśli krąg towarzyski, w jakim się obraca, ma ograniczony charakter i nie ma w nim zbyt wielu osób o dużym znaczeniu. Brighton nie leży przecież daleko, więc mogłaby pani tam się udać, pani Bennet.

– Pani Harcourt-Bennet! – Pani Bennet przypomniała mu oschłym tonem. – Nie zapominaj pan o moim nowym tytule, panie Collins, doprawdy, bardzo proszę!

– Pani Harcourt-Bennet – poprawił się pan Collins z grymasem mniej zamaskowanym, niż sobie wyobrażał. – Jeśli pani znajoma, lady Harcourt, zaprasza panią do Londynu, to czemu zwleka pani z wyjazdem?

Pani Bennet odparła, że nie ustalono jeszcze konkretnego dnia.

– Poza tym, tak wielu spraw muszę tu dopilnować, panie Collins! – dodała. – Trzeba wymalować Meryton Lodge od środka i na zewnątrz! Dach wymaga nowych gontów! Najbardziej niezadowolona jestem ze stanu ogrodu. Nie można dopuścić do zaniedbania tego miejsca, szczególnie gdy jego właściciel i uprzejmy opiekun niebawem przybędzie z wizytą!

Pan Collins wyraził zdumienie tym oświadczeniem pani Bennet, że podejmować ona będzie w Meryton Lodge tak wyjątkowego gościa jak pan Darcy.

– List nadszedł dziś rano... od kochanej Elżbiety! Rozumie ona doskonale, że możemy nie mieć tych wszystkich udogodnień i wygod, do których pan Darcy jest niewątpliwie przyzwyczajony. Pisze, że złożą mi wizytę tuż po mającym się odbyć w Pemberley ślubie pułkownika Fitzwilliama i lady Sophii, ponieważ wkrótce potem wyjeżdżają do Włoch. Ja zaś jestem bardzo niezadowolona, panie Collins, że państwo Darcy nie wybrali Sanditon bądź Weymouth. Mam nadzieję, że będę mogła zasugerować panu Darcy'emu, by wybudował tam nadmorską willę. Byłoby to najlepsze dla dzieci, a mnie zapraszano by jako przyzwoitkę kochanej Mirandy, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

– Lady Katarzyna usilnie odradza nadmorskie regiony – rzekł pan Collins. – Powietrze jest tam bowiem nader szkodliwe dla płuc, a osoby, które wylęgają na plaże większych miasteczek, zasługują na najsurowsze potępienie!

Właśnie w tej chwili przyszła z ogrodu Charlotta Collins, niosąc koszyk owoców. Mimo swego dobrego charakteru, zaczęła się już lękać wizyt pani Bennet, ale ponieważ także i ona odebrała dziś list z Pemberley od swej drogiej przyjaciółki Elżbiety, ucieszyła się wiadomością, że Elżbieta i Darcy odwiedzą Meryton Lodge w drodze na kontynent. Fakt, że upłynęło wiele czasu od chwili, gdy Elżbieta widziała swą matkę, był boleśnie wiadomy, a z tą wiedzą przyszło wyznanie winy. „Darcy uprzejmie zaakceptował ten pomysł – pisała Elżbieta w swym liście do Charlotty – i twierdzi, że rad będzie ponownie odwiedzić Netherfield, gdzie, jak wiesz, poznaliśmy się przed laty”. Elżbieta kończyła list, życząc swej drogiej Charlotcie wszelkiego szczęścia i zapewniając o niecierpliwości, z jaką oczekiwała na ponowne spotkanie. Bardzo prawdopodobne, że to jakaś miara owej zachwycającej niecierpliwości sprawiła, iż Charlotta uszczypliwie odniosła się do matki swej nieobecnej przyjaciółki, na co normalnie nigdy by sobie nie pozwoliła. Obecność pana Collinsa, którego ta wizyta sprowadziła ze swoich pokoi, gdzie – jak można się było po nim spodziewać – zwykłym biegiem rzeczy pozostałby przez cały dzień, była niewątpliwie kolejną przyczyną tak krótkiego powitania pani Bennet przez Charlotte. Cokolwiek jednak je spowodowało, szybko zrezygnowano ze wspólnego spaceru po ogrodzie, a złożona przez panią Collins oferta kucyka i powoziku została rychło przyjęta.

– Przykro mi tylko – rzekła pani Bennet, wchodząc do owego pojazdu – że nie miałyśmy dość czasu, by porozmawiać, droga Charlotto! Przywiozłam kilka skrawków materiałów, by ci je pokazać... trochę pięknego brokatu, nieco jedwabnej organdy i haftowanego muslinu. Pani Long mówi mi bowiem, że to zbyt

młodsze jak na moje lata!

Charlotte odparła, że z pewnością będzie jeszcze czas, by obejrzeć te materiały, gdy pani Bennet przyjedzie ponownie... i – jakież to będzie zachwycające! – w towarzystwie Lizzy.

– Mam nadzieję, że przynajmniej jedna z owych sukien, po które posłałam, będzie gotowa, gdy pan Darcy przyjedzie do Me– ryton. Wspaniała suknia, Charlottto... jakże musi ci tego brakować, gdy ci o nich opowiadają! Haftowana złotą nicią i perłami!

Zarówno pan, jak i pani Collins zapewnili panią Bennet, że z niecierpliwością czekają, aby ujrzeć tę suknię.

– Lady Harcourt zamówiła ją dla mnie w Londynie – rzekła pani Bennet, rozkładając parasol, a woźnica przynaglił kucyka, bo dzień był upalny.

– Lady Harcourt? – z rzadką zgodnością zapytali państwo Collinsowie.

– To suknia odpowiednia, by nosić ją w dniu prezentacji Mirandy na dworze, służyć więc będzie dobrze na różne okazje.

Wyasygnowałam lady Harcourt pięćdziesiąt gwinei nie licząc datków, jakie przekazałam dla jej drogich podopiecznych, moja zacna Charlottto. Wszak należeć do rodziny Harcourtów to znaczy być szczerą dla ubogich!

Zanim Charlotte zdołała wyrazić zdumienie wysokością kwoty wywiezionej przez lady Harcourt, pan Collins odwrócił się na pięcie i poszedł do swego gabinetu, gdzie czekał na niego imponujący wolumin, poświęcony zaspokajaniu ciekawości każdego, kto chciał poznać pochodzenie i zdobyć wszystkie inne informacje o osobach takich jak lady Harcourt.

– To wszystko wygląda bardzo dziwnie, Charlottto – rzekł pan Collins przy najbliższym spotkaniu z żoną w jadalni, czy też salonie w Longbourn. – Zaiste, bardzo dziwnie...

Rozdział 12

Elżbieta nie mogła sobie przypomnieć od kiedy – od swego pierwszego roku w Pemberley – z tak dojmującym lękiem myślała o owym obiedzie, który czekał na zgromadzone towarzystwo o czwartej. Wystarczyło popatrzeć na pana Falka; to prawda, że – jak od czasu do czasu w przystępie dobrego humoru mawiał pan Darcy – leciwy guwerner widział się w roli preceptora i zanim jeszcze towarzystwo weszło do salonu, zapoznał lady Katarzynę de Bourgh z rozmaitymi poglądami, które bynajmniej nie zostały dobrze przyjęte. Najbardziej niepokojące z jego oświadczeń dotarło do niej wtedy, gdy panna Bingley niechętnie, choć mogłaby to uznać za dobre wydarzenie w rodzinie, przekazywała gratulacje swojej siostry, pani Hurst i swoje własne z okazji wyróżnienia panicza Darcy'ego w Eton.

– Sukcesy panicza Darcy'ego sprawią, że będzie pan rozchwytywany, panie Falk! Ośmielam się powiedzieć, że Elżbiecie i Darcy'emu przykro będzie pana stracić.

Ku przerażeniu Elżbiety pan Falk odrzekł bez ogródek, że zje własny kapelusz, jeśli jego uczeń zdobył jakiegokolwiek wyróżnienie, a lady Katarzyna przeszywała go wzrokiem pełnym wściekłości, szczególnie gdy posunął się dalej, twierdząc, iż prędzej któryś z kuchcików w Pemberley osiągnie takie wyróżnienie, niż panicz Darcy, i że chłopiec z pewnością sam **wszystko** wymyślił.

– To jest najbardziej zatrważające – obwieściła lady Katarzyna, która wbiła wzrok w starego człowieka, nie robiąc zresztą na nim żadnego wrażenia, bo zdawał się nieporuszony jej uwagami. – Słyszysz, Darcy?! Mamy tu przypadek oszustwa, jak sądzi pan Falk!

Tym razem Elżbieta uchroniła swego męża przed rosnącym cynizmem i obojętnością pana Falka, ale miała kolejny powód, aby lękać się owego posiłku, który zaplanowano dla uczczenia przyjazdu panny młodej, lady Sophii, i który – jak można oczekiwać – potrwa kilka godzin. Mogła jedynie stwierdzić, że Darcy był uprzejmy, kiedy powiedział, iż pan Falk nie powinien opuszczać Pemberley... Jednak Elżbieta, nawet jeśli nie przyznawała się do tego nikomu, oprócz siebie samej, obawiała się, iż Edward pewnego dnia będzie znów potrzebował nauczyciela. Ponadto – do czego również nie mogła się przyznać – znaczna część supozycji pana Falka wydawała się jej prawdziwa. Od czasu nadejścia listu Edwarda wielokrotnie budziła się w nocy, dziwiąc się, że ze szkoły nie nadeszło żadnego potwierdzenia jego sukcesów, ale Darcy wydawał się usatysfakcjonowany sposobem, w jaki syn przekazał dobre wieści i posunął się tak daleko, że pochwalił znacznie ładniejszy charakter pisma Edwarda, który był rzeczywiście nieskazitelny. Poza tym wyraził też zgodę na przyjazd Edwarda na ślub pułkownika Fitzwilliama. Karmienie go dalszymi podejrzeniami o naturze syna byłoby więc zgoła niedyplomatyczne.

Dzień był piękny i Elżbieta postanowiła jeszcze przed obiadem pospacerować. Pokazała lady Sophii przygotowany dla niej pokój, wysłuchiwała kąśliwych uwag o chińskich tapetach oraz cudownie pięknych kwiatach i poczuła się królem Midasem lub przynajmniej pretensjonalną damulką o złym guście. Poszła więc wysoko, na wzgórze, aż do Wieży Myśliwych, i spoglądała stamtąd ku innym hrabstwom, gdzie każda rodzina z pewnością miała swoje kłopoty, ale przynajmniej nie były to jej zmartwienia i nie musiała się nimi denerwować. Usiadła w miejscu, gdzie siadywała niegdyś samotna królowa, Maria Stuart, by przyglądać się jeźdźcom z ogarami, których głosy niosły się w dolinie. Piękny letni dzień sprawił jakiś czar i Elżbieta miała przeczucie, że nie jest jedyną osobą podziwiającą piękno tego krajobrazu. Ale jeszcze istniało coś, co głęboko w sobie skrywała.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa był to rosnący strach, że Edward nie powiedział całej prawdy lub że może pojutrze nie przyjechać. Strach, który – połączony z obecnością pod jej dachem w Pemberley panny Karoliny Bingley i lady Sophii (kolejnego wyzwania, jakiemu trudno było sprostać) – skłonił Elżbietę do pokonania biegiem ostatniego odcinka leśnej ścieżki ku szczytowi wzgórza, które spoglądało na otaczającą go okolicę. Nie obejrzała się za siebie, jak zwykła była to robić, i uśmiechnęła się z dumy i zadowolona ze swoich dokonań w parku z nowym wodospadem i ozdobnym stawem oraz w widocznej z dala wzorowej mleczarni. Gdy spoglądała tak przed siebie, musiała ukryć uśmiech na widok poważnego wyrazu oczekiwania w oczach pana Greshama, który stał tam także, badając tę część lasu, gdzie niegdyś wycinał drzewa i poszerzał ścieżki, by państwo Darcy i ich krewni mogli spacerować i podziwiać piękny widok.

Elżbieta zadowolona była z sukcesu, który pan Gresham odniósł w Londynie jako architekt. Po nader udanej karierze w Oxfordzie bez trudności zdobył sławę w wybranym przez siebie zawodzie i jego

umiejętności nigdy nie budziły niczyich zastrzeżeń. Elżbieta przy wielu okazjach ze smutkiem konstatowała, że Gresham nie miał w sobie nic z Edwarda Darcy'ego, a jedynie zdolności, pracowitość i ambicję tuszowaną osobistym urokiem. Teraz, jak mówiono, pan Gresham zamierzał zostać członkiem Parlamentu z tych stron, a mówiono też, że jego radykalne i postępowe poglądy były bardzo chwalone w okolicy zarówno przez przyszłościowo myślących właścicieli ziemskich, jak i przez najemnych robotników. Elżbieta lubiła patrzeć na jego sylwetkę na wzgórzu nad Pemberley i teraz przyznała bez goryczy, że pan Gresham łatwo mógł być wzięty za lorda i właściciela tej posiadłości. Wiedziała, że Darcy podziwiała za to, iż

zachowała w sercu nieco ciepła dla syna rządcy, który został tak szczerze wykształcony i utrzymywany przez jej męża, i który towarzyszył jej i pomagał bezinteresownie w czasie, gdy była młodą mężatką i niejednokrotnie czuła się niepewnie. Odczuwała jakieś powinowactwo z Greshamem jakby był jej bratem, choć wiedziała, że pan Gresham musiałby zrobić bardzo wiele, by odważyć się na braterskie uczucia w stosunku do niej.

Wiatr rozwiewał cudowne fale lekkiego powietrza. Byli wystarczająco wysoko, by słyszeć śpiew skowronka nad zielonymi wzgórzami ponad granicami posiadłości. Gresham, pozwalając sobie na poczucie swobody w tym miejscu, zszedł ścieżką ku Elżbiecie i zatrzymał się. Podniosła ku niemu wzrok i wydawało jej się, że ten dzień staje się dłuższy, że nie odbędzie się żaden obiad, przy którym pan Falk może zdenerwować pana Darcy'ego, a panna Bingley wszystkich pozostałych, zaś lady Sophia – niewątpliwie niezadowolona z wspnianych dań, których zaplanowanie wraz z panią Reynolds zabrało jej tak wiele czasu – może zażądać, aby podano jej chleb i mleko.

– Będzie pani brakowało dawnego przyjaciela, gdy jutro pułkownik Fitzwilliam się ożeni – rzekł pan Gresham, podszedłszy bliżej. – Zapewniam panią z całego serca, szanowna pani Darcy, że będę tu zawsze, kiedy tylko będzie mnie pani potrzebować. Ilekroć wyjeżdżam do Londynu, śnię o pani tutaj, kiedy zaś jestem tu, marzę, byśmy razem byli w Londynie, choć wiem, że to się nigdy nie stanie!

Elżbieta czuła, że policzki jej płoną. Krępowała ją też myśl, że iskrzą się jej oczy i że nie odsunęła się od Greshama, który był teraz tak blisko, że czuła się tak, jakby była w jego ramionach, osłonięta przed tym źle dobranym towarzystwem w położonym na dole domu.

– Zaraz po tym ślubie jadę z panem Darcym do Włoch – oznajmiła i gdy wypowiedziała te słowa, poczuła się flirciarką, ale nie potrafiła zrobić niczego, by to naprawić. – Po drodze zrobimy przerwę w podróży i odwiedzimy moją matkę w Meryton. Doprawdy nie sędzę więc, bym była w Londynie w dającej się przewidzieć przyszłości. Życzę panu jednak powodzenia w pańskiej tutejszej kampanii wyborczej.

– Czy przyjedzie pani... posłuchać mojej mowy w Chesterfield? – zapytał z zarem.

Elżbieta potrząsnęła głową, ale ku swemu ogromnemu zawstydzeniu stwierdziła, że gdy pan Gresham podszedł do niej bliżej, nie cofnęła się. Jedynie odległy dzwon (wiedziała, że to stary zegar na wieży w Pemberley, którego kuranty nie osłabły dzięki lasom osłaniającym go od wiatrów) przypomniał jej, że musi ruszyć ścieżką i że biegnąc najszybciej, jak może, i tak będzie spóźniona.

– Poszłam za daleko i zatrzymałam się zbyt długo – tylko tyle umiała powiedzieć Greshamowi, który nie uczynił najmniejszego ruchu, by ją zatrzymać, lecz cofnął się, podążając za nią oczami, gdy wprost frunęła po ścieżce.

Pozostało to dla niej tajemnicą, jak mogło minąć tyle czasu – miała wrażenie, że przeszła się tylko do Wieży i zamieniła kilka słów z przyjacielem. Mogła jedynie wierzyć, oczywiście pomyślała o tym później, że to jakiś proroczy impuls wysłał ją na poszukiwanie wolności po raz ostatni, zanim wróciła i otrzymała wiadomości, które miały na zawsze odmienić jej życie.

W holu stał pan Darcy z pobladałą twarzą i jakimś listem w ręku. Elżbieta, niczym przez mgłę snu zobaczyła, że obok niego stoi lady Katarzyna, zaś lady Sophia i panna Bingley wspólnie zajęły miejsce u wejścia na schody. Pułkownik Fitzwilliam był tam także, i to upewniło Elżbietę, że twarze, które widziała przed sobą z ich przerażającymi, strasznymi minami, wyrażały coś więcej niż zwykłe zatroskanie z powodu tego, że minęła już godzina obiadu, a pułkownik Fitzwilliam nie był skłonny zasiąść do stołu pod nieobecność gospodyni. Znał jej upodobanie do samotnych spacerów. Nieobecność Elżbiety dałaby mu jedynie okazję do poinformowania gości, że nie ma powodu do obaw. Jednak jego twarz wyrażała oszołomienie i smutek.

– Edward nie przyjeżdża do Derbyshire – rzekł pan Darcy, gdy żona stanęła obok i podniosła na niego wzrok pełen trwogi.

– Jego powóz się przewrócił! – wykrzyknęła Elżbieta, która setki razy tego się obawiała.

– Przegrał posiadłości walijskie... – powiedział pan Darcy głosem tak czystym i ostrym, że mogłaby przysiąc, że nigdy, przez wszystkie spędzone z nim lata, nie słyszała takiego tonu. – ... w jakimś domu gry w

Londynie, wpadł w ręce lichwiarzy, muszę więc jechać prosto do Londynu.

– Wpadł w ręce lichwiarzy?! – wykrzyknęła Elżbieta, która zobaczywszy wchodzącą teraz Jane, podeszła ku niej, by niemal mdlejąc oprzeć się na jej ramieniu. – Zatem skrzywdzą go, czyż nie?!

Darcy, wciąż tym samym obcym głosem, powiedział szorstko, że nie jest to kwestia skrzywdzenia panicza Darcy'ego. Pojedzie prosto do Londynu i zobaczy, jakie kroki można podjąć w tak niebezpiecznej sytuacji. Powiedziawszy to, wybiegł z domu. Elżbieta zobaczyła, że koń był już przygotowany i jęknęła w myśli, że jej flirtowanie na zalesionych wzgórzach nad Pemberley mogło kosztować życie męża lub syna.

– Chodź, Lizzy – rzekła praktyczna Jane i poprowadziła siostrę ku schodom, a potem na górę do jej pokoju. – Wszystko będzie dobrze. Bądźmy przynajmniej wdzięczne losowi, że nie ma tu dzisiaj naszej mamy!

Słyszac te słowa, Elżbieta uśmiechnęła się słabo, ale wchodząc na schody, wsparta na ramieniu Jane, usłyszała niestety uwagę lady Katarzyny, że złym uczynkom Edwarda winna jest „zła krew”, oraz komentarz panny Bingley, że powodem i przyczyną owych występków i wykroczeń młodego Edwarda Darcy'ego było „złe kierowanie przez matkę”. Na szczęście wynurzenia lady Sophii o udanym wychowaniu potomstwa oraz wykłady odnoszące się do czarnej owcy tej rodziny rozplynęły się pod półkolistym stropem holu, pan Falk zaś wysunął się z salonu zbyt późno, by wydać jakikolwiek sąd o ostatnim występie swojego podopiecznego.

Część druga

Rozdział 13

W owych dniach, które nastąpiły po strasznym obwieszczeniu Darcy'ego i jego natychmiastowym wyjeździe do Londynu, Elżbieta miała wiele problemów do pokonania.

Przede wszystkim musiała kontynuować przygotowania do uroczystości mających się odbyć w Pemberley. Pan Darcy wymógł na pułkowniku Fitzwilliamie obietnicę, że cokolwiek się zdarzy, ślub odbędzie się zgodnie z planem, było więc jeszcze kilka drobiazgów, którymi musiała się zająć, co akurat w tym czasie bardzo jej przeszkadzało. Muzycy ze swymi propozycjami tańców i weselnych marszów wydawali się dysonansem w tym posepnym miejscu, jakim nagle stał się jej dom. Na środku stołu w sali bankietowej zamku Pemberley należało ustawić -jako *grosse piece* – łabędzia z cukrowej waty w otoczeniu flotylli pralinkowych żaglowców, i ta błahostka wciąż jeszcze czekała na Elżbietę.

Szukając ulgi, skryła się w ciemnościach osłoniętej okiennicami Wielkiej Sypialni rzadko używanej przez pana i panią na Pemberley, która teraz bardziej odpowiadała jej nastrojowi niż światło letniego słońca i sztuczne, nedorzeczne, słodkie drobiazgi ustawione na długim stole.

Pogoda, jakby drwiąc z widoków na przyszłość wspaniałego domu i majątku, była tak doskonała, że przypominała dekoracje do cudownej baśni, a może jakiegoś snu nocy letniej. Dzień był bezwietrzny, niebo lśniło takim błękitem, jak owe szkatułki i *objets de vertu* ustawiane na stołach w otwartych właśnie salonach, i wydawało się tak samo pozłacane, bowiem słońce było jasne i gorące, jak zawsze bywało w Pemberley. Ozdobnie strzyżone cisy, tak starannie zaprojektowane przez Darcy'ego i Elżbietę w dniach, które teraz wydawały się odległą przeszłością, błyszcząły na szachownicy z mchu i trawy, a korona króla i figura królowej tkwiły niezmiennie na swych polach, gdy promienie słońca zmieniły kąt i odsłoniły je na wprost fasady domu. Ich nieruchomość podkreślała jedynie nieoczekiwane zmiany, jakie dokonały się w Pemberley.

Elżbieta wyszła z Wielkiej Sypialni, w której stało wspaniałe łóżko z baldachimem i ruszyła do pokoju Edwarda. Idąc tam, uświadomiła sobie z bólem, jakiego dotąd nie знаła, że Darcy nie zawsze będzie mógł tu rządzić, że kiedyś zestarzeje się i umrze, że i ona z pewnością odejdzie pewnego dnia, że opuści to miejsce, którym się opiekowała i które pokochała przez te wszystkie lata. Oto owa jesień... Przyszła, kiedy Elżbieta wcale jej nie oczekiwała, w samym środku lata, kiedy miasteczko Pemberley tańczyło i weseliło się. Teraz nie będzie już żadnej przyszłości przed Pemberley.

Była właśnie w pokoju Edwarda, gdy z okna zobaczyła jakiś powóz zmierzający przez park i po raz pierwszy od chwili, gdy skończyło się szczęście i runęły wszystkie jej nadzieje, nadeszło pocieszenie, bo oto jako weselni goście przybywali wujostwo Gardinerowie, jeszcze nieświadomi owej klęski, która spadła na ich siostrzenicę i jej rodzinę. Przez minutę lub dwie – na widok ich radosnych twarzy, gdy na moście wysiedli z powozu (z pewnością na prośbę wujka Gardinera, ponieważ nie żałował nigdy czasu, by rozejrzeć się za pstrągiem lub lipieniem przeslizgującym się w czystej wodzie) – Elżbicie wydawało się, że wypadki minionych godzin nie były niczym innym, jak tylko złym snem. Kiedy jednak odwróciła się od okna i popatrzyła na pokój zamieszkiwany przez Edwarda w czasie szkolnych wakacji, zobaczyła jego portret wykonany ołówkiem przez jakiegoś wędrownego artystę wiele lat temu, portret, który ukazywał delikatne rysy i dziecięcy uśmiech. Wtedy zrozumiała, że wszystko się zmieniło i nic już nie wróci na dawne tory. Pudełko ołowianych żołnierzyków, starannie zamknięte przez pokojówkę, ale ciągle wysuwające się z kąta półki z zabawkami, wywołało w oczach Elżbiety łzy... aż jej poczucie rzeczywistości i nastroj, którego dłużej nie mogła tłumić, sprawiło, że musiała teraz wymyślić plan, by jakoś przetrwać ten cios.

Od samego początku w tym chłopcu było coś gniewnego i buntowniczego – Elżbieta nawet wobec samej siebie wzbraniała się przed użyciem słowa „złego”. Żołnierze – wojsko Bo– napartego, niektóre figurki połamane, z farbą zdartą w bataliach toczonych przez panicza Darcy'ego przeciwko Anglikom; dragoni, których nazwał „Brygadą Pemberley” – wciąż tu stali. To ich najwcześniej odrzucił, burząc hierarchię panującą w tym domu. Wiedziała, że od owych najwcześniejszych lat Edward przynosi sobie wstyd, a jednocześnie hańbi nazwisko Darcych i że w przyszłości zaprzepaści wszystko, co zgodnie z prawem miało należeć do niego. Ta świadomość niemal Elżbietę zdruzgotała; odwaga osłabła w niej na tyle, że pragnęła jedynie się ukryć... lub znaleźć spokój z Jane... Wołała zniknąć, niż dostarczyć takich wieści jedynym krewnym ze strony swojej rodziny zaproszonym na ślub w Pemberley. Wstydziła się, że syn przyniósł im taką hańbę, ale jednocześnie wiedziała, że jeśli Darcy się go wyprze, ona nie będzie mogła zrobić tego samego. Edward był z jej krwi i kości, nawet gdyby zhańbił linię swych przodków i był z niej

wykreślony, aby przyszłe pokolenia nie wiedziały, że kiedykolwiek się urodził lub żył.

Taki los... dla syna witanego z miłością i przyjętego z ulgą zarówno przez matkę, jak i przez ojca, gdy się urodził... Tego było już za dużo do zniesienia i Elżbieta, schodząc na dół, by powitać ciocię i wujka, pomyślała, że słyszy dzwony obwieszczające jego chrzciny. Była to jednak próba dzwonów weselnych – przecież powinna się natychmiast zorientować – ale ich radosny dźwięk był dla niej nieznośny. Edward był stracony – ze wszystkimi ziemiami, dzierżawami, ruchomościami, dolinami i wsiami, które przegrał w kości... Równie dobrze mógł to być inny dzwon; dzwon pogrzebowy dla niego. Stłumiony, surowy i posępny...

Rozdział 14

Lata przeżyte w Pemberley nauczyły Elżbietę, że niezależnie od nastroju należy przestrzegać najdrobniejszych form towarzyskich; teraz bacznie przyglądano się, czy zachowuje spokój i dopełnia owych form, podczas gdy inni mogli demonstrować poruszenie lub okazywać pełnię emocji. Jednakże trudno było jej prowadzić ciocię i wuja, by zawarli znajomość z lady Sophią, a jeszcze trudniej – znaleźć odrobinę czasu na zakomunikowanie im złych wiadomości, zanim lokaje wprowadzą ich do galerii, a stamtąd do biblioteki, gdzie obecnie zgromadzone było całe towarzystwo.

Państwo Gardinerowie z kolei przybrali uroczyste miny i starali się okazać radość proporcjonalną do owej okazji, ale czynili to z niewielkim powodzeniem, ponieważ byli szczerymi, skromnymi ludźmi, którzy nie przywykli do udawania. Lady Sophii, gdy tylko dokonano prezentacji, udało się sprawić, że krewni Elżbiety z powagą zmarszczyli brwi, ponieważ jej gwałtowna tyrada przeciwko metodom, jakimi obecnie wychowywano dzieci, nie mogła nie wywołać w słuchaczu choćby niewielkiego lęku i obaw o ich przyszłość.

– Nikogo w mojej rodzinie nie wychowywano w domu, i to od pierwszego dnia! Mamkę znajdowano we wsi, a dziecko, jeśli to był chłopiec, wcześniej wysyłano do szkoły... nie było więc potrzeby trzymania w domu zdrowego chłopaka z jakimś guwernerem!

Mówiąc to, lady Sophia skierowała złowieszcze spojrzenie na pana Falka, zaś inni goście, którzy bądź to stali wyprostowani, bądź też kryli się obok wspaniałych półek i kolumn biblioteki, teraz podeszli bliżej i zajęli miejsca na sofach i fotelach. Wniesiono napoje i Elżbieta nie miała innego wyjścia, jak tylko z najwyższą godnością czynić honory domu. Podając lady Sophii szklanekę lemoniady, miała ochotę wylać jej ją na suknię i nie okazać potem żadnego ubolewania.

– Edward ma niezłą głowę do cyfr... – rzekł pan Falk.

W tym momencie lady Katarzyna de Bourgh wydała z siebie jakiś odgłos, a raczej hurkot, który Karolinę Bingley przyprawił o konwulsje ze śmiechu, a Janet Bingley oburzył i zmartwił, na co wskazywał jej bolesny rumieniec i spojrzenie skierowane na Elżbietę.

– Niezłą... by doprowadzić tego małego nicponia do osuszania kubka i umieszczania w nim czegoś jeszcze bardziej szkodliwego, a mianowicie kości do gry! – rzekła lady Katarzyna. – Stracił pięćdziesiąt tysięcy funtów, przegrywając Brecon i inne folwarki. Moja siostra, lady Anna Darcy, kochała Walię i byłaby zdruzgotana, słysząc o tej stracie, bo za życia, jako pani na Pemberley, jeździła tam tak często, jak tylko było to możliwe. Była tam bardzo lubiana jako dobrodziejka tych, którzy pracowali na owej ziemi. Ani jeden stóg siana nie spłonął za czasów lady Anny! Przykro stwierdzić, że ów brak zainteresowania Walią, tak bardzo demonstrowany przez matkę, doprowadził panicza Darcy'ego do tego, że okazał swoje lekceważenie i całkiem stracił tę posiadłość!

Elżbietę rozłościły te słowa i spokojnym tonem odpowiedziała, że jej więzi z Brecon i posiadłościami walijskimi są znane w okolicy, ale nie mogła zaprzeczyć (bo w głębi duszy musiała przyznać to przed sobą), że w istocie były lata, gdy obawy o Edwarda, pozostawianego w Pemberley z guwernerem, skłaniały ją do odradzania panu Darcy'emu wspólnych corocznych wizyt.

– Czyż nie jest faktem, że panicz Darcy nie osiągnął jeszcze pełnoletności, a jego długi w świetle prawa mogą nie mieć żadnego obowiązującego znaczenia? – dopytywał się pan Gardiner.

– Mój zacny panie Gardiner – odparła lady Katarzyna – ten chłopak wpadł w ręce lichwiarzy! Oni wyegzekwują swoje należności od mego nieszczęsnego siostrzeńca, możesz pan być całkiem pewien. Ten głupi nicpoń odwiedzał kasyna oraz przybytki gier i z zachwytem oddawał się hazardowi, otrzymał też kredyt w jakimś hotelu w Covent Garden, gdzie rankami popija jasne piwo i robi „wspaniałą” karierę w teatrach i wodewilach, bębniących w mieście po nocach. Oto dlaczego pan Darcy pojechał go szukać!

Po monologu lady Katarzyny zapadła cisza i wszyscy w milczeniu zastanawiali się nad tym, jak zdumiewająca jest jej wiedza, jeśli chodzi o rozwiązłość. Po chwili znów rozległ się szmer rozmowy. Wówczas do biblioteki wszedł pułkownik Fitzwilliam, by złożyć jakieś oświadczenie.

– Dziwi mnie jedynie, że tak starannie opracowany program edukacji, jaki zapewniono tu dzięki specjalnemu nauczycielowi – mówiła dalej lady Katarzyna, którą niełatwo było uciszyć – mógł przynieść takie straszne rezultaty. Logika, filozofia moralności, metafizyka... czyż nie, panie Falk? Owe lekcje filozofii

moralności wydają się być wyjątkowo bezowocne!

– Nic nie rozwinie się bez dyscypliny! – rzekła lady Sophia.

– Chciałem tylko powiedzieć – rzekł pułkownik Fitzwilliam, zanim pan Falk zdołał powiedzieć coś na swoją obronę – że odbyłem naradę z narzeczoną i oboje, lady Sophia i ja, jesteśmy zdania, że nie jest to odpowiedni moment na zawarcie małżeństwa. – Powiedziawszy to, rzucił udręczone spojrzenie na Elżbietę, która przez chwilę poczuła powrót jego dawnej miłości i wbrew własnej woli zaczerwieniła się gwałtownie.

Pułkownik Fitzwilliam jeszcze przez jakiś czas nie przestawał zapewniać o swoim pragnieniu odłożenia owego ślubu, a czynił to z takim uporem, że usłyszano, jak Karolina Bingley mruknęła, iż brzmi to tak, jakby w umyśle pułkownika Fitzwilliana gorę brała chęć odwołania, czemu zresztą ona wcale się nie dziwi. Właśnie po tym oświadczeniu Elżbieta zdołała się uspokoić, opanować i porzucić wątpliwości. Czyż pan Darcy przed wyjazdem nie uzyskał obietnicy swojego kuzyna...? Wszak należało pomyśleć też o gościach, z których wielu już przedsięwzięło podróż... I tak dalej... i tak dalej... W końcu pułkownik Fitzwilliam zgodził się na ślub i uniknięto dalszego zamieszania.

– Jeśli ma to oszczędzić panu i pani Darcy kosztów zepsutego przyjęcia, przeniesionego na później ze względu na przełożone wesele, to i ja muszę się zgodzić, by małżeństwo zostało zawarte teraz – rzekła lady Sophia, gdy wszystkie oczy obróciły się ku niej. – Jako oszczędna pani domu, w rzeczy samej nie mogę patrzeć na stos nie tkniętych przysmaków i otwartych butelek szampana, co zresztą w ogóle nie było potrzebne!

Elżbieta zagryzła wargi, bo oskarżenie jej o lekkomyślną rozrzutność w zarządzaniu kuchnią i piwnicami Pemberley było wyraźnie jedynie wstępem do sugestii, że Edward odziedziczył żyłkę do hazardu i inne zgubne nawyki właśnie po niej.

– My zamierzamy prowadzić oszczędne gospodarstwo – powiedziała lady Sophia chyba najbardziej donośnym głosem, jaki kiedykolwiek rozległ się w tej bibliotece. – Pułkownik Fitzwilliam i ja wspólnie dokonaliśmy oceny, co do ostatniego pensa, naszych wydatków na nadchodzący rok. Będziemy żyć dokładnie w granicach naszych dochodów.

Pułkownik Fitzwilliam skinął potwierdzająco głową, ale Elżbieta wyczuła atmosferę pewnego niepokoju.

– Jeśli dokona pan oszacowania wydatków na nadchodzący rok – rzekł przez cały pokój do pułkownika Fitzwilliana pan Falk – a po owych obliczeniach stwierdzi pan, że wydatki odpowiadają dochodowi, lub też że dochód wykazuje niewielki brak, to może pan być pewien, że jest pan w finansowych kłopotach, jeśli nie w ruinie.

Po słowach pana Falka niewiele już pozostało powodów przebywania we wspólnym towarzystwie i lady Katarzyna pierwsza się podniosła, mówiąc, że udaje się na poszukiwanie siostrzeńca pani Reynolds, który jest wybornym stroicielem fortepianów, ponieważ jej córka, lady Anna, przyjeżdża jutro, a kiedyś często wspominała, że tutejszy instrument powinien zostać prawidłowo nastrojony.

Rozdział 15

Pani Bennet przebywała w domu najwyżej jeden dzień, od czasu jej ostatniej wizyty w Longbourn, zanim stwierdziła, że czas jej się tu dłuży i, co nie było dla niej niezwykle, żalowała, że nie ma w domu córki, z którą mogłaby porozmawiać. Mary – którą małżeństwo z Tomaszem Roperem porwało najpierw do wysokiej, wąskiej kamienicy w Richmond, dokąd pan Roper, jako zawiedziony dziedzic Pemberley, podążył ze swoją profesją licytatora w domu aukcyjnym, specjalizującym się w antycznych wazach i wyrobach ceramicznych – nikomu, aż do jej śmierci, szczególnie nie brakowało. Była bowiem istotą cichą, smutną i przede wszystkim skupioną na swoich książkowych zainteresowaniach. Teraz jednak pani Bennet wspominała wyłącznie te dni, gdy po ślubach Janet i Elżbiety oraz po wyjeździe Kitty (nie mówiąc o przedwczesnej ucieczce Lidii) w domu została jedynie Mary. Zachęcano ją do siedzenia z panią Bennet i słuchania jej bez końca. Zaręczyny Mary, po ich wizycie w Pemberley, były triumfem matki, ale pozbawiły panią Bennet córki-rezydentki i letnie wieczory znów stały się nieznośnie długie, a przy tym pełne wspomnień, z których nie wszystkie były przyjemne. Posłano po Lidię, pod pretekstem, iż samopoczucie pani Bennet dalekie jest od dobrego i potrzebuje ona nieustannej troski i opieki.

Nie po raz pierwszy wzywano Lidię Wickham w ten sposób i było dla nich obu oczywiste, że obie obdarzone zostały łagodnym charakterem. Lidia obarczona była dziećmi i zmęczona trudem utrzymywania się z niewielkiej pensji Wickhama w Pymore nieopodal Lyme, ubogim okręgu, gdzie niewiele uwagi zwracano na jej męża jako nieodpowiedniego pastora. Lidia rozpaczliwie pragnęła przyjechać do Pemberley, bowiem posiadłość ta wydawała jej się szczytem wyrafinowania i z tej okazji pani Bennet napomykała o możliwości podróży do Londynu. Próby wyłudzenia pieniędzy od pani Elżbiety Darcy, jej siostry, przez wiele lat pozostawały bezowocne – mimo legendarnej szczodrości pana Darcy'ego dla ubogich krewnych – ponieważ Wickham, ilekroć bywał wspierany, upijał się i oddawał się hazardowi, i teraz Lidia wstydziła się swych sióstr, chociaż Jane Bingley wciąż była podatna na prośby o pomoc. Jedynie pani Bennet, która miała słabość do swojej najmłodszej i najgłupszej córki, gotowa była pozbawić się pieniędzy w zamian za towarzystwo, współczucie i zrozumienie, co nie było trudne dla Lidii, była bowiem do niej bardzo podobna.

Pani Bennet mozoliła się właśnie nad listem do córki Elżbiety w Pemberley, gdy z zewnątrz dobiegł odgłos kół jakiegoś pojazdu, a po chwili weszła pokojówka i powiedziała, że nadeszło jakieś zaproszenie.

– Zaproszenie? – zdziwiła się pani Bennet. – Idź więc i zobacz, od kogo, Lea. Nie mogę powiedzieć, bym oczekiwała jakiegoś zaproszenia, chyba że przyszło do biednej Lidii, by tu czekać na jej przyjazd, a jestem przekonana, że zaproszenie jest właśnie tym, co teraz byłoby dla niej najlepsze.

Perspektywa dni bez Lidii stała się teraz dla pani Bennet całkiem jasna, więc mówiąc to miała nadzieję, że żadne zaproszenie dla córki nie przyszło. Pokojówka wróciła po chwili, a odgłos kół odjeżdżającego powozu dał się słyszeć, zanim jeszcze pani Bennet zdołała otworzyć grubą brązową kopertę.

W tym samym momencie pukanie do drzwi obwieściło wizytę pani Long i pani Bennet była całkiem oszołomiona taką liczbą zdarzeń jednocześnie dziejących się tego dnia, który całkiem niedawno wydawał się pozbawiony emocji.

– Widziałam wspaniały powóz na pani podjeździe – rzekła pani Long – a ponieważ przechodziłam obok, by złożyć wizytę pani Collins, pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli zajrzę i sprawdzę, czy wszystko jest w porządku, moja droga pani Bennet.

Pani Bennet odparła, że nie widzi powodu, dla którego wszystko w Meryton Lodge nie miałyby być w porządku.

– Fundusze wyasygnowane przez pana Darcy'ego są więcej niż odpowiednie, droga pani Long, dla tak biednej wdowy jak ja. Z niecierpliwością oczekuję też przyjazdu Lidii. Zaiste, wszystko jest w porządku!

– Zdaje się, że zaproszenie na ów ślub przyszło do pani bardzo późno – zauważyła pani Long, wbijając oczy w kopertę. – Czyż to pułkownik Fitzwilliam nie poślubia lady Sophii za kilka dni, jeśli nie wcześniej? – Powiedziawszy to, pani Long przeszła do ubolewań nad opóźnieniami ekspresowej poczty w tej okolicy oraz do szczegółowych opowieści o licznych pogrzebach i ślubach, bardzo opóźnionych bądź przepuszczonych z tego powodu.

– Nie wybieram się do Pemberley – powiedziała pani Bennet z tak wielką godnością, na jaką mogła się zdobyć, a rzut oka na ową pisemną wiadomość przywrócił kolory na jej policzkach i po krótkiej pauzie

poczuła się na tyle swobodnie, by pominąć milczeniem sprawę zaproszenia.

-Zechce pani zobaczyć, do kogo adresowane jest to pismo, pani Long.

Pani Long nerwowo szukała w torebce swego lorgnon... ale w końcu nie miała innego wyjścia jak tylko przeczytać nazwisko adresata i słowo Meryton Lodge, napisane nad wspaniałą pieczęcią, przedstawiającą małą księżęcą koronę i herb.

- Pani Harcourt-Bennet – wyrecytowała pani Long. – Łaskawa, droga pani Bennet... Mam to otworzyć?

-Jeśli sprawi to pani przyjemność – odparła pani Bennet z wystudiowaną niedbałością, którą bynajmniej nie zwiodła swego gościa.

- To jest zaproszenie – rzekła pani Long po chwili, która pani Bennet wydała się czasem równie długim, jak ów pusty dzień, który właśnie się skończył. – Zaproszenie na ślub... Powinowały lady Harcourt... tak o nim pisze... i pewna czarująca młoda panna z najlepszej możliwej rodziny! W kościele pod wezwaniem Świętego Jakuba, przy Picadilly...

- Wystarczy, pani Long – powiedziała pani Bennet, wstając i energicznie sięgając po list z nader zdecydowaną miną. – Natychmiast odpiszę, by odrzucić uprzejme zaproszenie lady Harcourt. Pozwoli pani, droga pani Long... – powiedziała pani Bennet i rzuciła się w stronę sekretery, jakby nie było czasu do stracenia, by odrzucić tak rozkoszną okazję wizyty w Londynie.

- Ależ czemu, wielkie nieba, nie przyjmie go pani? – wykrzyknęła pani Long, słysząc odpowiedź swojej przyjaciółki.

- W tym czasie będę tu gościć córkę, panią Wickham – odparła pani Bennet – a nie należę do ludzi, którzy' opuszczają swoich przyjaciół i krewnych w potrzebie, gdy nadchodzi lepsze zaproszenie, o czym pani, droga pani Long, powinna wiedzieć.

- Niech więc pani zabierze Lidię ze sobą – nalegała pani Long. – Jeśli lady Harcourt jest dla pani tym... powiedzmy... kim pułkownik Fitzwilliam dla Darcy'ego, to jej odmowa zaproszenia powinowatej, jaką jest pani Wickham, byłaby równie niewłaściwa, jak ta, której udzieliliby pan Darcy, odmawiając swej zgody, by ślub pułkownika odbył się w Pemberley.

Pani Bennet zmarszczyła brwi, ponieważ fakt, iż nie otrzymała zaproszenia na ślub w Pemberley, był właśnie, o czym dobrze wiedziała, tematem gorąco dyskutowanym w całej okolicy.

- Powinna pani jechać, droga pani Bennet! – rzekła pani Long, gdy pani Bennet podeszła już do swego biurka i sięgnęła po pióro, zdecydowana podążyć za radą przyjaciółki bez dalszego wahania. – Może pozna tam pani innych swoich krewnych, a córka i zięć radzi będą z dostarczonych przez panią wiadomości o miejscu pobytu młodego Edwarda Darcy'ego.

Mimo wszystkich protestów pani Bennet, twierdzącej, że gdyby panicz Darcy był gdziekolwiek indziej niż w szkole, to z pewnością przebywałby z ojcem i matką w hrabstwie Derbyshire, pani Long nadal twierdziła uparcie (choć najdelikatniejszym tonem), że sir William Lucas opowiadał jej, iż całkiem niedawno widział przelotnie wnuka pani Bennet w Londynie.

- ... i to, droga pani Bennet, dziwnym doprawdy zbiegiem okoliczności, właśnie w Picadilly!

Rozdział 16

Dzień ślubu pułkownika Fitzwilliana zaczął się pięknym świtem. Błękitne niebo nad zalesionymi wzgórzami Pemberley przekonało Elżbietę, która leżała w łóżku obudzona pierwszym wtargnięciem słonecznych promieni, że zaprojektowanego przez nią przyjęcia w wodnych ogrodach nie zakłóci woda spadająca z nieba, zaś gruchanie gołębi krążących parami wokół dachu rezydencji zdawało się kolejną zapowiedzią udanej ceremonii, zwiastując nadejście być może niezakłóconej harmonii małżeńskiej.

Elżbieta wprawdzie wątpiła w to, lecz była zbyt uczciwa, by zaprzeczać własnym odczuciom w kwestii zaręczyn i ślubu pułkownika Fitzwilliana. Niegdyś być może zanadto polegała na jego radzie – w tym rzecz! Zdarzało się to w czasach nagłego chłodu Darcy'ego lub jego nieobecności, gdy doglądał daleko leżących posiadłości. Pułkownik Fitzwilliam stał się dla niej kimś więcej niż przyjazną podporą, czasami – w jej fantazji – substytutem męża, którego bynajmniej niełatwo było przekonać i kochać bez silnego elementu walki. Fakt, że nosił to samo imię co Darcy – Fitzwilliam – był również nader wygodny. Przyjmował problemy Edwarda bez narzekania. Cywilizował tego chłopca, podczas gdy jego ojciec nie miał do tego cierpliwości, a ucząc młodego panicza Darcy'ego życia przyrody w okolicy, pokazywał – kiedy nadszedł po temu czas – że ludzkie podejście do zwierząt i otoczenia, w którym żyją, jest równie dobrym sposobem wejścia w świat ludzi dorosłych, jak każdy inny. Teraz pułkownik Fitzwilliam odejdzie z życia ich wszystkich... I właśnie wokół tego problemu setki razy krążyły myśli Elżbiety, która uniosła się i ścisnęła głowę rękami, a potem ponownie opadła na poduszkę. Wszak „życie ich wszystkich” nie miało już dla niej sensu i znaczenia dla Darcy'ego i dla ich syna. Ich życie rozpadło się na kawałki i nigdy już nie da się go poskładać.

Choć Elżbieta bardzo starała się uciec przed wyrzutami związanymi ze swoim postępowaniem w przeszłości, nie mogła powstrzymać się od obwiniania siebie za to wszystko, co się stało – za dezercję i zdradę Edwarda, za niesłychaną i bezprecedensową wściekłość Darcy'ego na jej widok, za ich rozchwiane małżeństwo i za to, że dawali w okolicy zły przykład jako rodzice – za swoją próżność i skłonność do ulegania pragnieniom i zachciankom. Czyż nie była zazdrosna o nowo odnalezione szczęście pułkownika Fitzwilliana z inną kobietą? Czyż nie czuła się obrażona szczerością wypowiedzi i nieprzyjemnym charakterem lady Sophii, niezyczliwie porównując ją do siebie i równocześnie życząc sobie silniejszej rywalki pod względem urody i uroku niż nieszczęsny pułkownik Fitzwilliam mógł jej zapewnić? Czyż to nie ona... z obawy przed odrzuceniem, która narosła w niej przez lata przeżyte z Darcym, bo gdy tylko w jednym ze swych niepojętych nastrojów odwracał się od niej, czuła się wygnana z jego życia, z jego serca i z Pemberley... czyż to nie ona pozwoliła się wówczas pocieszać innemu wielbicielowi, skoro pułkownik Fitzwilliam już nie podążał za nią z bolesną powściągliwością i wiernością? Myśl o owej godzinie wśród drzew, na wzgórzach, które wznosiły się łagodne i zaokrąglone, a których doskonałe wygięcie widziała ze swego szerokiego łóżka, gdy leżała bezradnie udręczona samooskarżaniem... ta myśl wywołała rumieńce na jej policzkach, które wszystkich prócz jej męża powaliłyby na kolana. Wyrównała sobie utratę pułkownika Fitzwilliana zachętą okazaną panu Greshamowi... Rozbudziła nadzieje Greshama, co do tego nie mogło być wątpliwości... A przecież pan Darcy przejrzałby ją równie łatwo, jak każdą kobietę żyjącą dzień i noc w bliskim i na ogół ekstatycznie szczęśliwym małżeństwie, gdyby zdradzała go z kimś innym. W rzeczy samej Darcy wyjechał z ciężkim sercem... i im bardziej Elżbieta zastanawiała się nad tym, tym głębiej upadała na duchu. Wyjechał w poszukiwaniu syna, który zhańbił jego nazwisko i stracił jego majątek. Zostawił za sobą wiarołomną zonę...

Elżbieta była bardziej nieszczęśliwa, niż chciała się do tego przyznać. W tej chwili lekkie pukanie do drzwi poprzedziło wejście siostry, Jane, która także nie mogła spać... bo na dworze było już tak jasno, a za oknem taka pustka – oprócz świergotu ptaków – że wydało jej się, jakby wesele pułkownika Fitzwilliana i lady Sophii już się odbyło, a wszyscy goście, wraz z nowo poślubioną parą, wyjechali do domów. Widząc głębokie przygnębienie siostry, usadowiła się w nogach baldachimowego łoża i ściągnęła do tyłu zwisającą luźno zasłonę. Elżbieta uśmiechnęła się, ale coraz bardziej chciało jej się płakać. Fakt, że była tu teraz Jane z jej miłymi nawykami, a nie Darcy – który każdej nocy opuszczał kotary wokół łóżka, by móc kochać Elżbietę z całą intymnością, jakiej oboje pragnęli – nagle wydał jej się symbolem przyszłości. Pograżyło ją to w niewyobrażalnym, nie dającym się wyrazić smutku. Jane, którą uwielbiała; Jane, którą ku wielkiej radości swego serca mogła odwiedzać w Barlow i podziwiać bez zawiści szlachetne maniere jej wysokiego,

pogodnego syna, którym Jane i Karol Bingleyowie zostali pobłogosławieni jako drugim dzieckiem po zachwycającej Emilce; Jane, na którą zawsze mogła liczyć... ale przecież nie mogło jej to wystarczyć. Zniweczyła swoje szczęście... Nawet ciche wyparcie się Edwarda – w chwili, gdy Miranda sugerowała, że chłopiec powinien pod koniec lata pojechać z nimi do Walii – stało się jeszcze jednym przestępstwem w owej serii katastrof i haniebnych występków, jaka spadła na rodzinę.

– Cóż za nonsens, Lizzy! – Jane, słuchając tej smutnej litanii, była tak opanowana i pełna ciepła, jak Elżbieta mogła się po niej spodziewać. – To rzecz zgoła powszednia, że chłopiec w tym wieku schodzi na manowce... i owych huncwotów, którzy czerpią korzyści z jego niewinności, Darcy przywiedzie przed oblicze sprawiedliwości. Wszak słyszałaś, Elżuniu, jak sam to oświadczył.

Elżbieta wyznała wprawdzie swą tajemnicę, ale nie posunęła się aż tak daleko, by przyznać się do uczuć, na jakie pozwoliła panu Greshamowi, ponieważ Jane – mimo iż tak liberalna w swym współodczuwaniu i zrozumieniu wszystkich ludzkich wad – była przede wszystkim wierną żoną i nie pojęłaby nagłego poczucia uwięzienia, jakie doskwierało Elżbiecie na myśl o zbliżającym się weselu; ani owej krótkotrwałej chęci, by zaznać prawa do swobodnego poddania się zakłębom pana Greshama.

– Lady Katarzyna traci kontenans widząc, że lady Sophia posuwa się jeszcze dalej – rzekła Jane, by całkiem zmienić temat rozmowy i niebawem obie siostry zaśmiewały się z rywalizacji między straszynymi damami wobec tych, których uważały za niższych rangą i znaczeniem. Pytania: „dlaczego pułkownik Fitzwilliam wybrał na żonę lady Sophię?”, siostry unikały równie starannie, jak wszelkiej wzmianki o innych adoratorach „cudownej pani Darcy” (czy to wśród drzew Pemberley czy też gdziekolwiek indziej) i już wkrótce Elżbieta była w stanie wyobrazić sobie własne życie przywrócone do dawnego porządku sprzed kilku dni: Edward rozgrzeszony i skruszony, walijskie posiadłości odzyskane, Darcy siedzący obok, na miejscu, gdzie teraz siedziała Jane, czuły i uśmiechnięty... Wszystko ułoży się dobrze... I niebawem, gdy pułkownik Fitzwilliam przyjedzie bez żony na kolację do Pemberley, będą gawędzić i grać razem w bilard, jakby nigdy nie było między nimi żadnego pęknięcia...

– Nie powinnyśmy się tak cieszyć z nieobecności mamy – powiedziała Jane, która wyrzucała sobie (o czym Elżbieta dobrze wiedziała, sama odczuwając to także), że pani Bennet nie została zaproszona na północ, do Derbyshire albo do Barlow – ale w chwili takiej jak ta nie wyobrażam sobie, by sytuacja uległa poprawie, gdyby ona tu była, w Pemberley.

Elżbieta zgodziła się z siostrą i dodała, że napisała do pani Bennet, podkreślając, że ma być gościem tegorocznych świąt

Bożego Narodzenia i koniecznie powinna przyjechać już pierwszego grudnia, by mieć pewność, że drogi są jeszcze przejezdne i nie ryzykować śnieżnych zamieci.

– To bardzo ładnie z twojej strony, Lizzy – rzekła Jane. – Przypuszczam, że mama przyjedzie.

– Dlaczego miałyby nie przyjechać? – zapytała Elżbieta, której myśli, co przykro jej było wyznać, znów były przy Darcym. Oczy skierowały się w bok, ku pięknemu obrazowi Canaletta nad kominkiem w końcu sypialni. Obraz ów przedstawiał Canale Grandę w Wenecji i właśnie stąd brało się jej marzenie o Italii, o morzu i o tygodniach, które pragnęli spędzić razem; marzenie, nad którym teraz zawisło niebezpieczeństwo...

– Mama ma jakąś nową przyjaciółkę, która rości sobie pretensje, by być naszą kuzynką – odparła Jane, marszcząc brwi. – Mogłabym pójść po jej list, ale obudziłabym Karola. Ta kobieta nazywa się lady Harcourt, o ile pamiętam. Mama posłała jej dziesięć gwinei na jakieś dobroczynne przedsięwzięcie i jestem przekonana, że odwiedzi ją w Londynie.

Zaintrygowało to wprawdzie Elżbietę, ale nie bardzo się zaniepokoiła, musiała bowiem myśleć o wielu innych sprawach i dyspozycjach na ten dzień, ponieważ czas spędzany z Jane mijał szybko i słońce stało już nad oknami Pemberley.

Rozdział 17

Lidia przyjechała do Meryton Lodge natychmiast, a ta zgoła niepowszednia punktualność powiązana została, przynajmniej przez panią Bennet, z faktem, że możliwość wyjazdu do Londynu warta była zrezygnowania z pozy modnego spóźniania się.

Państwu Collinsom obiecano krótką wizytę, zanim pani Bennet i jej córka wyjadą do stolicy i z tej okazji mąż lady Lucas, sir William, miał się także pojawić, co należało uznać za rzadkość, ponieważ – jak dobrze w tej okolicy wiedziano – doszedł on już do tego, że przedkładał dwór Świętego Jakuba nad wygodę własnego domu i towarzystwo rodziny. Miał do przekazania jakąś informację, jak to powiedziano pani Bennet (co zresztą nie dodało jej otuchy), a i pan Collins chciał podzielić się z nią w Longbourn owocami swoich badań.

– Szanowna pani – rzekł pan Collins, gdy tylko pani Bennet i Lidia wysiadły z powozu – mam pani ogromnie ważną rzecz do pokazania... – mówiąc to, popędził je do ogrodu za domem, choć widać było, że Charlotta ze zdumieniem przygląda się gościom prowadzonym tak nagle do szklarni. – Doprawdy nie wiem, od czego zacząć – wołał pan Collins, dziś najwyraźniej poruszony ponad normalne oczekiwania pięknego letniego dnia i perspektywę sąsiedzkiej wizyty. – Obie wieści są... monumentalne!

– Nie możemy zatrzymywać się długo – rzekła Lidia z niezadowoleniem w głosie. – Mamy interesy w Londynie, przynajmniej ja je mam. Niektórzy posiadają własne dochody, inni zaś, tak jak pan Wickham i ja, nie mają innego wyboru, jak tylko zarabiać na swoje utrzymanie.

Pan Collins odparł, że jest świadomy położenia pana Wickhama w Pymore, ale nie zdawał sobie sprawy, że jego żona weszła do klasy kupieckiej.

– Lady Katarzyna de Bourgh nie chce mieć nic wspólnego ze stanem kupieckim – mówił głosem, którym pragnął przerazić wszystkich tak, jakby kierował go do nich z ambony. – Nie chce rozmawiać ani z postępowcami, ani z liberałami. Życzy sobie, by sprawy miały się tak, jak zostały ustanowione przez Naszego Pana.

– Jestem pewna, że ma słuszość – ozwała się pani Bennet, która z każdą minutą stawała się coraz bardziej nerwowa.

– Zajmuję się pośrednictwem w handlu szlachetnymi artykułami; dywanami, stolikami i podobnymi rzeczami – powiedziała Lidia, przyjmując wyniosły ton, aby zdobyć przewagę nad panem Collinsem. – Jestem znawczynią w tej dziedzinie, panie Collins, i gdy mama cieszyć się będzie towarzystwem lady Harcourt, ja poświęcę się zapewnianiu moim dzieciom i biednemu mężowi środków utrzymania na nadchodzący rok.

– Lady Harcourt... tak... rzekł pan Collins – pociągając otwarte drzwi oranżerii i wprowadzając do niej gości. – Musiałem trzymać ją pod szkłem przez ostatni miesiąc, czekając na bez-deszczową pogodę. Teraz jestem przekonany, że mamy zapewnioną dobrą aurę na resztę miesiąca, więc wysadzę ją na zewnątrz i zaproszę całe miasteczko, by osądziło, czy nie jest największa w okolicy!

– Co pan mówi, panie Collins?! – wykrzyknęła pani Bennet, która z ulgą zobaczyła, że niewielkie towarzystwo składające się z Charlotty Collins oraz jej rodziców: lady Lucas i sir Williama, wychodzi z domu i przez trawnik zmierza w ich stronę.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny – rozpromienił się pan Collins. – Mam pani tak wiele do powiedzenia, pani Bennet, że właśnie mówiłem o mojej konkursowej dyni, nie zaś o pani nowej dobrodziejce. Uciekłem się do pomocy pewnej księgi w bibliotece, którą pan Bennet nam tu pozostawił... i zgromadziłem dla pani trochę wspaniałych informacji. Lady Harcourt jest niewiastą o olbrzymiej fortunie... z pięknym domem w hrabstwie Kent... co prawda nie tak imponującym, jak posiadłość Rösings... ale z całą pewnością należącą do tej kategorii, która zasługiwałaby na okazjonalną wizytę samej lady Katarzyny!

– Wielkie nieba! – rzekła pani Bennet, zaś Lidia snuła domysły, ileż to bibelotów, wspaniałych gobelinów i chińskiej porcelany musi posiadać lady Harcourt. – A co w Londynie? Wszak jedziemy do niej z wizytą do Londynu, panie Collins, a nie do hrabstwa Kent.

– Tak, wyobraźcie sobie, że ma jakiś dom sąsiadujący z Devonshire House w Green Park – odparł pan Collins. – A teraz, czy dla skarbu Longbourn... bezcennej, nie konkurowałaby pani, pani Wickham? – Powiedziawszy to, z uśmiechem satysfakcji zdjął szklane okrycie z długiej grzędy i odsłonił dynię, która w

rzeczy samej osiągnęła imponujące rozmiary.

– Ach, więc opiekuje się pan naszymi warzywami, panie Collins – rzekł sir William, który właśnie wszedł do szklarni poprzedzany przez Charlotte Collins i lady Lucas. Powiedział to żartobliwym tonem człowieka z miasta, który robi właśnie rzadką wycieczkę, by odwiedzić jakiegoś wiejskiego prostaczka. – I jakże się panu wiedzie, jeśli wolno spytać?

Lidia ziewnęła nieelegancko.

– Mamo, powóz czeka, a tu robi się nieznośnie gorąco. Czy możemy już jechać do Londynu, błagam!

– Miło mi wiedzieć, że i my, moja najdroższa Charlotta, możemy rościć sobie prawo do pokrewieństwa z lady Harcourt – rzekł pan Collins, marszcząc brwi, nie mogąc unieść owej dyni i trzymać jej w górze. – Powiedziałem o tym naszej córce Amy, gdy tylko zakończyłem swoje dociekania, lecz wierzę, że była przytłoczona tą wiedzą i zachowa spokój, kiedy się spotkamy!

– Lady Harcourt nie jest mi znana – ozwał się sir William. Był niezwykle pompatyczny; takimi niemal zawsze okazują się ludzie, którzy znalazłszy się na dworze Świętego Jakuba, czują, iż tacy powinni być, gdy zwracają się do takich osób jak pani Bennet. – Jednak księżna Dowager, mająca teraz dziewięćdziesiąt lat i wciąż niezwykłą pamięć, jako dziecko była częstym gościem Dworu Harcourt. Mają tam bardzo piękne obrazy – Tycjana i Tiepola – i rzeźby w korytarzach. Robią ogromne wrażenie, zapewniam panią, pani Bennet!

Pani Bennet poczuła, jak ze słowami sir Williama i jego zięcia ogromnie rośnie jej znaczenie i zapewniła obu, że została zaproszona, by obdarzyć swą aprobatą małżeństwo i uczestniczyć wraz z Lidią w ślubie i że zrobi to z radością. Stałaby tam, uśmiechając się, jeszcze przez chwilę, gdyby Lidia nie odprowadziła jej do powozu i nie pożegnała się w imieniu ich obu. Pani Bennet była wdzięczna za tempo, w jakim Lidia zarządziła ich wyjazd, ponieważ lady Lucas nie omówiła jeszcze kilku tematów, a niewiele było czasu, by je poruszyć, gdy koła powozu i konie zatrzymały się na poboczu owej drogi, która w końcu miała zaprowadzić je do Londynu.

– Pani Bennet, sir William mówi mi, że się pomylił, sądząc, iż wypatrywał w Londynie pani wnuka, panicza Darcy'ego! – zawołała lady Lucas w okienko powozu. – Czyż nie, sir Williamie?

– Najpewniej się pomyliłem – odparł, idąc obok powozu, który znów nabierał szybkości. – Wchodziłem właśnie, wie pani, do Pałacu Świętego Jakuba i mógłbym przysiąc, że widziałem tego chłopaka, ale minęło już wtedy wiele czasu od chwili, gdy państwo Darcy ostatni raz byli w Meryton...

– Nie szczędzę czasu, by moje życie wypełnione było spotkaniami z ludźmi przez cały rok – rzekła pani Bennet, co prawda do połowy wychylając się przez okno, lecz zdecydowana przedstawić swój punkt widzenia sir Williamowi.

– Człowiek, którego widziałem, niewielkiej był postury, najpewniej musiałem się więc pomylić... wszak panicz Darcy musi być teraz u progu wieku męskiego i nie wątpię, iż ma wspaniałą sylwetkę...

Siedząca we wnętrzu powozu Lidia szarpnęła spódnice pani Bennet i wciągnęła ją do środka.

– Mężczyzna z żoną trzymającą na rękach dziecko! To prawda, że najpierw pomyślałem, iż to panicz Darcy... w Picadilly, sam panicz Darcy... to on, mógłbym przysiąc... ale teraz... nie, to nie wchodzi w rachubę, naturalnie... Proszę przyjąć moje przeprosiny za to, że panią zatrwożyłem, moja droga pani Bennet.

Powóz zaczął nabierać szybkości, ale prędkość koni nie powstrzymała pana Collinsa, który biegł pierś w pierś z pasażerkami z zamiarem wciśnięcia im swojej dyni, mówiąc, iż to przesyłka dla lady Harcourt w Londynie.

– Nie mogę wesprzeć dobroczynności równie swobodnie jak pani, droga pani Harcourt-Bennet – sapiąc, wołał do pani Bennet i pani Wickham, z których każda trzymała teraz jedną stronę tego warzywa – lecz Lady Katarzyna jest przekonana, jakże słusznie, że w rzeczy samej więcej jest na świecie niezawinionego ubóstwa, niż bogactwa, które byłoby zasłużone. Lady Harcourt może więc znaleźć jakiegoś godnego adresata mojego najskromniejszego daru!

Gdy miały już za sobą znaczną część drogi do Londynu i korpulentna sylwetka pana Collinsa została daleko w tyle, Lidia zapytała, co u licha zrobią z tą dynią, kiedy wraz z bagażami przyjadą do zamku Harcourt.

– ... Jeśli zostawimy ją w powozie, a wyszedzi to jakiś służący, wyda mu się to równie osobliwe, jak sprezentowanie jej lady Harcourt, czyż nie, mamo?

Na tak postawione pytanie pani Bennet mogła udzielić jedynie wymijającej odpowiedzi.

Rozdział 18

Zarówno wśród tych, którzy przyjechali po raz pierwszy, jak i wśród gości bywających tu od lat, panowała powszechna zgoda, że Pemberley nigdy nie wyglądało tak pięknie jak dzisiaj.

Stoły, przy których zasiąść mogło stu lub więcej gości, ustawiono na zielonej murawie nieopodal stopni wodnych; lekki posiłek z ptactwa i ryb pochodzących z gospodarstw i rzek, które należały do posiadłości państwa Darcych, miał być spożywany przy dźwięku rozpryskującej się wody i popijany najdoskonalszymi szampanami i winami z piwnic Pemberley.

Piramidy róż zbieranych od świtu przez ogrodnika McGregora i jego pracowników stały niczym śluzę dzielące owe ogrodowe „sale bankietowe”, których granice wytyczały też strzyżone żywopłoty, aby podkreślić miłe wrażenie przebywania „w domu”, choć przecież pod niebem. Aby przydać owej uroczystości właściwej „dziewiczej” atmosfery, Elżbieta uszyła baldachimy z delikatnego haftowanego muszliny, które teraz falowały miękko w lekkiej bryzie nad stołami, gdzie siedzieć miał pułkownik Fitzwilliam oraz jego osobiści przyjaciele i krewni. W chwili wznoszenia toastów na cześć młodej pary miała się pojawić czekająca w chłodni gondola z ładunkiem sorbetów z różanych płatków, ciągnięta przez niewidzialne linki wzdłuż strumienia okalającego ogród Pemberley. Z palladiańskiego mostku wystrzelał fajerwerki... Pomruk aprobaty dla wybornego gustu i pomysłowości Elżbiety przeszedł przez tłum zgromadzonych gości; wszystko w Pemberley było doskonałe. W owym cichym gwarze rozmów nie czyniono żadnych uwag o nieobecnym panu domu ani o jego synu i spadkobiercy. Przechodząc przez tłum przybyłych i witających się obcych, przyjaciół i znajomych ze słodyczą, która powszechnie zjednywała jej sympatię, Elżbieta czuła na sobie oczy wszystkich zgromadzonych. Ci spośród nich, którzy żywili liberalne sympatie i mieli czułe serca, uśmiechali się do niej długo i rozmawiali z panią Wilberforce, która zaledwie przed trzema tygodniami straciła córkę, zaś ci o światowych upodobaniach wyrażali swą aprobatę dla pani Darcy uprzejmym tonem, rozmawiając z dawnymi przyjaciółmi lady Katarzyny. Miranda z jej piękną figurą i ciemnymi oczami wydawała się być żywym portretem swojej matki i najwyraźniej odziedziczyła jej uprzejmą naturę, bo ona z kolei długo i ze współczuciem rozmawiała z żoną zarządcy majątku, panią Gresham, o nawrocie choroby, która nie pozwoliła leciwemu panu Greshamowi uczestniczyć w tym doniosłym wydarzeniu.

W niektórych domach z sympatią i zrozumieniem spotkał się ów sposób, w jaki Miranda prosiła niegdyś swego ojca, by pozwolił temu staremu człowiekowi nadal pozostać zarządcą Pemberley, gdy przed laty miał go zastąpić bardziej wymagający ekonom. Niektórzy mówili też – szczególnie ci, którzy usłyszeli jakąś opowieść od kogoś z nieskazitelными referencjami – że gorliwe zainteresowanie panny Darcy nowymi metodami upraw i mechanizacją, a także jej umiejętność okręcania sobie starego pana Greshama wokół palca, była przyczyną, powodem i pretekstem do obrony zarządcy.

Jeśli rozmawiano o panu Darcym – a niektórzy mówili, że jest zbyt dobry dla swoich wieśniaków, z powodu tkliwych uczuć jego żony dla ich sytuacji, inni zaś twierdzili, że pan Darcy nie szedł z duchem czasu i publicznie odmówił okazania zainteresowania nową młockarnią, gdy pułkownik Fitzwilliam przekonywał go do odwiedzenia targów w Chesterfield – czyniono to w przekonaniu, że pan Darcy wkrótce się pojawi, a panicz

Darcy przyjedzie razem z nim. Wcześniej już docierały wiadomości, że młody Edward jest wartościową latoroślą tej rodziny i wiele osób wyrażało życzenie, by zobaczyć go na własne oczy teraz, gdy osiągnął już wiek szesnastu lat.

Nikt oprócz najbliższej rodziny nie wiedział o kłopotach, w jakich znalazła się Elżbieta. Wszyscy widzieli jej uśmiechniętą twarz, do której z taką przyjemnością się przyzwyczaili, nie widzieli zaś tego jednego oblicza, ku któremu nie kierował się ten uśmiech, albo też nie zauważyli pojawiających się i znikających rumieńców pani Darcy, gdy akurat znajdowała się w sąsiedztwie syna zarządcy. Młody pan Gresham cieszył się opinią przystojnego, to wszystko; mówiono nawet o nici porozumienia między synem zarządcy a panną Mirandą, był to jednak zbyt mały dowód i ta pogłoska niebawem się rozplynęła pod muszlinowymi baldachimami, lekkimi niczym skrzydła motyla.

Ujrawszy pana Greshama, Elżbieta – z powodu swej fatalnej zwłoki wśród drzew – poczuła potrzebę odzyskania pewności siebie i poszła poszukać Jane, jak czyniła to zwykle, ilekroć pragnęła miłości, współczucia i przyjaźni. Dotarcie do siostry nie było jednak łatwe; niebawem bowiem ktoś ją porwał i usłyszała rozmowy innych, które – musiała to przyznać – nie bardzo jej się podobały.

– Moja droga Lizzy! – wykrzyknęła panna Karolina Bingley, która spod falbanki parasolki uważnie wpatrywała się w niebo, szukając jakiegoś dowodu, iż nadejdzie chmura i zepsuje to radosne wydarzenie. – Naprawdę myślę, że będzie padać! Pan Darcy powiedział przed wyjazdem, że zbiera się na burzę. Słyszałaś już o nim cokolwiek?

Elżbieta odparła – z większą surowością, niż zamierzała – że nie ma żadnych wiadomości o panu Darcym.

– Słyszałam, że ludzi aresztowanych za długi wtrąca się prosto do więzienia – rzekła panna Bingley, machając dłonią w stronę swojej siostry, która weszła do kwietnego „pokoju” przez szczelinę w żywopłocie, by natychmiast znowu zniknąć z pola widzenia. – Widziałam, że rozmawiasz z panią Wilberforce – mówiła dalej panna Bingley, dopóki swym zdaniem o więzieniu nie osiągnęła owego upragnionego wyrazu udręki, który przemknął przez twarz Elżbiety. – Straciła córkę, a teraz może stracić następną, w przyszłym tygodniu! Nieszczęsna Flora ma raka piersi... możesz sobie wyobrazić, droga Elżbieto, męczarnię pod nożem chirurga, gdy biust usuwany jest całkowicie!

Elżbieta wymówiła się i opuściła pannę Bingley. Musiała teraz znaleźć pannę młodą i powiedzieć, że należy rozpocząć uroczystość zaślubin w kaplicy. Widziała już pastora, wysokiego mężczyznę o szczerzej, otwartej twarzy, jakże innego niż kapitan Wickham, który niegdyś – jak można to było sobie wyobrazić – błagał o prebendę i utrzymanie w Pemberley. To zaś z kolei wiodło do skrywanego uczucia wdzięczności, że Lidii i jej rodziny, a także Kitty, podobnie jak i pani Bennet, tym razem nie było w Pemberley. Biedna mama, myślała Elżbieta, idąc przez tłum; gdybyż tylko w młodości bardziej spoważniała, jej małżeństwo z pewnością byłoby szczęśliwe. To, że jej życie było teraz spokojne i ustabilizowane i że szczodrość Darcy’ego uczyniła je znośnym jak na wdowę, było wielką ulgą dla obydwu starszych córek. Kolejne lata życia pani Bennet w jej podeszłym wieku upłyną w wygodzie i spokoju, z przyjaciółmi w Meryton. Niejasne wspomnienie o jakiejś nowej znajomej matki, o której mówiła Jane, przywołało na uśmiechniętą twarz Elżbiety wyraz dezaprobaty, gdy próbowała przypomnieć sobie jakieś szczegóły. Jednak właśnie teraz, kładąc dłoń na jej ramieniu, podeszła w lśniącym stroju, który przywdziała na ślub, lady Katarzyna. Obok stała jej córka, panna de Bourgh, a w niewielkiej od niej odległości – lady Sophia w prostej, batystowej szacie i z girlandą polnych stokrotek nad czołem.

– Lady Milhaven koniecznie musi cię poznać, moja droga – rzekła lady Katarzyna.

Elżbieta zorientowała się z jej tonu i stylu, że ciotka Darcy’ego, jakkolwiek mogła być surowa, czuła dziś dla niej współczucie i że upewniła się także, iż panna Bingley i jej siostra były świadome konsekwencji rozgłaszania swoich poglądów na temat nieobecności pana Darcy’ego i hańby jego spadkobiercy.

– Jestem zachwycona narzeczoną pułkownika Fitzwilliama – oświadczyła lady Milhaven, wysoka niewiasta z małymi oczami, którymi strzelała na wszystkie strony. – Utrzymywać się, jak my wszyscy, z ziemi, graniczącej z majątkiem Matlock... Wiem, jak niegościnnie potrafi być ten teren. Więcej strat niż zysków... Lord Milhaven powiada, że wolałby prowadzić pralnię w Manchesterze, niż próbować wycisnąć jakiś dochód z naszych skał i kamieni. Lady Sophia będzie z pewnością gospodarna i oszczędna!

Elżbieta przyznała, że lady Sophia już okazała się być skrajnie roztropna, chociaż wizja lorda Milhavena – miejscowej figury znanej z pulchności i upodobania do porta – jako właściciela pralni, kazała jej znów rozglądać się za Jane, aby razem mogły znaleźć ulgę w śmiechu.

– Lady Sophia mówi mi, że odwiedziła wieśniacze chaty należące do posiadłości Pemberley – rzekła lady Milhaven. – Nie lubi tracić czasu, jak czyni to dzisiaj wiele pań, oddając się wylegiwaniu, czytaniu powieści lub tym podobnym „zajęciom”.

– W rzeczy samej! – odparła Elżbieta, która poczuła pewne oburzenie, bo lady Sophia nie powinna była robić niczego takiego. – Doprawdy nie sędzę, by chaty Pemberley leżały w kręgu zainteresowań lady Sophii, droga lady Milhaven! Ci wieśniacy są regularnie odwiedzani, a ich skargi – wysłuchiwane, zaś my obie, moja córka Miranda i ja, zaspokajamy inne ich potrzeby cotygodniowym rozdziałem żywności i lekarstw.

– Och, lady Sophia niczego nie daje żonom owych mężczyzn pracujących w posiadłości, Darcy, ona bierze. Myślałam, że pani o tym wie, bo to doprawdy sprytne, robić majątek na szmatach.

Elżbieta miała właśnie zażądać wyjaśnień od swojej nowej znajomej, gdy podeszła do nich lady Sophia z twarzą zaczerwienioną od rosnącego upału tego dnia.

– Jestem zdumiona pani skromnością, lady Sophio! – wykrzyknęła lady Milhaven. – Proszę opowiedzieć pani Darcy o swoich wizytach u wieśniaków w Pemberley.

– Proszę ich jedynie o szmaty – rzekła lady Sophia piskliwym głosem, który wydawał się przeczyć jakimkolwiek roszczeniom do skromności. – Robię z nich chodniki, pani Darcy... naprawdę, zaledwie wczoraj sprezentowałam taki chodnik lady Katarzynie!

Lady Katarzyna powiedziała, iż ów chodnik będzie dobrze wyglądał w saloniku w Rosings.

Jane, która znalazła siostrę właśnie w tej chwili, zdołała wziąć ją pod rękę i zaprowadzić w jakiś zakątek wśród wysokich krzewów ogrodu, gdzie obie – ku zadowoleniu siostrzanych serc – mogły dać upust swojej wesołości.

Rozdział 19

Natura nie uczyniła Elżbiety pesymistką, więc chociaż jej widoki na szczęście mogły być zachwiane – przynajmniej do czasu nadejścia wieści o Edwardzie – szybko potrafiła spontanicznie przejść do tematu niepewności swej córki co do losów brata, zamiast myśleć o własnej niedoli. Miranda była blada, a próbując ukryć swój lęk przed panią Darcy, stała się zgoła niezwyczajnie gwałtowna w sposobie zachowania i Elżbiecie z pewną trudnością przyszło nakłonić córkę, by towarzyszyła jej w drodze do kaplicy, gdzie lada chwila miało być zawarte małżeństwo. Miranda z pewnością lękała się o brata (miała jednak odwagę i szlachetne usposobienie matki i nie powiedziałaaby tego, żeby jej nie martwić), a ponadto – o czym Elżbieta często rozmawiała z Jane – Miranda wrodziła się w ojca i była jego ulubienicą. To ona – ze swymi zdolnościami, nadzieją rządzenia i poleceniami, które, gdy je wydawała, wypowiedane były z lekkością i dowcipem, ale i żądaniem natychmiastowego posłuszeństwa – była typową córką rodu Darcych i niczym Fitzwilliam Darcy uniknęła dodatku arogancji, dzięki urokowi i skłonności do zadumy. To właśnie Miranda, o rok starsza od Edwarda, przeprowadziła go przez dzieciństwo, kiedy chroniła brata, wszędzie mu towarzysząc. Gdy więc spokojnym krokiem dochodziły do wschodniej bramy Pemberley, matka wyczuła w córce nastroj ptaka, który stracił pisklę, bez Edwarda bowiem Miranda nie miała ujścia dla silnego uczucia siostrzanej miłości. Nie było też żadnej nadziei, że przyszłość przyniesie ów śmiech rodzeństwa rozbrzmiewający w domu, gdy chłopiec wracał ze szkoły; śmiech, którego echo Elżbieta wciąż jeszcze słyszała.

Elżbieta dotarła właśnie do motywu – zupełnie bezcelowego nawet w rozważaniach – pragnienia, by Miranda była tą osobą, która przejmie posiadłość Pemberley, gdyby nie mógł to być Edward, kiedy nagle jakaś tęga postać zatrzymała je przed wejściem do kaplicy, nisko się przy tym kłaniając i tarasując dalszą drogę z taką niestosownością, którą Elżbieta natychmiast rozpoznała.

– Szanowna pani Darcy, pozwól mi pani złożyć uszanowanie sobie i jej prześlicznej córce.

Kiedy tęga postać się wyprostowała, Elżbieta zobaczyła, że Miranda się uśmiechnęła, po raz pierwszy tego dnia, i była rada mogąc poczuć spokój, nawet jeśli wrażenie, które natychmiast przyszło jej do głowy, było niedorzeczne. Ponieważ Tomasz Roper – panicz Tomasz Roper, jak ów młody człowiek od chwili swej pierwszej wizyty złożonej w Pemberley osiemnaście lat temu nazywany był przez wszystkich, którzy go tolerowali – nie oparłby się napomknieniu któregośkolwiek z członków rodziny bez towarzyszącego uśmiechu łączącego zarówno rozbawienie, jak i żal. Roper był człowiekiem, który – przywieziony do Pemberley przez lady Katarzynę w rok po ślubie Elżbiety i Darcy'ego – przedstawiony został jako „następny” w linii majoratu, gdyby Elżbieta nie zapewniła Darcy'emu dziedzica i spadkobiercy. Przyjście na świat Edwarda w rok po narodzinach córki jeszcze raz usunęło panicza Ropera w cień. Przez ten czas, głównie ku zachwytowi pani Bennet, poślubił on Mary, młodszą siostrę Elżbiety i od tego czasu Pemberley gościło tę parę z okazji kolejnych świąt Bożego Narodzenia. Elżbieta przyznawała sama przed sobą, że od chwili śmierci Mary zaniedbała zapraszania Tomasza Ropera. Był dalekim krewnym jej męża; to wszystko, a jako jeden z gości potrafił sprawić, że znaczna liczba osób wolała w najbardziej nieodpowiednią pogodę spacerować po wrzosowiskach, niż słuchać jego monologów i przemówień. Przyjazd Tomasza Ropera na ślub pułkownika Fitzwilliama nie był jednak zaskakujący; lady Katarzyna jako krewna dopilnowała, by w nim uczestniczył. Pułkownik Fitzwilliam, jej bratanek, był krewnym Tomasza Ropera i nie mogło być mowy, by ominęła go któraś z przyjemności. Roper był więc tutaj i oto, niezadowolony ze swego pierwszego powitania, pochylał się nad dłonią Mirandy, która cofnęła się gwałtownie na tę niemiłe widzianą uwagę.

– Potrzebny jestem w Richmond, ale uczestnictwo w ślubie mojego kuzyna Fitzwilliama to mój obowiązek – rzekł Roper, zniżając głos, co wskazywało na rosnący stopień jego wysokiego mniemania o sobie. – Pracuję nad swoimi wynalazkami, panno Darcy, nie zaniedbując pomysłów i wpływów pochodzących z Egiptu, owej najstarszej cywilizacji. Widzę jednak, że w Pemberley wszystko trwa tak, jak mogło być sto lat temu. Nawet narzeczeni, ośmielam się powiedzieć, będą prowadzeni do ołtarza w sposób nie zmieniony od czasów Reformacji. Czemuż nie potrafimy stosować zwyczajów epoki znacznie bardziej rozwiniętej niż nasza własna? Czemu tak wielu sprzeciwia się przykładowi Egiptu?

– Egiptu? – spytała Elżbieta, widząc, że Miranda odwróciła wzrok, aby ukryć śmiech. Równocześnie jednak gęstniał tłum pragnący uzyskać wstęp do kaplicy i Elżbieta przypomniała sobie z rosnącą irytacją, że panicz Roper wydawał się niezdolny do pojęcia takich potrzeb ani w ogóle, jak czasami myślała w

przeszłości, do przyjęcia do wiadomości istnienia reszty świata. Szybkim gestem skinęła, by przesunął się na bok i pozwolił gościom wejść do kaplicy, ponieważ jednak nie zwrócił na to żadnej uwagi, udało jej się jedynie ukłuć go cierniem różanego krzewu, ale tym też niczego nie uzyskała, a Roper kontynuował przemowę.

– Sporządziłem plan Wielkiej Piramidy, aby zbudować ją w centrum Londynu. Zapewni ona miejsce dla pięciu milionów zwłok, droga pani Darcy. Ten projekt zostanie, jak mi powiedziano, niebawem zatwierdzony na bardzo wysokim szczeblu administracji. Zostaną też zaprojektowane liczne wille, które ukażą wpływy Egiptu. Dlaczego więc nasze ceremonie małżeńskie nie miałyby się odbywać według praw faraonów?

– W rzeczy samej, dlaczego? – rzekła Elżbieta, stwierdzając, iż jej reakcja rozbawienia i żalu jest nieomal zawstydzająca. Czyż to bowiem nie jej syn zbłądził, mąż zaś wyjechał, by odszukać dziecko i znaczną część rodzinnej fortuny, a jak widziała to już wielokrotnie w życiu z krewnymi i potomkami owej rodziny, do której weszła przez małżeństwo, silny element farsy zawsze odrywał ją od najbardziej posępnych wydarzeń.

– Od dawna pragnę poinformować panią o moich wielorakich i różnorodnych projektach. – Tomasz Roper mówił teraz wyłącznie do Mirandy, co nie uszło uwagi Elżbiety. – Moja maszyna do liczenia, na przykład, jest o wiele szybsza i znacznie skuteczniejsza niż urządzenie nieszczęsnego pana Babbage!

Miranda udawała, że jest zachwycona projektami panicza Ropera, ale znalazłszy sobie przejście przez tłum, który teraz gęsto otaczał ich na trawniku, skierowała się do kaplicy i ujawszy dłoń matki, zdecydowanym krokiem weszła do środka, podczas gdy pozostawiony na zewnątrz panicz Roper radził sobie, jak mógł. We wnętrzu rozbrzmiewała muzyka. Kobiety poprawiały czepki, mężczyźni zdejmowali kapelusze. Spódnice i buty szeleściły i skrzypiały w ławkach prywatnej kaplicy Pemberley.

Rozdział 20

Pani Bennet i Lidia stwierdziły, że wszystkie niewygody podróży zniknęły, gdy tylko ich powóz wtoczył się w aleję Mail, w której przed sobą miały wspaniały widok Pałacu Świętego Jakuba, a z boku park, gdzie modnie odziani panowie i panie przechadzali się wokół pięknie położonego stawu.

– Nie dziwię się, że sir William Lucas spędza tu cały czas – oświadczyła pani Bennet, obserwując bardzo eleganckiego dżentelmena, który wysiadł ze swojej dorożki i wszedł w bramy Pałacu. Widok gromady młodych lekkoduchów, zmierzających ku Regent Street, jaskiniom hazardu i palarniom, nie rozproszył jej radosnego entuzjazmu dla tej okolicy. – Wszak w Meryton nie ma niczego takiego – przekonywała Lidie, która przybrała wyraz znużenia, aby pokazać, że już wielokrotnie bywała w Londynie. – Nie ma tu żadnych handlowych arkad, Lidziu... A pani Long w swej nowej sukni wyglądałaby tu wręcz ponuro! Bez porównania wolę to niż Bath!

Lidia napomknęła, że powinny rozglądać się za miejscem przeznaczenia i powiedzieć o nim woźnicy, zanim pochwyty je natłok powozów jadących w jedną bądź drugą stronę dzielnicy Haymarket.

– ... bo możemy tkwić tu godzinami, mamó, lub przez pomyłkę znaleźć się na jakimś zgromadzeniu, na które nie byłyśmy zaproszone.

– My mogłybyśmy się znaleźć na audiencji u króla! – wykrzyknęła na to pani Bennet – I bardzo wątpię, by odprawił nas z niczym, Lidio! Przybyliśmy tu z Normanami, wszak musisz pamiętać, co ci opowiadałam... Wydaje się więc mało prawdopodobne, by człowiek z Hanoweru, Holandii czy skądkolwiek odmówił nam wejścia w swoje progi!

– Czy lady Harcourt nie udzieliła wskazówek, jak znaleźć jej dom? – dopytywała się Lidia, wyraźnie niezadowolona. – Nie ma ich na jej bilecie wizytowym, mamó?

Pani Bennet odparła, że lady Harcourt nie ma potrzeby posiadania czegoś tak prostackiego jak adres; wszak wszyscy, którzy mają jakąś pozycję towarzyską, wiedzą, gdzie ona mieszka.

– ... wyobraź sobie, że jej rezydencja graniczy z Devonshire House, droga Lidio, a to przecież wszyscy znają!

Tonem jeszcze bardziej zgryźliwym Lidia zapytała, czy woźnicę także należy uważać za człowieka „z pozycją”, gdy, jak przewidywała, powóz został wciągnięty w ciżbę karet, bryczek i faetonów, uwięzionych między Picadilly a Haymarket, i szansa wydostania się z niej istotnie wydawała się stracona.

– Stangret zna drogę – tylko tyle zdołała z siebie wyrzucić pani Bennet, choć w jej głosie zabrzmiało zważenie, gdy skierowała wzrok za siebie, ku pałacom, które stały samotnie, spoglądając na Green Park. – Prawdopodobnie nie wolno mu jechać bezpośrednio do jej rezydencji – rzekła pani Bennet, ponieważ w każdej sytuacji nadzieja opuszczała ją ostatnia. – My nie jesteśmy przyzwyczajone do takiego niepokoju i zamieszania, Lidio... może będziemy musiały jechać inną drogą, aby tam wrócić!

Lidia z niezadowolaniem potrząsnęła głową, ale zanim ta konwersacja mogła potoczyć się dalej, powóz podskoczył gwałtownie, jakby ktoś dał koniom potężnego kopniaka, ekwipaż pani Bennet wyłamał się z szeregu oczekujących pojazdów i z wielką szybkością ruszył przez Regent Street i dalej przed siebie. Jakaś postać wspięła się na dach ich powozu – to było wszystko, co zdołały zobaczyć – i początkową ulgę, jaką odczuły, ruszając z miejsca, zastąpiła trwoga.

– To nie może być prawda! – wykrzyknęła pani Bennet i doznała palpacji. – Powiedz mu, Lidio, na miłość boską... on jedzie złą drogą i o wiele za szybko!

Jednak wołania Lidii okazały się bezskuteczne, ponieważ powóz zaturkotał na wspaniałym łuku Regent Street i jak burza wjechał w jakąś okropną, niezdrową dzielnicę, gdzie naprzeciw siebie tłoczyły się małe, mroczne domy i gdzie na ulicy, oprócz osobliwego towarzystwa młodych awanturników, były tylko kobiety; wszystkie w strojach najzupełniej odmiennych niż nosiły mieszkanki Pałacu Świętego Jakuba, co pani Bennet zdołała zobaczyć z okna powozu.

– Co też one mają na myśli, Lidio? – rzekła pani Bennet do córki. – To niestosowne: nosić takie kolory i demonstrować tak głębokie dekolty! Mniemam, że lady Harcourt nie zezwala, by takie osoby kręciły się wokół jej domu... ona nie może tu mieszkać, Lidio, przecież nie może być w to wszystko wtajemniczona!

W czasie gdy pani Bennet mówiła, powóz stanął i usłyszały donośny wybuch przekleństw woźnicy, bo z górnego okna domu wylano z wiadra w wąski zaułek cuchnącą zawartość, która co prawda prawie go

ominęła, ale zbryzgała bok powozu. Jakiś karzeł w stroju pazia, w wyplamionej tłuszczem liberii i z warkoczykiem niczym mysi ogonek, gwałtownym ruchem otworzył drzwiczki i wyciągnął dłoń w białej rękawiczce (która widziała lepsze czasy), aby pomóc pani Bennet i Lidii wyjść na ulicę.

– Czy to dwór Harcourt? – spytała pani Bennet drżącym głosem. – Zostałyśmy zaproszone przez lady Harcourt na ślub.

W odpowiedzi usłyszały, że lady Harcourt czeka na panią Bennet i panią Wickham w domu. Zanim woźnica zdołał zadać następne pytanie, mężczyzna, który na Picadilly wskoczył na dach powozu, także zszedł już na ulicę i pomagał „paziowi” w eskortowaniu pani Bennet i Lidii w głąb zaułka, zbyt wąskiego, by ekwipaż mógł podążać za nimi. Pani Bennet i jej córka jednocześnie spojrzały za siebie, ale – przeciwko czemu już nie mogły zaprotestować – woźnica trzasnął z bata i ruszył z labiryntu Berwick Street w stronę głównego przejazdu w Soho. Instrukcje wydane mu przez towarzystwo, które szczerze zapłaciło, by pojechał do hrabstwa Hertfordshire i przywiózł panią Bennet oraz panią Wickham, kończyły się przekazaniem owych dam w Londynie. Wkrótce więc ekwipaż, który był środkiem transportu pani Bennet na jej doniosłą wizytę w tym wspaniałym mieście, jeszcze raz wchłonięty został przez tłum.

Rozdział 21

Elżbieta usiadła w kaplicy. Odnosiła niemiłe wrażenie, że przyglądają się jej setki oczu i, co gorsza, jak podejrzewała od chwili porannego przebudzenia się w dniu ślubu pułkownika Fitzwilliama, za tymi spojrzeniami już niebawem podąży szept o pogłoskach i skandalu. Dlaczegoż bowiem Elżbieta siedzi sama? Gdzież w takim dniu jak ten jest pan Darcy, kuzyn i wesóły towarzysz pana młodego? Cemuż to pan Gresham musi wystąpić jako družba... Dlaczego... Dlaczego... Dlaczego...

Nieobecność Edwarda – nad czym Elżbieta zastanawiała się, klęcząc, a potem podnosząc się i bliżej przyciągając ku sobie Mirandę – była łatwiejsza do wytłumaczenia. Ostatnia o nim opinia – jako o nicponiu (właśnie tak w cichej rozmowie z panią Hurst opisywała jej ukochanego syna panna Bingley) – krążyła jedynie w rodzinie. Jakkolwiek bowiem wielkie byłoby pragnienie panny Bingley i jej przyjaciółki, by rozgłosić wieści o rodzinnej katastrofie i ruinie, równocześnie w ich własnym interesie leżało zachowanie milczenia; najmniejszy dowód nielojalności bądź obmowy zostałby przez pana Darcy'ego ukarany najprostszym i najłatwiej wykonalnym wyrokiem: dożywotnim wygnaniem z Pemberley. Również lady Katarzyna zachowywała dyskrecję, jednak nic z tego nie powstrzymało owych szeptów, które wzmagaly się tak, że Elżbieta mogłaby przysiąc, iż w ławkach za jej plecami rozlewa się morze wrogich domysłów.

Każdy potwór, który w nim zagościł, marzył teraz o tym, by powód nieobecności jej męża na ślubie okazał się wyjątkowo groteskowy.

Sytuacji wcale nie polepszało to, że dwaj mężczyźni, stojący teraz przy ołtarzu, byli zakochani w osobie, która zajmowała miejsce za nimi: w siedzącej samotnie Elżbiecie Darcy, odpowiedzialnej za taki przebieg wydarzeń, podczas gdy pan Darcy był daleko. Elżbieta modliła się, by na nią nie patrzyli, ale pułkownik Fitzwilliam – prawdopodobnie nie zdając sobie sprawy z tego, jak oczywiste były uczucia, które zdradzał – rzucał ku niej spojrzenia tak tęskne i pełne udręki, że uciekła się do ukrycia twarzy za książeczką do nabożeństwa, aby nie sądzono, że je odwzajemnia. Pani Darcy właśnie teraz – bardziej niż kiedykolwiek przedtem, od samego początku swego małżeństwa – musiała pokazać, że panuje nad uczuciami, na czym przyjaciółom, służącym i rodzinie najwyraźniej bardzo zależało. Nie sądziła, by ktokolwiek z owego karmiącego się imaginacją zgromadzenia, które dziś zasiadało w tylnych ławkach kaplicy, mógł się domyślać, jakie to dla niej trudne. Wszak tyle ich ze sobą łączyło, ją i pana młodego, który niebawem zobowiązać się miał do okazywania wsparcia i uczuć tej obcej osobie... Przypuszczano, że pani Darcy i jej mąż przyjmowali oddanie pułkownika Fitzwilliama za rzecz naturalną. Jednak Elżbieta wiedziała – wiedziała aż nazbyt dobrze – o czasach, gdy upór Darcy'ego w tej czy innej sprawie skłaniał ją ku towarzystwu i uczuciom jego kuzyna, a także o tym, do jak bliskiego, choć nie wypowiedzianego pokrewieństwa, doszło między nimi. Widziała już raz oczy przyjaciela wypełnione łzami, gdy Darcy demonstrował lodowaty sposób bycia; skrył wtedy swe uczucia pod miękka i tkliwą serdecznością. Równie mocno jak wierny pułkownik pragnęła rzucić się w jego ramiona i wypłakać swą potrzebę ukojenia. Powstrzymała się jednak... on zaś uszanował jej starania, wiedziała o tym... ale lękając się samotności w późniejszych latach, w końcu postanowił się ożenić.

Lady Sophia, wsparta na ramieniu majora Farquhara (dalekiego kuzyna z północy), przeszła teraz zdecydowanym krokiem środkiem kaplicy między ławkami i na chwilę oczy zgromadzonych zwróciły się ku pannie młodej. Elżbieta pomyślała ze smutkiem, że nie było w niej jednak nic, co by zatrzymało te spojrzenia. Narzeczona jej najbliższego przyjaciela w dniu, który powinien się zapisać jako najszcześniejszy w jego życiu, nie podjęła najmniejszego trudu, by w taki upał musnąć się choćby odrobiną pudru, ani też nawet – o czym ze zdumieniem szeptano w kaplicy – nie zatroszczyła się o odpowiednie uczesanie. Jej włosy były nie wyszczotkowane, a wymykające się pasma ujęte girlandą splecioną z jaskrów i stokrotek. Elżbiecie wydawało się, że gdyby nie zdecydowany krok i pewne spojrzenie lady Sophii, można by ją było wziąć za uciekinierkę z jakiegoś odosobnienia. Jej przypominająca nocną koszulę ślubna suknia kontrastowała z bogatymi brokatami i jedwabiami tych gości, dla których zaproszenie do Pemberley było wyjątkowym zaszczytem. Cemuż zresztą – myślała Elżbieta, obróciwszy się z uśmiechem ku swej nowej powinowatej, aby wszyscy uczestnicy ślubnej uroczystości zauważyli jej aprobatę dla wyboru, jakiego dokonał pułkownik Fitzwilliam – lady Sophia nie miałaby być prosta, skoro tak sobie życzyła? Dochody pułkownika z gospodarstwa wynosiły mniej niż dwa tysiące funtów rocznie, ona zaś nie wносиła niczego własnego, więc jej deklaracje, że będzie dobrą gospodynią, winny być przyjęte raczej z ulgą niż z

szyderstwem. Czując, iż policzki płoną jej z powodu własnych pochopnych sądów o innych, spuściła głowę, wcześniej jednak – ku swemu ogromnemu zakłopotaniu – pochwyciła utkwione w niej spojrzenie drużby, pana Greshama, który stał u ołtarza.

Śpiewając psalmy i modląc się wraz z innymi, Elżbieta czuła jedynie wdzięczność, że jej córka, która nie była osobą łatwo ulegającą emocjom, wydawała się niczego nie zauważać mimo płonących policzków i bezdźwięcznego głosu matki w ślubnych psalmach. Pan Gresham nie miał prawa tak się w nią wpatrywać... jeśli teraz płonęły jej policzki, to dlatego, że pojawił się tutaj tak nagle i w dodatku stracił poczucie stosowności. W przeciwieństwie do pułkownika Fitzwilliam, który z łagodnym wyrazem oczekiwania obrócił się ku swojej przyszłej żonie idącej przez środek kaplicy, pan Gresham – zuchwałością spojrzenia, prezentacją zgrabnej i urodziwej sylwetki w pięknym błękitnym płaszczu – demonstrował zdobyty awans i powodzenie, które odniósł jako wzięty architekt i przyszły członek parlamentu, obwieszczając w ten sposób zamiar zrównania się pewnego dnia z państwem Darcy na Pemberley.

Pan Gresham przyjął rumieńce Elżbiety zarówno jako komplement, jak i – bez wątpienia – jako wspomnienie owej rozkosznej godziny wśród drzew Pemberley, ponieważ wyciągnął z butonierki białą różę, a gdy tylko pułkownik Fitzwilliam i jego narzeczona wymienili małżeńską przysięgę, lekkim gestem ręki, który był tym bardziej ujmujący, że mógł się wydawać całkowicie przypadkowy, upuścił ją w poprzecznej nawie w taki sposób, by ów kwiat spadł na kolana Elżbiety. Za tym gestem podążył jednak tak znaczący uśmiech, że goście zasiadający w ławkach za stałymi miejscami państwa Darcych oderwali teraz ponownie całą swoją uwagę od znanej ceremonii, jaką pastor celebrował przy ołtarzu wraz z pułkownikiem Fitzwilliamem i lady Sophią, i skupili ją na uroczej i samotnej sylwetce pani Darcy. Ponownie zaczęto szeptem rozważać powody nieobecności pana Darcy'ego i fala zdumienia znów przybrała na sile. Co gorsza, pan Gresham demonstrował swą aprobatę dla jakiegoś romansowego porozumienia między żoną pana Darcy'ego a nim samym. Uśmiechnął się, podszedł bliżej, by ukłonić się wścibskim znajomym i zgromadzonej tam rodzinie. Smuga południowego słońca, która wpadła do kaplicy i oświetliła go, gdy stał przy młodej parze, sprawiła, iż nikt nie mógł zaprzeczyć, że był przystojnym człowiekiem i zasługiwał na każdy rodzaj szczęścia, jakie mogło się stać jego udziałem.

Tak właśnie bywa na ślubach, co Elżbieta dobrze wiedziała; zbiorowe pragnienie rozkoszy zawsze kryje się gdzieś blisko, nawet jeśli przyzwoitość skrywa je głęboko, a ślubne przysięgi młodej pary często wiodą do poczucia nadmiernego rozczarowania. Ale że ona mogłaby tam stać jako narzeczona... gdy jej własna udręka była tak wielka, że mogła jedynie po stokroć żałować, iż w ogóle poszła na ów spacer pośród drzew i płakać przez resztę swoich dni. Fakt, iż jej małżeństwo z Darcym wydawało się teraz zarówno jej samej, jak i wszystkim zebranych sprawą mniejszego zainteresowania niż prawdopodobne nowe namiętności, był dla niej zbyt trudny do zniesienia. Przecie? wciąż kochała Darcy'ego i nie chciała, by Gresham publicznie demonstrował takie uczucia. Modliła się, by posadzka kaplicy rozstała się i by pochłonęła ją owa czelusć, bo tam przynajmniej znalazłaby się w ciekawszym piekle.

Człowiekiem, który właśnie zmierzał do przodu i zatrwożył Elżbietę późnym przybyciem na ceremonię zaślubin w kaplicy Pemberley, był pan Falk. Nikt nie wiedział, dlaczego usiadł w drugim rzędzie (mówiono... panna Bingley powiedziała to pani Hurst, naturalnie w zaufaniu... że czynione przez owego staruszka próby edukacji panicza Darcy'ego spełzają na niczym i nie pozostanie on dłużej w Pemberley), ale lekkie szturchnięcie Elżbiety w ramię podczas przekazywania jej informacji donośnym tonem, który nie zwrócił uwagi na minutę cichej modlitwy odmawianej przez nowo zaślubioną parę, oznaczało, że pani Darcy jest jak najrychlej i bezzwłocznie oczekiwana w westybulu. Kawalek zwiniętego papieru w jego dłoni potwierdzał te wieści. Elżbieta wstała, nie zważając na ożywione spojrzenia gości, przeszła przed ołtarzem i skierowała się ku wyjściu i świeżemu powietrzu.

Zapadła cisza, a potem zabrzmiała muzyka, ponieważ pułkownik Fitzwilliam zaangażował dętą orkiestrę, by pod koniec owej ceremonii zagrała na trąbkach fanfary. Odgłos bocznych drzwi, które otworzyły się szeroko akurat wtedy, gdy pułkownik Fitzwilliam i lady Sophia Fitzwilliam ruszyli przez kaplicę ku prywatnemu wejściu do zamku Pemberley, wywołał mniejsze zdziwienie wśród tych, którzy zebrali się tu, aby pobłogosławić ten związek, niż mógłby to uczynić wcześniej, ponieważ nie można było przewidzieć – o czym lady Katarzyna napomknęła swjej córce tonem wielkiej dezaprobaty – jakąż to hałaśliwa radość może teraz być w Pemberley".

W rezultacie widok kobiety i mężczyzny, którzy byli małżeństwem od dziewiętnastu lat, mógł uchodzić niemalże za skandaliczny. To, iż przyłączyli się do młodej pary i szli za pułkownikiem Fitzwilliamem i jego żoną z godnością właściwą zachowaniu, jakiego oczekuje się od najstarszych przyjaciół, kuzynów i protektorów pana młodego, uważano za rzecz słuszną i stosowną, ale że pan Darcy i jego żona, wracając od ołtarza, uśmiechali się i ściskali za ręce niczym młodzi zakochani, bardziej żarliwie niż świeżo zaślubieni

małżonkowie, wydawało się zgromadzonym w rzeczy samej godne uwagi!

Rozdział 22

Niejeden raz w gorączce owego dnia zwieńczonego ślubem pułkownika Fitzwilliama Elżbieta próbowała odciągnąć na bok pana Darcy'ego, by poznać szczegóły jego krótkiej wizyty w Londynie, ale ilekroć szczęśliwi małżonkowie – a to właśnie ich takimi widziano znacznie bardziej niż pana młodego i jego świeżo zaślubioną małżonkę – kierowali się ku miejscu, gdzie by im nie przeszkadzano, niestrudzony tłum był tam albo przed nimi, albo też zjawiał się tuż po nich z wyrazami uznania lub pytaniami o proveniencję niektórych dzieł sztuki wystawionych teraz na pokaz dla podkreślenia owej uroczystej okazji. Elżbiecie nie przyszło do głowy, iż Darcy unika spotkania z nią, lecz Jane, która nie była zdolna do bezpodstawnych podejrzeń, podeszła do siostry, by wyrazić swoje zaniepokojenie. Elżbieta stała w grupie wielbicieli otaczających złotego orła ze skrzydłami ozdobionymi szlachetnymi kamieniami, którego umieszczono na końcu długiej galerii. Właśnie tutaj oboje państwo Darcy witali gości, którzy – zanim jeszcze udawali się podziwiać wachlarze, tabakiery i inne skarby wyłożone ku czci pułkownika Fitzwilliama i jego wybranki – przystawali zadziwieni okazałością tego wspaniałego drapieżnego ptaka.

– To dar od cara Rosji – rozległ się głos lady Katarzyny de Bourgh, która ruszyła ku owej grupie właśnie wtedy, gdy Jane znalazła się u boku Elżbiety. – Moja siostra, lady Anna, uważała, że ten ptak jest wyjątkowo wulgarny, ja zaś nie waham się powiedzieć, że w dzisiejszych czasach wszystko może być pogmatwane. Nie ma już żadnego stylu! Wszystko jest imitacją i repliką! Wszędzie i wszystko się plądruje – Grecję, Rzym i Egipt – byle tylko dostarczyć wrażeń!

– Lizzy! – rzekła Jane cichym głosem, widząc, że siostra spogląda na Darcy'ego tak jasnymi oczami, jakby przekazał jej wszystkie informacje, których pragnęła, w odpowiedzi na samą prośbę widoczną w jej spojrzeniu. – Lizzy, błagam cię, porozmawiaj z Darcym i nalegaj, żeby powiedział ci prawdę...

Powiedziawszy to, Jane ściszyła głos, ponieważ właśnie nadeszła panna Bingley, wyraźnie poruszona nieoczekiwanym przybyciem do Pemberley pana Darcy'ego, którego – o czym wcześniej wielokrotnie mówiła tym weselnym gościom, którzy przy niej przystawali – „proroczo” widziała już jako ofiarę drogowego wypadku na trakcie londyńskim. Swemu przekonaniu, iż Pemberley zostałoby wtedy bez pana, nie dawała jednak żadnego wyrazu, bo aluzje do niezdatności Edwarda mogłyby sprawić, że ta uroczystość okazałaby się ostatnią, na którą ją zaproszono.

– Przyznam, iż czułam się dzisiaj jak na wiejskim weselu – powiedziała panna Bingley bardzo słodkim głosem do lady Katarzyny, ale spojrzenie skierowała ku panu Darcy'emu, na co Elżbieta, nie chcąc spędzać czasu w jej towarzystwie, prześlizgnęła się do siostry. – Nie mogłam porozmawiać z panną młodą od stogu siana. W tym cała trudność!

Pan Darcy, który nie chciał być pozbawiony bliskości żony, odparł, że lady Sophia jest czarującą kobietą i że nie mógłby być bardziej zachwycony niż jego kuzyn dzisiaj.

– Mój drogi Darcy – rzekła lady Katarzyna, przysuwając się ku siostrzeńcowi i całkiem zasłaniając mu widok Elżbiety – ja, twoja ciotka, jako jedyna przedstawicielka rodziny twojej matki, pytam, czego dowiedziałeś się w Londynie o owych problemach, które cię tam czekały.

Darcy zmarszczył brwi. Panna Bingley, także pchnięta w jego stronę przez lady Katarzynę, zapytała pana Darcy'ego, czy wygłosi on weselną mowę, „czy też biedna młoda para będzie się musiała obejść bez niej”.

Darcy nie usłyszał jednak jej wymówki, ponieważ pani Hurst, która właśnie nadeszła w poszukiwaniu gospodarzy, miała do wyrażenia zarówno wiele komplementów, jak i niepohamowane życzenie obu sióstr Karola Bingleya, by przywieść do porządku osoby uważane za...podrzędne. Najwyraźniej chodziło jej o państwa Gardinerów, uprzejmego wuja i miłą ciotkę Elżbiety. To starsza – we już małżeństwo oszołomione prezentowanymi dzisiaj wspaniałościami Pemberley nieustannie wyrażało swą radość na widok owych skarbów i właśnie owa szczerota ich emocji dała pani Hurst okazję do upokorzenia tej zacnej pary w obecności pana Darcy'ego. Uwaga „to, co państwo widzą, nie jest nawet połową skarbów ukrytych w Pemberley” i słowami: „z całą pewnością byłoby w waszej mocy, drodzy państwo Gardinerowie, aby w każdej chwili poprosić męża waszej ukochanej siostrzenicy o otworenie przechowywanych w bibliotece tek rysunków Michała Anioła i Leonarda, byście mogli zapoznać się z nimi jeszcze bardziej osobiście” pani Hurst udało się zarówno wprawić w zakłopotanie państwa Gardinerów, jak i obrazić pana Darcy'ego.

– ... tak czy inaczej – ciągnęła pani Hurst – miło mi znowu widzieć rysunki Rafaela tak wykwintnie wystawione w zielonym salonie! Jestem pewna, że to Elżbieta była osobą, która wszystko zorganizowała... nie wątpię, że przy pewnej pomocy pana Greshama.

W tym momencie pojawił się pan Falk i trudno byłoby z całą pewnością łączyć wyraz twarzy pana Darcy'ego albo z aluzjami pani Hurst, albo z obecnością leciwego nauczyciela, którego bliskie zwolnienie z posady w Pemberley było jasne dla wszystkich oprócz niego samego.

– Gdyby Rafael żył w Anglii, z pewnością udekorowałby Pemberley, tak jak, mieszkając w Rzymie, ozdobił Watykan! – powiedziała pani Hurst głośniejszym głosem niż zamierzała, ponieważ po jej napomknieniach zapanowała kompletna cisza. – Czyż nie, Karolino?

Panna Bingley, która rzadko bywała zakłopotana, teraz potrząsnęła głową, zdumiona zawziętością swojej siostry – ponieważ pan Darcy, który po powrocie do domu uśmiechał się tak radośnie, stał teraz, spoglądając groźnie na całe zgromadzenie – sama jednak nie miała owemu zgromadzeniu do zaoferowania żadnego innego tematu dalszej konwersacji niż zasłyszana właśnie wiadomość o postępującym paraliżu kolejnej z nieszczęśliwych córek pani Wilberforce.

Osobą, która położyła kres niezręcznym wypowiedziom zarówno panny Bingley, jak i pani Hurst, był pan Falk.

– Rafael został zatrudniony do dekoracji Watykanu nie dlatego, że był wielkim malarzem, tylko dlatego, iż jego wuj piastował urząd papieskiego architekta! – obwieścił leciwy guwerner i wychylając szklaneczkę ponczu, najwyraźniej nie pierwszą tego dnia, niepewnym krokiem wyszedł z galerii.

Po jego słowach grupka rozeszła się w różnych kierunkach, a pan Darcy udał się na poszukiwanie żony.

Do tego czasu Elżbieta i Jane zdołały już wyjść do małego gabinetu odseparowanego od galerii, więc nie słyszały ani owego upokarzania państwa Gardinerów, ani zuchwałego komentarza pana Falka. Jednak, jakby przewidując to pragnienie wspólnej samotności, zaczął się na siostry Tomasz Roper, który chciał zrobić im wykład o wszystkich cennych przedmiotach wydobytych z piwnic dla podkreślenia wagi małżeństwa pułkownika Fitzwilliama i – mimo zapewnień pani Darcy, że zna ona w swoim własnym domu wszystko i każdego – ustąpił dopiero wtedy, gdy w tłumie pokazała się Miranda, którą uznał za odpowiednią słuchaczkę swojego wykładu. Elżbieta z bólem pozwoliła mu zabrać Mirandę na poszukiwanie wiedzy, którą to dziewczę od dzieciństwa znała na pamięć, zamiast zaprosić córkę, by towarzyszyła im w drodze ku jakiemś spokojniejszemu zakątkowi z dala od weselnych gości. Jednak Jane mówiła z taką rzadką u niej gwałtownością, że nie byłoby właściwe, by Miranda usłyszała dyskusję o małżeństwie rodziców, a właśnie taka dyskusja – czego Elżbieta była równie pewna, jak własnej siostry – stanowiła nieodpartą potrzebę Jane.

Dzisiaj, stwierdziła Elżbieta, Jane była bardziej cudowna niż kiedykolwiek, a potem, myśląc o ich ojcu – ponieważ biblioteka została rozbudowana dla uczczenia pamięci pana Benneta, a one stały właśnie w niewielkim pokoju sąsiadującym z owym wspaniałym pomieszczeniem o sklepieniu wspartym na kolumnach, które było odpowiednie dla przechowywanej tu wybornej kolekcji – doszła do przekonania, że byłby dumny, znając ją taką, jaką stała się teraz, w okresie dojrzałości. Jane nosiła białą suknię z zielonymi ozdobami. Jej styl ubierania się uległ zmianie, bo z upływem lat musiał się zmienić, ale zieleń wciąż pozostawała jej ulubionym kolorem i Jane było w nim teraz do twarzy jak nigdy przedtem. Dobroć i cierpliwość, z jaką Jane radziła sobie ze wszystkimi przeszkodami, które stawiało przed nią życie, przydawały jej urodzie godności. Głowę uniosła wysoko, a oczy – łagodne i jasne – spoglądały teraz na Elżbietę z wyrzutem.

Siostry podeszły do okna, z którego roztaczał się widok na trawniki i ogrody Pemberley.

Gdyby jakiś gość, może artysta lub po prostu widz wrażliwy na piękno, zobaczył je teraz, Elżbieta najprawdopodobniej wydawałaby mu się doskonalsza, bo – chociaż nie posiadała owej regularności rysów, która wyróżniała Jane spośród innych kobiet – jej urok znacznie pogłębiała inteligencja. Żółta jedwabna suknia, którą włożyła dla Darcy'ego (mimo iż sądziła, że go nie będzie), bo wiedziała, że lubił ją w tym kolorze i nawet kazał sportretować ją w owej tonacji z dziećmi bawiącymi się u jej boku na palladyjskim moście w Pemberley, podkreślała barwę jasnych oczu i twarzy Elżbiety. Była nieco wyższa niż Jane, a jej figura, nie zmieniona porodem, pozostała równie smukła jak w owym dniu, gdy Darcy wiele lat temu, w Netherfield, odtrącił ją jako partnerkę do tańca. To wspomnienie – gdy posmutniała na myśl o ojcu i o tym, czego już nie zobaczył w obu starszych córkach – wywołało na ustach Elżbiety lekki uśmiech, choć starała się wyglądać najpoważniej jak mogła, słuchając upomnień Jane.

– Lizzy, musisz dowiedzieć się od Darcy'ego, co się stało z Edwardem. – W głosie Jane brzmiało napięcie i najwyraźniej trudno jej było mówić dalej. – I te karciane długi! Musisz nalegać, by porozmawiał z tobą na stronie, choćby przez parę minut, bez względu na to czy jest gospodarzem, czy nie! Edward jest

twoim synem. Czyż nie szalejesz z niepokoju, najdroższa Elżuniu?

Elżbieta czuła, że blednie... ale przecież Jane nie należało odmawiać szczerzej odpowiedzi. Delikatnie, z nadzieją na większe zrozumienie, niż mogłaby kiedykolwiek uzyskać nawet u swej ukochanej siostry, opowiedziała o latach bólu, jakiego doznawała od chwili, gdy Edward, mając siedem lat, po raz pierwszy zademonstrował swoje złe usposobienie, i o tym, że była zmuszona uodpornić serce przeciwko wieściom o nim na wypadek, gdyby były złe.

– ... i tak czy owak, Jane, Darcy powiedział mi, że nie mam się czego bać. Edward jest bezpieczny. To były jego słowa. Czyż nie jest bardziej uprzejmie wobec biednego pułkownika Fitzwilliama pozwolić mu na dzień szczęścia...?

– Jeśli tak – rzekła Jane, spoglądając uważnie na Elżbietę – to przynajmniej powiedz, że Edward jest bezpieczny.

– Dzięki Bogu – odparła Elżbieta szczerze, choć cichym głosem. – Proszę, Jane, uwierz mi! Darcy powie mi wszystko, gdy uzna to za stosowne; we właściwym czasie!

– Elżbieto, stałaś się zbyt uległa jako żona Darcy'ego. Gdzież jest twoja odwaga, którą niegdyś posiadałaś? Gdzież twoja niecierpliwość, by dowiedzieć się tego, co przed tobą skrywano? Przypominam sobie przypadki...

W tej samej chwili lady Sophia Fitzwilliam (najwyraźniej także szukając schronienia przed tłumem i równie wyraźnie skonsternowana, że i tu nie będzie sama) weszła do gabinetu, więc pojawiła się potrzeba prawienia komplementów o ceremonii i życzeń dalszej radości, a potem nastąpiła rozmowa o pogodzie, możliwej tego dnia burzy i cenach baranów.

Elżbieta, zobaczywszy, że Jane nie ma już sposobności dalszego napominania jej, odetchnęła z ulgą, bo siostra nazbyt zbliżyła się do prawdy, co było niezbyt przyjemne.

To pewne, że Jane w swoim małżeństwie była bardziej nowoczesna i bardziej wolna niż ona. Jednak Elżbieta ze skrywanym zachwytem, którego nie mogła wyjawiać nawet siostrze i swojej najbliższej przyjaciółce, powierzyła odpowiedzialność za to wszystko panu Darcy'emu.

Rozdział 23

Dopóki Elżbieta ponownie nie weszła do galerii i nie zajęła miejsca u boku Darcy'ego, nawet sama przed sobą nie przyznawała, że Jane miała rację i że bezzwłocznie musi wydobyć z męża wszystkie niezbędne informacje.

Była całkowicie pochłonięta wspomnieniem o Edwardzie i bolesnym podejrzeniem, że już go nigdy nie zobaczy. Nieobecność tego chłopca, którą weselni goście od razu zauważyli, co Elżbieta – przez wiele lat przyzwyczajona do plotek i złośliwości – z przykrością sobie uświadamiała, stała się brakiem tak oczywistym i tak nieznośnym, że teraz sama zdumiewała się, iż tak broniła Darcy'ego przed siostrą.

Musiała dowiedzieć się, gdzie jest Edward, a owe wyraźne oczekiwania tych, którzy podobnie jak panna Bingley i pani Hurst ostatecznie potwierdzali, że oto splugawione zostały cienie Pemberley – co lady Katarzyna przepowiadała podczas ślubu Elżbiety i Darcy'ego – jeszcze bardziej pogarszały sprawę. Jeśli Edward przebywa w więzieniu, osadzony tam za długi, to ona musi o tym wiedzieć. Jeśli zaś jest bezpieczny, o czym zapewnił ją pan Darcy, to gdzie się ukrywa? Fragmenty listów chłopca do domu dostarczały Elżbiecie świeżego bólu, dźwięcząc w jej pamięci nowymi wyrażeniami, których używał z dumą: że „rozpiera go energia” i że przesyła pozdrowienia dla swego ulubionego konia. Elżbieta musiała robić wiele, by powstrzymać łzy, ponieważ ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła (choć wiedziała, że to ją z powodu urodzenia, niewłaściwego wychowania, nadmiernego pobłażania i wszelkich innych grzechów obarczano winą za karygodne postęпки niefortunnego syna) było to, aby zastano ją we łzach niczym słabą, zagubioną matkę. Nie da im więc tej satysfakcji! Ponadto w głębi duszy wierzyła, że to wszystko musi być pomyłką, że to kogoś innego wzięto za Edwarda, a on sam wciąż jest w szkole, pracując nad zdobyciem doskonałego wykształcenia, czego życzyli sobie rodzice. Fakt, że chłopiec okłamywał ich w sprawie nauki, był zbyt bolesny, aby w to uwierzyć, zaś roztrwonienie dziesięciu tysięcy akrów w Walii, stanowiące dowód jego odmienności, było rzeczą zbyt niewiarygodną, by się z nią pogodzić bez zasięgnięcia dalszych informacji u Darcy'ego, który stał teraz uśmiechnięty obok niej, witając gości i rozmawiając z nimi.

Elżbieta postanowiła wyjść na zewnątrz, aby zaspokoić nagłą potrzebę wieści o Edwardzie, lecz wymagało to przejścia na klomb, ku początkowi długiej kolejki gości, którzy gotowi byli podążać za panią Darcy i jej małżonkiem do każdego zachwycającego zakątka w majątku Pemberley. Bez względu na to zatem, jak szybko by szła (z Darcym u ramienia, by nie pozwolić mu odejść), nie mogła zrzucić z siebie roli gospodyni i przewodniczki. Szczególnie podziwiano wodną kaskadę i wszyscy musieli przystanąć na kilka minut, gdy Tomasz Roper, który bezzwłocznie przyłączył się do towarzystwa, wyjaśniał zasady działania swojej nowej maszyny liczącej i metody pomiarów wody opadającej stopień po stopniu wspaniałymi schodami. Następnie wszyscy przeszli do parku, gdzie osiemnaście lat temu pan Darcy i jego młoda narzeczona zasadzili egzotyczne drzewa z tropikalnych krain: ostrą leszczynę z Chin i kwitnącą wiśnię z Japonii, której identyczny okaz miały jedynie słynne Ogrody Botaniczne w londyńskiej dzielnicy Kew. Jednak także i tutaj pan Roper wygłosił wykład o utrzymywaniu i konserwacji arboretum. Gdyby Elżbiecie nie doskwierała taka niecierpliwość, by usłyszeć najgorsze – bo teraz była już przekonana, że

Darcy ukrywa przed nią jakąś tragedię, postępując tak zarówno dlatego, by oszczędzić jej bólu, jak i po to, by nie zepsuć dnia ślubu pułkownika Fitzwilliama – uśmiechnęłaby się na absurdalność owej sytuacji. Zauważyła jednak, dumna z ogromnej wrażliwości córki, że Miranda także się nie uśmiecha i że spogląda ku matce ze zrozumieniem i uczuciem, a zaloty pana Ropera, irytujące Mirandę sto razy bardziej niż samo jego towarzystwo, dla Elżbiety nie były w tym przypadku obiektem śmiechu między matką a córką. Roper nie mógł, oczywiście, wiedzieć o hańbie, jaką przyniósł Edward, ale taki jego stosunek do owych drzew, urządzeń i samych traw w parku Pemberley, jakby był ich właścicielem – chociaż otwarcie dostarczał panu Darcy'emu uciechy – jedynie podkreślał groźbę sytuacji. Z pewnością znajdzie jakieś miejsce, gdzie porozmawia z mężem... Jane słusznie przypuszczała, że to on unika żony, choć pozornie, wobec ludzi, jest tak blisko... Elżbieta w desperacji zawróciła ku domowi, a rosnący tłum podążył za nią z posłuszeństwem stada dobrze wytresowanych baranów.

Teraz oczom wszystkich ukazały się ustawione na zewnątrz zachodniego skrzydła baldachimy i stojące pod nimi stoły okryte obrusami z najszlachetniejszego batystu, udekorowane girlandami kwiatów i liści. Najbardziej sędziwi i najmłodszy spośród gości właśnie pochłaniali herbatę, ciasta oraz lody. Przyglądając się scenie, która stanowiła wprost idealny obraz letniego wesela, Elżbieta na chwilę zapomniała o zgrzyotach.

Dzień był piękny i ciepły, a niebo błękitne. Szczęście zakłócał jedynie rój małych pszczołek przegnanych niebawem ku liliom i różom, które Elżbieta hodowała i pielęgnowała od chwili, gdy przybyła do Pemberley jako żona pana Darcy'ego. Kusiło ją, by tu zostać i zrezygnować z zasięgania owych informacji, które z pewnością przyjdzie jej poznać i pojąć.

Szmerem aprobaty powitano pojawienie się pułkownika Fitzwilliama i jego wybranki, którzy weszli do ogrodu z malującym się na twarzach wyrazem czystej przyjemności na widok owych wysiłków, jakie dla nich podjęto. Co więcej, Elżbieta zauważyła, że między pułkownikiem a lady Sophią przebiegło spojrzenie prawdziwego uczucia i w tym momencie, karcąc się za lekkomyślność i skłonność do unikania prawdy, zarzuciła sobie rozmyślny brak wyrozumiałości dla starego przyjaciela i dokonanego przezeń wyboru żony, gdy tymczasem oni się kochali i mieli dla siebie równie niezawodne zrozumienie, jakie ją samą łączyło z własnym mężem. Nie zdziwiłaby się zatem, gdyby na wieść o Edwardzie na czele wiernych przyjaciół, którzy przyjdą z praktyczną pomocą i wsparciem, znalazła się lady Sophia. Elżbieta miała nadmierną skłonność do zbyt impulsywnego osądzania innych. Byłaby upokorzona, gdyby prawda wyszła na jaw i ponownie nie pozwoliłaby sobie na takie uprzedzenie.

Pan Darcy uśmiechał się do wszystkich, którzy do niego podchodzili, choć trudno powiedzieć czy robił to dlatego, by złagodzić groźne spojrzenie sprowokowane przez panią Bingley i panią Hurst, czy też po to, by ukryć własne zmartwienie, ale tak czy inaczej pozwolił Elżbiecie oderwać się od niewinnych przyjemności ogrodu i poprowadzić ku leżącej za domem wyższej części posiadłości Pemberley. Niebawem znaleźli się na moście, który przechodził pod tunelem, kierując się ku błotnistej ścieżce wydeptanej głównie przez ogrodników i służbę. Elżbieta często chodziła tędy do ogrodu warzywnego; lubiła równe rzędy warzyw i panujący w nim nastrój ciszy i spokoju, ale wyczuła, że jej mąż nie odwiedzał tego miejsca od czasów, gdy był chłopcem i pomimo całego niepokoju o syna, patrząc teraz na Darcy'ego, nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Gdybyż w przeszłości przychodzili tu razem... Widziała, że był oczarowany tym miejscem, jego kamiennym ogrodzeniem, świeżo skopanymi grządkami, brunatną ziemią i wyraźnymi staraniami zarówno o warzywa korzenne, jak i liściaste. Jednak Darcy był zawsze zbyt zajęty, za bardzo pochłonięty kierowaniem ludźmi i gospodarką. Być może również i to spowodowało zmianę w Edwardzie, tę jego obcość, ostentacyjne udawanie, że rodzina matki jest cudzoziemska, niechęć do własnego nazwiska... a i ona więcej myśli poświęcała jego ojcu niż jemu...

– Wydajesz się niepodobna do siebie, najukochańsza Elżbieto – rzekł Darcy głosem tak czułym, że Elżbieta z bólem przypomniała sobie, iż wiele czasu minęło od chwili, gdy słyszała swego męża mówiącego do niej w ten sposób. – Sądzisz pewnie, że mam ci do powiedzenia coś, co pograży cię w wielkim nieszczęściu, ale tak nie jest. Tych łotrów aresztowano. Edward sprowadzony został na złą drogę przez młodego Althorpa. Wpadli w ręce lichwiarzy, ale wystarczyło zamienić parę słów z jego ojcem... Walijskie posiadłości są bezpieczne!

Elżbieta nie miała odwagi ponownie spojrzeć na męża i spuściwszy wzrok, patrzyła na zwirową ścieżkę ograniczoną równym rzędem żywopłotu. Darcy idąc rozrzucił kilka kamyków, więc wyrównała je czubkiem pantofelka.

– A Edward? – zapytała tak cichym głosem, że wydawało jej się, iż Darcy go nie usłyszał.

– Mieszka w szkole ze swoim wychowawcą; dał słowo, że będzie kontynuować naukę i że więcej nie zada się z tymi szubrawcami – rzekł Darcy i pochylił się, by pocałować Elżbietę i ująć w dłoń twarz żony, by jej wzrok musiał unieść się w górę i spotkać z jego spojrzeniem. – Jest skruszony. Zobaczysz go, kiedy przyjedzie tu na wakacje. Bardzo się wstydzi. Kocha cię. Napisze do ciebie, moja kochana Elżuniu. I prosi cię, tak jak ja, byś się już o niego więcej nie martwiła.

– A zatem przyjęli go z powrotem, nie zważając na relegowanie? – wykrzyknęła Elżbieta i w końcu rozplakała się z ulgą.

– Nie brano pod uwagę wydalenia go ze szkoły – odparł Darcy.

Usłyszawszy to, Elżbieta – uspokojona teraz przez Darcy'ego dodatkowymi zapewnieniami, że sprawy mają się tak dobrze, jak przed owym weselnym przyjęciem, które toczyło się w Pemberley, i rozmową o planach, jakie poczynił w związku z ich podróżą do Wenecji – zaczęła wierzyć, że w rzeczywistości wszystko było złym snem i nie mogła się doczekać, by opowiedzieć o wszystkim Jane i trochę popłakać na jej ramieniu, skoro najgorsze obawy okazały się nieuzasadnione.

– Ciotka Katarzyna będzie uszczęśliwiona, słysząc, że wciąż mamy swoje walijskie posiadłości – powiedział Darcy, a Elżbieta usłyszała w jego głosie śmiech i wesołość; wszak wszystkie błędy syna były naprawione i nie ponieśli żadnej dotkliwej straty – chociaż za życia swojej matki ani razu nie znalazła czasu, by opuścić Rosings i odwiedzić nas tam!

Elżbieta uśmiechnęła się, słysząc te słowa.

Przytuleni, powoli opuścili enklawę warzywnego ogrodu, by ponownie przyłączyć się do weselnym gości, bo zbliżał się czas bankietu, któremu musieli przydawać, a potem pora sztucznych ogni i muzyki przed zakończeniem owego uroczystego dnia.

Dzień gasł, przechodząc z wolna w wieczór wonnych róż i pierwszych oznak zmroku i dopiero wtedy, gdy wyszli z niskiego tunelu na drewniany most nad strumieniem, który żywi! warzywnik, Elżbiecie przyszło na myśl, by zapytać o owych huncwotów, którzy sprowadzili jej syna na manowce.

– To jakaś okropna starsza kobieta, jeśli zdołasz w to uwierzyć! – odparł Darcy ze śmiechem. – Kobieta, która popadła w niesławę; zachęca potomków wielkich rodów do hazardu i picia. Nie jest już nigdzie przyjmowana. Nazywa się lady Harcourt!

Część trzecia

Rozdział 24

Powrót pani Bennet do hrabstwa Hertfordshire zwracał uwagę zgoła niezwykłym brakiem informacji o przyjemnościach jej pobytu w Londynie. O tym, czy Harcourt House żył stosownie do jej oczekiwań, nie dowiedziano się jeszcze przez kilka dni po tym, jak niezawodnie doniesiono, że Meryton Lodge znów zamieszkałe jest przez panią Bennet i jej najmłodszą córkę.

Nie mogąc zaspokoić ciekawości ani doczekać się zaproszenia do starej przyjaciółki, pani Long sama wyruszyła do niej pewnego dnia w nadziei uzyskania zwierzeń, które w przeciwnym razie mogłyby najpierw dojść do lady Lucas lub pani Collins, chociaż obie panie zapewniały, że im również brakuje towarzyskiej pogawędki z panią Bennet, akurat wtedy gdy miały na nią ochotę.

Nikt nie powiedziałby, że obecnie pani Bennet była milej widziana niż przed wyjazdem do Londynu, gdyż teraz mogła podzielić się czymś więcej niż dywagacjami o nowym powinowactwie, i nikt nie był przygotowany, by łączyć to niedopowiedzane spostrzeżenie z kolejnym przypuszczeniem, że owa podróż do Londynu musiała zaowocować raczej rozczarowaniem niż sukcesem.

Pani Bennet, sprowadzona na dół obwieszczeniem lokaja anonsującego przybycie pani Long, prędko rozwiąła wszelkie takie domysły, zanim jeszcze pojawiła się podobna sugestia.

– Nie odwiedzałam cię, moja droga pani Long, ze strachu, by cię nie zamęczyć nieumiarkowanie drobiazgowym opisem przepychu umeblowania i wyposażenia domu mojej krewnej. Mógłby bowiem ów opis, czego również się obawiałam, przynieść poczucie niższości tym z nas, którzy żyją skromnie w Meryton i nie mają dostępu do świetności Harcourt House!

Pani Long odparła, iż jest przekonana, że zdoła przeżyć opisy i relacje pani Bennet, wyrażając przy tym ciekawość, czyjej przyjaciółka czuje się od chwili powrotu z Londynu przynależna do niższego porządku świata.

– Z pewnością nie, pani Long! – zapewniła ją pani Bennet. – Mój dom może być mały, ale urządzali go stolarze i tapicerzy pani Darcy z Pemberley! Nic nie jest zbyt dobre dla Meryton Lodge i przyznam, że jestem zaskoczona, iż tego nie widzisz. W rzeczy samej, ilekroć ktoś obcy prosi bym opisała swój dom dając za przykład Maison de Pompadour, ów czarujący niewielki dom w lasach Fontainebleau, będący podarunkiem króla Ludwika dla samej madame de Pompadour!

– Czy i lady Harcourt została poinformowana o tym podobieństwie? – zapytała pani Long, bo pomyślała, że pobyt w Londynie zmącił umysł pani Bennet i że może ona potrzebować pomocy medycznej.

Nalegania pani Long, pragnącej uzyskać szczegółowe informacje o lady Harcourt, wyrażane czy to w zręcznie postawionych zagadnieniach podobnych do tego, jakie już zostało sformułowane, czy to w konkretnych pytaniach, nie znalazły odpowiedzi, więc pani Bennet jeszcze raz poproszona została o wyliczenie wszystkich wspaniałości domu lady Harcourt i jego rzeczywistej pozycji. W pani Long, której w miasteczku bynajmniej nie uważano za idiotkę, zaczęły bowiem rosnać pewne podejrzenia.

– Cóż, na ścianach wzdłuż schodów było tam tak wiele obrazów sir Joshuy Reynoldsa, ile tylko można sobie wyobrazić – wykrzyknęła pani Bennet – a udrapowane w wodne fale firanki uszyte zostały z adamaszku! Och, Lidio! – zawołała, bo do pokoju weszła pani Wickham, a pani Long uchwyciła ów błagalny wzrok, z jakim jej przyjaciółka powitała swoją córkę – właśnie opowiadałam pani Long o cudach Harcourt House, jednak doprawdy nie potrafię opisać ich wszystkich. Czy ów doskonały obraz na schodach był dziełem van Dycka, czy też namalował go sir Thomas Gainsborough? Czy był to portret zmarłego sir Williama Harcourta? Z wiekiem moja pamięć do szczegółów staje się coraz słabsza, droga pani Long. Wszyscy musimy to znosić najlepiej jak potrafimy, bo wejdziemy w wiek dojrzały z nielicznymi, lecz tkliwymi wspomnieniami, a potem i one nas opuszczą!

To podsumowanie niedogodności wieku nie zrobiło wrażenia na pani Long, która skwapliwie przeszła do tematu owego ślubu, na jaki pani Bennet i pani Wickham zostały zaproszone.

– Cóż, niewiele brakowało, żebyśmy wcale tam nie dojechali – rzekła pani Bennet. – Nasz powóz porwany został w taki ścisk, że zanim zdołaliśmy się z niego wydostać, po prostu zmiotło nas na ulicę Berwick...

– Czyż to nie kościół pod wezwaniem Świętego Jakuba przy Picadilly jest najślawniejszy? – dopytywała się pani Long. – Może nie podróżuję tak wiele, jak ty, droga pani Bennet, ale mam w dzielnicy

Regent's Park siostrzenicę, która do mnie pisuje i wyłożyła mi to wszystko nader jasno, bym najdokładniej poznała jej pozycję towarzyską i miejsca, w których bywa. Wiem zatem, że kościół Świętego Jakuba mieści się na wprost Albany...

– Mama się myli – wtrąciła się Lidia, która zauważyła, że pani Long pragnie nadal dociekać prawdy o owej wizycie. – Ślub istotnie odbył się w kościele, zgodnie w wcześniejszymi ustaleniami. Pewien kuzyn lady Harcourt, młodzieniec...

– Jakiej profesji? – błyskawicznie zapytała pani Long.

– Zdaje się... – zaczęła Lidia, z wahaniem udzielając odpowiedzi – tak, zdaje się, że gwardzista, pani Long!

– A zatem nosił mundur i insygnia – rzekła pani Long, bo było już dla niej oczywiste, że matka i córka coś ukrywają. – Czy to dragon, pani Wickham? Jestem przekonana, że jeśli już nie na czymkolwiek innym, to na tym pani się zna. Wszak przed laty wszyscy w okolicy wiedzieli o waszych, pani i jej siostry Kitty, słabości do dragonów.

Lidia zawahała się ponownie, a potem powiedziała, że niezbyt dobrze zapamiętała, do jakiego regimentu należał pan młody.

– Bo było ciemno! – wykrzyknęła pani Bennet, jakby w tym momencie wróciła jej pełnia władz umysłowych. – Było za ciemno, pani Long! Oto dlaczego nie mogłyśmy przyjrzeć się dokładnie pannie młodej, nieprawdaż Lidziu? Było to zresztą doprawdy irytujące, gdyż lady Harcourt wcześniej zapewniała nas w listach, że jej kuzyn żeni się z młodą damą o wielkiej urodzie i nieskazitelnym wychowaniu.

Pani Long wstała, mówiąc, że musi jeszcze uzupełnić sprawunki. Wciąż utrzymywała się ciepła pogoda, najlepiej więc było kupować ryby na kilka godzin przed spożyciem. Ona zaś nie chciała otruć tego wieczoru burmistrza i panny Merriman, mimo że panna Merriman w zeszłym tygodniu ograła ją w wista u lady Lucas.

–... być może odwiedzę też lady Lucas – rzekła pani Long, zbierając się do wyjścia. – Z pewnością ciekawa będzie usłyszeć, jak ciemno jest w Londynie o trzeciej po południu w samym środku lata! Może ustrzeże sir Williama przed powrotem do tego miasta, jeśli klimat robi się tam tak niezdrowy, jak powiadacie.

– Co pani chce przez to powiedzieć, pani Long? – zapytała nieszczęsna pani Bennet, która teraz chciała już tylko wiedzieć, gdzie popełniła błąd.

Jednak pani Long powtórzyła jedynie swe pragnienie złożenia wizyty lady Lucas, nawet gdyby miała nieść ze sobą w torbie mokre ryby i nie pójść z nimi najpierw do domu.

– To bardzo poważna sprawa, pani Bennet. Jestem przekonana, że Charlotta także powinna się o niej dowiedzieć, aby mogła zdecydować, czy ma sprawiać kłopot pani Elżbiecie Darcy i pani Jane Bingley w czasie owych uroczystości z okazji ślubu pułkownika Fitzwilliama. Jest moim obowiązkiem poinformować o tym panią Collins, która potem sama podejmie decyzję : w sprawie działań, jakie ustalą oboje: ona i pan Collins.

Po tych słowach pani Long udała się w drogę ze znacznie większym niż zwykle pośpiechem, kierując się prosto ku domowi państwa Lucas, bo już wcześniej zdecydowała, że bez względu na konsekwencje, ryby kupi później.

Pani Bennet zaś, porzuciwszy poszukiwanie owego błędu, którym zdradziła prawdę o ich wizycie w Londynie, siedziała teraz w milczeniu i żadne z dokonywanych przez Lidię wyliczeń zdobywszy, jakie przywiozła ze stolicy, ani układane na podłodze szkatułki i wachlarze nie zdołały wyrwać jej matki z ponurego przygnębienia.

Rozdział 25

Następnego dnia Jane i Elżbieta poszły na wrzosowiska rozciągające się nad Matlock. Dwukółka, która przywiozła je z Pemberley, czekała u stóp wzgórza porośniętego trawami i wrzosem, co czyniło to miejsce dzikim. Obie siostry zachwyciły się zmianą otoczenia i nastroju, jaką przyniosła im ta wycieczka. Dzień później Jane miała wrócić z rodziną do Yorkshire, zabierając ze sobą pannę Bingley. Jednak w Pemberley z dłuższą gością pozostawała lady Katarzyna i jej córka, panna de Bourgh, której fortepianowe wysiłki podjęte poprzedniego wieczoru były ciężkim doświadczeniem dla wszystkich pozostałych weselnych gości. Także pan Roper, wspierany w swej prośbie przez lady Katarzynę, wyraził pragnienie dalszego pobytu, i Darcy, którego towarzyskość była znana, spełnił je.

W porównaniu z domem, wciąż odwiedzanym przez gości przybywających do niższej galerii, gdzie prezentowano ślubne prezenty pułkownika Fitzwilliama, pustka i samotność wrzosowiska wydały się Elżbiecie zachwycające. Podobnie jak Jane, ona także niewiele miała czasu dla siebie, obiecała bowiem pułkownikowi i jego żonie, że złoży wizytę w ich domu, zostawiając siostrze dwukółkę, by wróciła nią do Pemberley. Teraz zaś przy każdym oddechu atmosferą wrzosowiska czuła się coraz bardziej uwolniona od napięć i lęków minionych dni. Tutaj występki Edwarda nabierały właściwych proporcji, a szczęście i pomyślność jej i Darcy'ego wydawały się równie bezgraniczne jak szeroko rozciągający się przed nią horyzont. Jane, jak to często bywało w przeszłości, miała rację; Elżbieta była zbyt impulsywna, zbyt szybko przyjmowała za pewnik, że stało się coś bardzo złego, ale nawet gdyby było prawdą, iż ów nawyk podejrzliwości i oczekiwania, że zdarzy się wszystko, co najgorsze, wyrobił w niej pewien okres w przeszłości, w którym dominowała troska o dziecko i jego przyszłość, nie różniła się w tym od innych matek. Elżbieta wiedziała, że Jane jest wyjątkiem i że jej spokój nie zostałby zburzony bez względu na to, jak groźna katastrofa mogłaby się wydarzyć w wychowaniu dzieci.

– Czasami wydaje mi się, że nie jestem stworzona do roli matki – powiedziała ze śmiechem Elżbieta.

Stała teraz wraz z siostrą w najwyższym miejscu wrzosowiska, spoglądając na ów rozległy teren, który dzielił je od zalesionych wzgórz nad Pemberley. W dali widoczna była mała niczym domek dla lalek Baszta Myśliwska, ale Elżbieta odbiegła myślą od pana Greshama i owej przechadzki, którą odbyła tamtego dnia... Darcy wrócił do domu i żadne nieszczęście nie spadło ani na jego posiadłości, ani na syna.

– Doprawdy mylisz się, Lizzy! – rzekła Jane niezwykle ciepłym tonem. – Twój syn cię kocha. Edward miał złamane serce, gdy uznano, że nadszedł czas, by pojechał na południe do szkoły!

Na te słowa Elżbieta westchnęła i przyrzekła sobie, że w czasie wakacji będzie spędzać więcej czasu z Edwardem, bo bez pułkownika Fitzwilliama chłopcu zabraknie zajęcia. Wszak pułkownik i lady Sophia – która powtórzyła szczerze mężowskie zaproszenie, by chłopiec przyjechał na tyle tygodni, na ile zechce, by uganiać się za ptakami i łowić ryby w rzece płynącej przez Matlock – nie powinni gościć go zbyt długo. Kiedy zastanawiała się nad Edwardem i zadowoleniem, jakie okazywał, gdy zachęcano go do wiejskich zajęć, wiedziała, że słabo go rozumie i smucił ją ten fakt. Temu chłopcu niepotrzebna była matka; on potrzebował ojca, by towarzyszyć mu jako sportowiec i jako przyjaciel. Elżbieta modliła się, by ta ostatnia obawa o syna

przekonała męża do niego i aby otworzył się dla chłopca. Może stanie się tak, gdy Edward będzie starszy, pomyślała, łapiąc się potem na myśli, że odkąd pamięta, modli się właśnie o to.

– Miranda zaś – mówiła dalej Jane – jest tak zręcznym połączeniem cech ojca i matki, że doprawdy nie wiem, kogo bardziej przypomina. Myślę, że chyba Darcy'ego, po którym ma też niezmiennie uwielbienie dla ciebie, Lizzy!

– Nazbyt mi pochlebiasz, najdroższa Jane – powiedziała Elżbieta i uchwyciwszy nagle dłoń siostry, tak jak zwykła to robić jako dziecko, zbiegła z nią przez trawy i wrzosem, wyrażając pragnienie wolności, potrzebę swobodnego życia i oddychania w taki cudowny dzień jak ten, pod błękitnym północnym niebem, bez myślenia o mężu, synu i córce.

– Jeśli jest ktoś, kto mało wie o roli matki, to obawiam się, iż taką osobą jest nasza biedna mama – rzekła Jane, gdy znalazły się blisko dwukółki, która z każdym ich krokiem wydawała się coraz większa i przypominała o czekających je obowiązkach i rzeczywistości owego dnia.

– Biedna mama... – powiedziała Elżbieta i gdy mijaly niewielki strumień biegnący przez surowy teren,

znów z owym dziecięcym brakiem umiaru pociągnęła Jane, aby mogły zamoczyć palce w czystej wodzie płynącej po brunatnych kamieniach. – Napisałam właśnie do Charlotty, naszej drogiej przyjaciółki Charlotty Lucas, która jest tak cierpliwą małżonką pana Collinsa...

W tym momencie Jane i jej siostra znów roześmiały się zgodnie i z trudnością udało im się przybrać wyraz powagi, gdy na ścieżce przed nimi pojawił się wyprostowany i jak zawsze – czy to żonaty, czy też nie – godny zaufania pułkownik Fitzwilliam. Elżbieta wiedziała, że za bardzo obawiał się o jej bezpieczeństwo, a dzisiaj odnosiła wrażenie, że stanowi jeszcze jedne okowy w jej życiu pełnym miłości i odpowiedzialności; w życiu, którego tak bardzo nie chciała zgubić, a któremu zagrażały siły pozostające poza jej kontrolą, przed którymi – co teraz powróciło do niej z całą mocą – podjęła tę rzadką ucieczkę.

– Poprosiłam Charlotte, by się dowiedziała, jak doszło do znajomości mamy z tą lady Harcourt, bo opowiadałaś mi o niej, Jane, kilka dni temu, ale przygotowania do wesela i wszystkie problemy sprawiły, że całkiem uciekło mi to z pamięci.

Powiedziawszy to, Elżbieta przeszła do zrelacjonowania siostrze owych informacji, które Darcy przekazał jej w dniu weselnej uczyty w ogrodzie warzywnym, a które teraz, gdy je przywoływała, wydawały się żałośnie skąpe. Słuchając tej opowieści, Jane zmarszczyła czoło, a gdy relacja dobiegła k. .ca, jej pierwsza uwaga dotyczyła umiejętności, z jaką Elżbieta zajęła się tą sprawą, powierzając ją Charlotte, podczas gdy ona, Jane, prawdopodobnie w ogóle nie miałaby pojęcia, jak dowiedzieć się czegoś więcej o zażyłości lady Harcourt i ich nieszczęsnej, oszukanej matki.

– Doprawdy, Jane! – rzekła ostro Elżbieta. – Obawiam się, że nasza mama może być w niebezpieczeństwie. Ta pani Harcourt jest podła i niegodziwa. Chodzi jej o Edwarda i majątek rodu Darcych, po cóż by bowiem pragnęła zawrzeć znajomość z naszą matką, gdyby owa znajomość nie wiązała się z tym wszystkim?

– Powiedziałaś Darcy'emu o swoich podejrzeniach? – zapytała Jane. – Teraz ja także lękam się o mamę.

Elżbieta, nie patrząc na Jane, odparła, że nie poinformowała Darcy'ego o nowej znajomości pani Bennet. Nie musiały sobie tego wyjaśniać, choć Jane powiedziała, iż uważa, że to konieczne, jeśli mają ustrzec matkę przed krzywdą.

– Nie mogę, Jane – rzekła Elżbieta cichym głosem, ponieważ pułkownik Fitzwilliam wszedł właśnie na stromy grunt, wywołując przy tym niewielką .lawinę kamieni.

– Ale musisz, Lizzy! – szepnęła Jane, gdy pułkownik stanął przed nimi z triumfującą miną psa, który odnalazł w śniegu ostatniego piechura. – Przrzeknij mi, że to zrobisz!

Mimo wszystkich pogodnych pytań pułkownika o istotę przyrzeczenia, o które prosiła Jane, obie siostry milczały w drodze do czekającej dwukółki. Pułkownik zaproponował, by także pani Bingley odwiedziła jego dom („bo moja żona, wie pani, ma już wszystkie swoje kilimy i obrazy na ścianach”). Nie zauważając ani coraz intensywniejszych kolorów na twarzach pani Bingley i pani Darcy, ani wysiłków, jakie czyniły, by nie wybuchnąć śmiechem, zacny pułkownik wyliczał kolejne innowacje w swoim domu w Matlock.

Odpowiadając na jego zaproszenie, Jane rzekła cicho, że musi wracać do Pemberley, aby przygotować się do zaplanowanej na następny dzień podróży do Yorkshire. Elżbieta zaś, pomachawszy siostrze na pożegnanie, gdy Jane wsiadła do dwukółki, ruszyła wraz z pułkownikiem do jego małżeńskiego gniazodka.

Rozdział 26

Już wchodząc do położonego nad Matlock domu pułkownika, Elżbieta poczuła – silniej niż przedtem – że poprzednio, zawierając znajomość z lady Sophią, osądziła ją w sposób zbyt powierzchowny i nierozważny.

Domu, który zdaniem pułkownika dowodził teraz obecności kobiety, nie dałoby się opisać jako dobrze umeblowanego czy choćby wygodnego, bo zasłony z najtańszej bawełny zwisały żałośnie po bokach okien, a szmaciane chodniki na kamiennej posadzce pozwalały zrozumieć powód, dla którego ich poprzedni właściciele gotowi byli się nimi podzielić, nie żądając zapłaty. Na wszystkich krzesłach siedziały psy, a ich ślady – co Elżbieta zauważyła z przerażeniem – widać też było we frontowym holu, skąd ich nie uprzątało, i tylko przejmujące zimno łagodziło woń, będącą naturalnym rezultatem takiego zaniedbania. Teraz zaś wszystkie psy zeskoczyły, by witac panią na Pemberley, nie przywoływane do porządku nawet przez pułkownika Fitzwilliama, który na próżno spoglądał ku żonie, żeby wypełniła to zadanie.

Lady Sophia nie poprosiła gościa, by usiadł. Kiedy zatem Elżbieta pogłaskała i przywitała psy, a odrobina spokoju wróciła do owego wnętrza, mogła się jedynie zdumiewać owej spartańskiej egzystencji, która – mimo wszystkich wspaniałości zamku Farquhar, o jakich w czasie wesela mówiła panna Bingley – musiała być losem żony pułkownika w dzieciństwie. Elżbieta nie mogła oprzeć się refleksji, że lady Sophia jeszcze bardziej niż jakiegokolwiek inne dziecko przypominała dzikuskę i że w ogóle nie była wychowywana, co musiało być prawdą.

Refleksje o wychowywaniu dzieci nie były jednak dla Elżbiety przyjemne, więc próbowała – choć z niewielkim powodzeniem – wyobrazić sobie, że niezgrabna powierzchowność lady Sophii kryje złote serce. Przypuszczenie, iż nie był to przypadek, potwierdziło się natychmiast, gdy później Elżbieta, której pułkownik z ukłonem wskazał krzesło, stwierdziła, iż przyczyną powierzchowności jej sądu o żonie kuzyna Darcy'ego był raczej nadmiar współczucia, niż cokolwiek innego. Jeszcze raz odczuła jako rzecz niepojętą fakt, iż tak życzliwy i ujmujący człowiek jak pułkownik Fitzwilliam związał się z osobą taką jak lady Sophia i – sądząc z pozorów – był w pełni zadowolony ze swojej decyzji.

Elżbieta, widząc, że jej stary przyjaciel nie dostrzega niedostatku gościnności ze strony lady Sophii – wszak nie zaproponowano herbaty ani jakiegokolwiek innego napoju – postanowił pozostać w Matlock możliwie najkrócej. Szczerze żałowała, że nie pojechała z Jane do Pemberley; tam była wygoda, ciepło i jasność, a wszystko płynęło z naturalnej wspaniałości owego miejsca oraz z kochającego serca pana Darcy'ego i Mirandy, tu zaś – lekceważenie, jeśli można tak nazwać widoczny brak ogłady lady Sophii. Panujący w tym domu chłód, za pomocą którego – mimo cudownego letniego dnia – kamienne mury zdawały się zachowywać w pamięci temperatury zimy, podkreślał niemiłe uczucie przebywania w towarzystwie raczej jakiegoś zimnokrwistego stworzenia, niż ludzkiej istoty. Elżbieta obiecała więc sobie, że wyjdzie tak szybko, jak tylko pozwoli na to jej poczucie obowiązku i lojalności wobec gospodarza.

– Burza, której spodziewaliśmy się, nadejdzie z pewnością dziś wieczorem – rzekł pułkownik Fitzwilliam, a Elżbieta odniosła wrażenie, że – mimo chęci poznania faktów – nie chce on poruszać tematu hazardu uprawianego przez Edwarda w Londynie, ani rezultatu wizyty, którą odbył pan Darcy. – Idzie nawałnica, więc będzie trzeba sprowadzić do obór. Spodziewam się, że panna Darcy dopatrzy stada w Pemberley, bo stary pan Gresham leży na łożu śmierci...

– Zapewne nie będzie się urządzać zbyt kosztownego pogrzebu dla zarządcy posiadłości, którym był pan Gresham – ozwała się lady Sophia. – Musi pani wiedzieć, pani Darcy, że gdy w Szkocji umiera jakiś człowiek, to bez względu na jego pozycję, nie odprawia się żadnego nabożeństwa ani innych bzdur. Żałobnicy gromadzą się nad otwartą mogiłą, odmawia się modlitwę i to wszystko!

Elżbieta odparła, że nie zastanawiała się jeszcze nad egzekwiami i pogrzebem starego pana Greshama, ale ponieważ samo wspomnienie tego nazwiska wywołało na jej policzkach kłopotliwe rumieńce, dodała pospiesznie, że z zadowoleniem dzieli się wieścią, iż Edward spędzi wakacje w Pemberley oraz że jest pewna, iż chłopiec zechce przyjąć uprzejme zaproszenie pułkownika i lady Sophii do wędkowania i polowania wraz z nimi. Gdyby Elżbieta zastanowiła się, gdzie chłopiec znajdzie coś do jedzenia w tak skąpym gospodarstwie, naturalnie nic by na ten temat nie powiedziała, ale – ponieważ dalsze uwagi lady Sophii były dla niej początkowo niewiarygodne – więc przez chwilę, która wydawała się wiecznością, myślała, że żona kuzyna odwzajemnia jej antypatię i jest równie szczerą w kwestii goszczenia chłopca w

Matlock.

– Ja nie oczekuję tu Edwarda Darcy'ego, pani Darcy! Nie wierzę też, że przyjedzie on tego lata tutaj czy do Yorkshire na polowanie na gęsi!

Pułkownik Fitzwilliam wyglądał po owych oświadczeniach żony tak nieszczęśliwie, że Elżbieta, wstrząsana trwogą, zdała sobie sprawę, iż jej stary przyjaciel wie coś, czego ona nie wie i że Darcy zwierzył się kuzynowi w sposób, który nie wydawał mu się możliwy wobec niej, a co jeszcze pogarszało sytuację – zarówno pułkownik Fitzwilliam jak i lady Sophia byli przekonani, że o wszystkim jej powiedziano i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zaprosili ją do Matlock, by rozmawiać o tej sprawie. Brak poczęstunku, przesadna uprzejmość pułkownika... wszystko to oznaczało teraz dla Elżbiety jakąś katastrofę.

– Dlaczego... co się stało? – tylko tyle zdołała z siebie wydusić i w jednej chwili, której już nigdy nie miała wymazać z pamięci, ujrzała błysk satysfakcji w oczach układającej sobie od – wiedź lady Sophii.

– Edward został wydziedziczony przez swego ojca, pani Darcy! Byliśmy przekonani, że pani o tym wie! Wszak celem wizyty pana Darcy'ego w Londynie było właśnie to.

– I ocalenie posiadłości w Walii – ozwał się pułkownik Fitzwilliam. – Wszystkie są bezpieczne, droga kuzynko Elżbieto – dodał z prawdziwą szczerością ten zany człowiek i ruszył w jej kierunku, by ją pocieszyć i dodać otuchy.

– Ale... – rzekła Elżbieta, drżąc mimo woli i czując, że w obecności lady Sofii musi nad sobą panować, bo raczej umrze, niż załame się na jej oczach -... gdzie jest Edward? Darcy powiedział, że jest bezpieczny...

– Nie sądzę, by Darcy spotkał się z synem – powiedział cicho pułkownik Fitzwilliam. – Uważał, że najważniejszą sprawą jest...

– ... ocalenie majątku! – wykrzyknęła z goryczą Elżbieta.

– Dzięki załatwieniu sprawy z ojcem młodego Althorpa, pan Darcy zapobiegł także skazaniu panicza Darcy'ego za długi. – Teraz w głosie pułkownika Fitzwilliama słychać było ton łagodnego upomnienia. – Edward w rzeczy samej jest bezpieczny, został bowiem uchroniony przed więzieniem, droga kuzynko Elżbieto.

Rozdział 27

Gdy Elżbieta dotarła do bram Pemberley, spadły pierwsze krople deszczu, więc dziękując chłopcu stajennemu, który powozikiem zaprzężonym w kucyka przywiózł ją z Matlock, pomyślała, że kiedy ten chłopak wróci do domu, będzie przemoczony do suchej nitki. Był drobnej budowy, a włosy miał zmierzwił niczym Edward. Być może, pomyślała, współczuła mu dlatego, że właśnie dowiedziała się o ostatecznej hańbie swego syna... Jakikolwiek zresztą był powód owej litości, wymogła na chłopcu przyrzeczenie, że jeśli burza, która teraz przetaczała się po dalekim niebie, nadsięgnie bliżej, to wracając do domu nie będzie jechał pod drzewami i poczeka, aż nawałnica przejdzie, a dopiero później pojawi się u drzwi pułkownika Fitzwilliama.

Elżbieta nie wątpiła, że w jej sercu zebrało się na znacznie gorszą burzę. Od dawna знаła wady swojego syna, to prawda... i od dawna podejrzewała również, że przed osiągnięciem dojrzałości Edward wielokrotnie padnie ofiarą słabszej strony swego charakteru... przygotowywała się na to i setki razy wyobrażała sobie prośby, które wniosłaby do Darcy'ego, by dał synowi jeszcze jedną szansę. Pozwolić mu wieść takie życie, do którego był przygotowywany od chwili przyjścia na świat – czyż to życzenie zbyt wygórowane? Jednak odtrącić syna... tak po prostu, jak odczuła to Elżbieta... całkowicie odsunąć go od rodziny (czego zawsze obawiała się ze strony męża) i uczynić go bezdomnym, niemal bezimiennym... nie, tego nie przewidziała!

Ta myśl była straszna i Elżbieta, która wcześniej postanowiła wysiąść z powoziku państwa Fitzwilliamów u bram Pemberley, teraz, idąc przez park, cieszyła się z gęstniejącej ciemności burzliwej nocy po letnim wieczorze. Jak mogłaby spoglądać teraz na ogrody – na spokojny staw, nad którym siedziałby wujek Gardiner, gdyby dzień nie był tak gorący, czy też na róże i ozdobnie strzyżone krzewy albo na leszczynowe i wierzbowe aleje, skoro wiedziała, że jej własny syn na zawsze został stąd wygnany. Jak mogłaby wybaczyć Darcy'emu – nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, by w ogóle było to możliwe – nie tylko sam akt wydziedziczenia własnego ciała i krwi, ale i podjęcie takiej decyzji bez jakiegokolwiek wysłuchania jej opinii! I jeszcze wrócił na wesele kuzyna! Uśmiechał się do wszystkich gości i czarował ją... cierpiała na samą myśl o tym... obietnicami wspaniałej podróży do Włoch! O tak, był w dobrym humorze... wszak ocalił swoje posiadłości i na resztę swoich dni uwolnił się od ciężaru Edwarda i jego złych skłonności! Niech sobie jednak nie wyobraża, że żona będzie go za to kochać... Tu się myli... – myślała Elżbieta, z grymasem na twarzy przebiegając w deszczu, padającym teraz na klomb i schody, ostatni odcinek, który wiódł przez most ku zachodniemu wejściu do domu – tu się myli i ona powie mu o tym bez zwłoki!

Lokaj, który wpuścił Elżbietę do środka i starał się wziąć od niej przemoczony płaszcz, zapytany został o pana Darcy'ego tonem zgoła nie znanym mu u uprzejmej pani tego domu. Skonsternowany odparł, jękając się przy tym, że pan Darcy jest w bibliotece, a za godzinę – jak mu powiedziano – wyjeżdża do Kympton.

Elżbieta pohamowała się (w czym wcześniej już się wyćwiczyła), widząc, że wprawiła tego człowieka w trwogę, i podziękowała mu ze zwykłą uprzejmością.

Pan Darcy stał w bibliotece odwrócony plecami do kominka. Jakby po wieczne czasy umacniał prawo własności Pemberley, pomyślała Elżbieta. Edward nigdy tu nie stanie... Po Darcym nie było już nikogo... Fakt, iż jej mąż był w płaszczu i trzymał szpicrutę, nadawał jego powierzchowności postawę obronną. Odeprze każdego, kto zakwestionuje jego pozycję... zdawał się mówić, przygotowany zarówno do obrony swojej ziemi, jak i do ochrony własnego domu.

Elżbieta nie zawahała się, widząc go tam, chociaż – gdy jej nie przywitał – zastanawiała się, czy wielu nie ugięłoby się przed gniewem pana Darcy'ego.

– Wracam z Matlock – powiedziała. – Dowiedziałam się o twoich działaniach. Zechciej je wytłumaczyć, jeśli potrafisz...

– Nie muszę tłumaczyć moich decyzji – odparł Darcy tonem tak zimnym, że Elżbieta zrozumiała daremność zwracania się do niego i serce w niej zamarło. – Pamiętasz może, moja droga Elżbieto, ostre słowa ciotki Katarzyny, jakimi zareagowała na pierwsze głupie wybryki naszego syna?

– Nie chcę pamiętać słów kobiety, która nie ma pojęcia o szlachetności i delikatności – rzekła Elżbieta, której głos tonem i barwą z każdą minutą czynił ją samą coraz mniej delikatną.

– Przed ślubem ostrzegano mnie przed skazą w twojej rodzinie. Głęboko ubolewam nad tym, że ci się

oświadczyłem.

– Przed moją skazą?! – wykrzyknęła zdumiona.

– Pani Bennet dostarcza tak doskonałego dowodu szaleństwa, jak żaden, z którym się kiedykolwiek spotkałem – odparł Darcy. – O tym mówiła lady Katarzyna. I rzeczywiście istnieje jakieś niezrównoważenie w jej krewnych, gdziekolwiek się ich spotyka.

– Niezrównoważenie! Doprawdy! – krzyknęła Elżbieta. – To ty ponosisz odpowiedzialność za to, że Edward jest niezrównoważony, za jego skłonności! Nie potrafiłeś obdarzyć go uczuciem! Dbasz jedynie o dziedzictwo i pieniądze!

– I właśnie w nie, niestety, Edward jest uwikłany – rzekł Darcy z uśmiechem tak nienawistnym, że Elżbieta ruszyła ku niemu z uniesioną ręką, ale Darcy nie widział potrzeby, aby czekać, i zanim Elżbieta wymierzyła mu policzek, ominął ją z wymuszonym uśmiechem wyższości i wyszedł z biblioteki. Usłyszała, jak wzywa Johna, a potem z trzaskiem zamknęły się za nim wielkie drzwi.

Myśl, że Darcy odebrał w Londynie dalsze, jeszcze bardziej przykre wieści o synu, niż informacje o karciarstwie i rozpuście, sama się nasuwała, ale w umyśle Elżbiety zapanowało zamieszanie: znenawidziła go, lecz zarazem potrafiła myśleć jedynie o czułych słowach Darcy'ego w ogrodzie warzywnym i o tym, jak odsunął od siebie występki syna.

Miranda będzie wiedziała, pomyślała Elżbieta, zorientuje się szybko, w czym rzecz. Z postanowieniem dowiedzenia się wszystkiego Elżbieta poszła na górę, by odszukać córkę w długiej galerii.

Jednak nie było tam ani śladu Mirandy. Przy kominku, który właśnie rozpalono z powodu nagłego pogorszenia się pogody, siedziała jedynie lady Katarzyna, mając u boku pannę Bingley, która – co Elżbieta przypomniała sobie ze złym przeczuciem – miała tu pozostać tylko do następnego dnia, kiedy to jej brat Karol wyjeżdżał z rodziną do Yorkshire. Panna Bingley, o czym Elżbieta często wspominała Jane, potrafiła wykrakać nieszczęście i ogarniętej niepokojem pani na Pemberley wydawało się, że właśnie na jej wejście osoba ta wydała z siebie odgłos krakania, który zabrzmiał niczym złośliwy śmiech.

– Pan Darcy pojechał do Kympton – rzekła lady Katarzyna nadzoruje on bowiem to nowe miasteczko i zapewne rozważ propozycję budowy stacji kolejowej.

– Wszak niewiele lat temu – powiedziała panna Bingley – pastor w Kympton dostał apopleksji i całkiem stracił zmysły, a jego matka, która przyjechała, by mu pomagać, potknęła się w kuchni, upadła i wylała sobie na twarz i ręce garnek wrzącej wody.

Elżbieta nie powiedziała na to ani słowa, ale była przekonana, że podjęty przez pana Darcy'ego zamiar wyjazdu do Kympton był nader uzasadniony.

– Jest też kłopot w mleczarni – mówiła dalej panna Bingley, która nie potrafiła odmówić sobie przyjemności rzucenia na rywalkę sprzed wielu lat rozbawionego spojrzenia. – Miranda właśnie tam poszła. Jakaś krowa zdechła, cielęc się, a stado wpadło w popłoch podczas burzy.

– Boże miłosierny! – rzekła Elżbieta niewyraźnie i usiadła obok lady Katarzyny, bo nic innego nie mogła zrobić.

– Podczas twojej wizyty w Matlock pozwoliłam panu Roperowi zarządzić kolację – powiedziała lady Katarzyna. – Muszę cię bowiem poinformować, że nie wiedzieliśmy, kiedy wrócisz, skoro nadciągnęła burza. Nie zaaprobowałam też wędzonego łososia, którego wcześniej poleciłaś podać, nie jest to bowiem ryba, która by mi odpowiadała. Poprosiłam więc pana Ropera, żeby odwołał tę dyspozycję i zastąpił owego łososia jakimś porządnym daniem z gotowanej wołowiny.

– Może pani oczywiście zmieniać również kulinarne przepisy – ostrym tonem oświadczyła Elżbieta, wstając z krzesła. – Nie sądzę jednak, by pan Darcy zaaprobował fakt, iż w czasie jego nieobecności pan Roper wtrąca się w zarządzanie domem. Jestem nieopisanie zaskoczona ową swobodą, na jaką pan Roper sobie pozwala.

– Ależ moja droga pani Darcy – ozwała się panna Bingley, gdy Elżbieta, poczuwszy nagle ciężar mokrego płaszcza i ogrom zmęczenia wydarzeniami tego dnia, ruszyła ku drzwiom długiej galerii i schodom, które wreszcie poprowadziłyby ją do sypialni – wszak teraz pan Roper jest spadkobiercą i dziedzicem Pemberley. Lady Sophia powiedziała nam o owych niezbędnych krokach, jakie musiał podjąć pan Darcy. Następnemu w linii sukcesji z całą pewnością można pozwolić przynajmniej na wizytę w kuchni, gdy obojga państwa Darcych nie ma w domu. Pan Roper był tak uprzejmy, że zaproponował doskonały tokaj, którego, jak wiem, ty nie serwujesz w Pemberley, droga Elżbieto! Chyba możemy przyjąć uprzejmą ofertę pana Ropera, nie wywołując tym strapienia?

Rozdział 28

Maniery i opanowanie Elżbiety były przedmiotem podziwu zarówno Jane, jak i wujostwa Gardinerów, ponieważ informacja o wydziedziczeniu Edwarda – znana już wszystkim, lecz nie omawiana otwarcie – wprost wisiała nad stołem, i lady Katarzyna okazała się jedynym gościem szczerze uradowanym wołowym befsztykiem. Tomasz Roper z pewnością otrzyma od niej pchnięcie nożem, pomyślała Elżbieta, jeśli będzie kontynuować drobiazgowy opis wspaniałości Egiptu... Panna Bingley napomknęła niewinnym tonem, że oczy pstrąga, podawanego gościom wokół stołu, przypominają oczy martwego dziecka, które wyłowiono przy niej kiedyś ze stawu w Barlow, zaś pan Falk zauważył, że ma niepochlebne zdanie o ślubnym nabożeństwie w kaplicy, a przy okazji poinformował towarzystwo o odpowiedzi, jakiej udzielił arcybiskupowi Yorku, gdy ów dygnitarz podczas wizyty w Pemberley zaprosił go do służenia w wieczornej mszy. Odpowiedź ta brzmiała: „raz – to ortodoksja, dwa razy – to nadgorliwość”.

Kolacja trwała długo, sposób jedzenia pieczystego przez lady Katarzynę był dla Elżbiety wprost odrażający, zaś myśl, że zarówno państwo Gardinerowie, jak i Bingleyowie jutro wyjadą, napawała ją głęboką melancholią. Darcy z pewnością zostanie w Kympton tak długo, jak mu się spodoba, a gdyby wrócił do Pemberley – co oczywiście musi uczynić – to zastanie swoje małżeństwo w stanie rozpadu. Ponadto całe zaufanie pokładane w nim – gospodarzu tej ziemi i wspaniałej rezydencji – uległoby w okolicy znacznemu ograniczeniu; wszak człowiekowi, który nie potrafił tak wychować własnego syna, by wypełniał swe obowiązki, musi brakować tych wartości, za które pan Darcy tak długo był w hrabstwie wychwalany.

Elżbieta natomiast nie interesowała się opiniami sąsiadów i znajomych. Poniosła porażkę w wychowywaniu dziecka; jej syn był wyrzucony z należącego mu prawnie domu i – nawet jeśli częściowo zgadzała się, że była to ewentualność, na którą wszyscy się przygotowywali – wiedziała, że nigdy nie zdoła wybaczyć Darcy'emu, iż pozwolił, aby doznała takiego upokorzenia ze strony panny Bingley, która teraz wprost promieniała w towarzystwie i komplementowała pana Ropera za dobór win.

Jane, widząc ból w oczach siostry, ścisnęła pod siółem jej dłoń i cichym głosem powiedziała, że cokolwiek miałyby się wydarzyć, tego wieczoru nie będą słuchać gry panny de Bourgh, a Elżbieta, uśmiechając się blado na te słowa, skrytykowała często powtarzane przechwałki lady Katarzyny, że dziedziczenie Rosings nie zostało obwarowane prawem majoratu, a zatem we właściwym czasie przejdzie na jej córkę Annę. Elżbieta, podobnie jak wszyscy, wiedziała, że Miranda byłaby idealną właścicielką Pemberley, ale że to nie może się stać. Przykro było patrzeć na pannę de Bourgh – której kruche zdrowie przez wszystkie te lata nie uległo poprawie, pozostając, podobnie jak jej umiejętności pianistyczne, na nader wątpliwym poziomie – jak gmerała w talerzu i cichym głosem odpowiadała matce. Dlaczego ona obejmie swój dom i posiadłość, a Miranda nie dostanie swojego? Wszak, o czym Elżbieta także dobrze wiedziała, przechwałki lady Katarzyny coraz bardziej traciły związek z rzeczywistością, ponieważ Anna się postarzała i odmawiała zamążpójścia. Miała opinię osoby odprawiającej konkurentów z kwitkiem, a teraz – o czym mówiono dzięki pani Hurst i jej siostrze, pannie Bingley – nie było już u jej boku żadnego. Cóż zatem stanie się z Rosings?

– Moja droga Elżbieto – rzekła ciocia Gardiner, widząc trud, z jakim jej siostrzenica zachowuje spokój w czasie nieskończonego długiego posiłku – pozwól się zapewnić, że zaopiekujemy się tym chłopcem. Teraz, gdy przeprowadziliśmy się do spokojniejszej części kraju, Edward może mieszkać z nami. Może też kontynuować naukę lub zdobyć jakiś zawód. Będziemy radzi, dając to, co możemy.

Oczy Elżbiety napęłniły się łzami, ale szybko je otarła, zanim panna Bingley i lady Katarzyna obróciły się w jej stronę. To prawdziwe błogosławieństwo, że państwo Gardinerowie nie robili ceremonii i nie przestrzegali starych zasad etykiety – jak robiły to panie de Bourgh i ich naśladowczynie, siostry Bingley – potrafili podjąć temat drażący teraz wszystkie umysły i nie przejmowali się konsekwencjami. Rozmawiali o Edwardzie, kiedy mieli na to ochotę; wszak chłopak jeszcze nie umarł i nie został pogrzebany. Elżbieta odczuła ulgę i omal się nie załamała.

– Tak, Lizzy – rzekła Jane, zauważywszy kolory na policzkach siostry i pociechę, jaką przyniosło „przewietrzenie” zakazanego tematu jej ukochanego dziecka – wszystko będzie dobrze, zobaczysz! Edward zamieszka u wujostwa Gardinerów w Lincoln, będziesz go odwiedzać, a jego życie i perspektywy rozwiną się wraz z nim w powodzenie i spełnienie.

– Ufam, że pan Darcy pozwoli, by szlak kolejowy przeciął ziemię Pemberley – ozwał się pan Roper. –

Opowiadam się za postępem. Zamierzam kandydować do parlamentu, gdy nadejdzie odpowiednia pora.

– Mam nadzieję, iż nie jako liberał, panie Roper – rzekła lady Katarzyna, zatapiając zęby w kremie.

– Moja droga lady Katarzyno – odparł pan Roper – wszyscy musimy się zmieniać i iść z duchem czasów! Reforma jest nakazem chwili! Pemberley żyje starym rytmem, to się na nic nie zda, droga pani. Częściowa odpowiedzialność... – tu karygodny pan Roper rzucił takie spojrzenie na siedzącą u stóp stołu Elżbietę, jakby już była ona identycznym fragmentem przeszłości jak jej odtracony syn – częścią owego problemu jest tutejszy stary zarządca, pan Gresham. Ma on bowiem poglądy i przekonania jakiegoś średniowiecznego chłopca. On pierwszy powinien odejść.

Elżbieta uchwyciła spojrzenie Jane i gwałtownie poczerwieniła. Ten leciwy człowiek był kochany w Pemberley. Sądzono, że niebawem umrze, ale pan Darcy – delikatny i pełen zrozumienia dla ludzkiego nieszczęścia, które wyrobiły w nim żona i córka – pozwolił wiekowemu zarządcy pozostać na tym ważnym i trudnym stanowisku.

– W zeszłym roku niespełna trzy mile stąd spaliły się stogi – obwieścił pan Roper, chociaż go przy tym nie było, a pani Darcy z całą pewnością przebywała w tej okolicy. – To absolutnie niewłaściwe ze strony pana Greshama, że nie dostrzega tak ogromnej niesubordynacji.

– Sądziłam, że deklarował pan tu zamiar wstąpienia do parlamentu jako liberał, panie Roper – powiedziała Jane spokojnym głosem.

– Istotnie, pani Bennet, w rzeczy samej. Gdyby jednak zapytała mnie pani, co bym zrobił w sprawie niewolnictwa, zmuszony byłbym odpowiedzieć, że nie zrobiłbym nic. Dałbym temu spokój! Cóż to za nonsens! We wszystkich cywilizowanych krajach zawsze byli niewolnicy. W Grecji, w Rzymie...

– Święta prawda, panie Roper – stwierdziła lady Katarzyna, zabierając się do krojenia owocowego placka.

– Kiedy człowiek przez własne inklinacje decyduje się działać lub nie działać w jakiś sposób, nieodmiennie posługuje się wymyślonym argumentem, dzięki któremu może się usprawiedliwiać wobec samego siebie za linię postępowania, którą gotów jest zmierzać – rzekł pan Falk.

Chwilę później lady Katarzyna wstała i wyprowadziła damy z jadalni, więc Elżbieta nie miała innego wyboru, jak tylko pójść jej śladem.

Rozdział 29

Ta noc miała dla niej mało snu, więc Elżbieta, leżąc i słuchając odgłosów burzy nad domem, a potem jej wolnego przechodzenia ku zachodowi, zastanawiała się nad wszystkimi błędami, które popełniła jako pani Darcy – żona pana na Pemberley i matka dziedzica jego majątku i nazwiska. Czy naprawdę była zbyt pobłażliwa dla tego chłopca? Czy rzeczywiście zasłużył na wygnanie, tak jak sądził Darcy? A może w całej tej historii kryło się coś... – Elżbieta przewróciła się z boku na bok w owym łóżku, które niegdyś było wystarczająco szerokie dla męża i żony, a teraz wydawało się zbyt ciasne dla niej samej –... coś, o czym nie wiedziała? W czekających ją latach małżeństwa pozbawionego miłości nie będzie mogła ponownie uwierzyć Darcy'emu, skoro powiedział, że mówi prawdę. Wszak ukrył przed nią sprawę tak poważną, że z pewnością był zdolny do zatajenia i innych rzeczy. Prawdopodobnie Edward kosztował go fortunę, ale nie przyznał się do tego. Posiadłości w Walii zostały uratowane, lecz może były jeszcze jakieś inne długi, które groziły Pemberley ruiną i całkowitym zaprzepaszczeniem dziedzictwa? Elżbieta nie potrafiła wyobrazić sobie, cóż by to mogło być innego niż długi wobec sklepikarzy oraz dostawców zaciągane przez wszystkich młodych lekkoduchów, żeby trwonić pieniądze, a jej syn... czyżby znów musiała zaakceptować Edwarda w takim świetle?... okazał się prześcigać swoich rówieśników w głupocie. Nie znalazła odpowiedzi na to pytanie. Prawdopodobnie Darcy musiał dojść do jakiegoś porozumienia z ojcem owego chłopaka, który wciągnął Edwarda w ten nieszczęsny hazard... i tu Elżbieta z całą swoją szczerością znów musiała przyznać, że widziała niegodziwość jedynie w innych, nie zaś w swoim synu, i że nie po raz pierwszy sama siebie oszukiwała w ten sposób.

Nadszedł pochmurny ranek z deszczem, który sprawił, że drogi stały się nieprzejezdne, ale żarliwą nadzieją Elżbiety, iż wobec tego jej siostra nie będzie mogła wyjechać do Yorkshire, rozwiął Karol Bingley, który ze względu na pilne zajęcia nalegał na powrót. Państwo Gardinerowie także wyjechali, zostawiając siostrzenicy następne propozycje pomocy w opiece nad Edwardem, gdyby pojawiła się taka potrzeba, i niebawem Elżbieta została w Pemberley jedynie z lady Katarzyną i panną de Bourgh, które haftowały w małym saloniku, oraz z panią Reynolds, z którą omawiała posiłki, jakie musiały po sobie następować dzień po dniu jak we wszystkich takich domach, bez względu na to, czy w rodzinie był jakiś problem lub skandal, czy też nie.

Dziś to zadanie było wyjątkowo męczące z powodu trudnego do zniesienia, skrywanego współczucia pani Reynolds i Elżbieta, znalazłszy usprawiedliwienie, wyszła z kuchni, zabierając ze sobą galaretę z cielecych nówek dla starego pana Gardinera, którego miała tego dnia odwiedzić, postanawiając, że nie idzie tam z żadnego innego powodu, tylko po to, by zobaczyć wiernego zarządcę i jego żonę. Całkowicie nie brała pod uwagę, że może tam być jego syn; wszak wcześniej mówiono w pokoju dla służby, kiedy obok niego przechodziła, że młody pan Gresham wyjeżdża do Londynu. Czuli się więc wolna, jeśli nawet nie znowu samotna, gdy z koszykiem w ręku szła przez park. To były jej obowiązki. W Pemberley znano ją i lubiano za spełnianie owych powinności z taką szczerością i oddaniem. Elżbiecie także dobrze zrobiło – gdy tak szła w atmosferze oddychającej niedawnym deszczem, a zapowiadającej następny – przypomnienie sobie tutejszej roli, która mimo występków jej syna miała pozostać taka sama.

Gdy Elżbieta dotarła do bramy i okolonego żywopłotem ogródka domu rządcy, odgłos pospiesznych kroków, które słyszała za plecami, kazał jej odwrócić głowę. To pan Roper ku ogromnej irytacji Elżbiety podążył za nią i dogonił ją właśnie tutaj. Z jego ekscytacji i nalegania, z jakim wciskał jej w rękę ogromny bukiet lilii z jej własnego ogrodu, zrozumiała, że nie będzie zdolna przekonać go o potrzebie ciszy i spokoju w czasie wizyty u starego, poważnie chorego człowieka.

– Moja droga pani Darcy... Elżbieto...

Elżbieta wyjaśniła, że przybyła tu, aby odwiedzić pana Greshama, podziękowała za kwiaty i powiedziała, że będzie najlepiej, jeśli pan Roper wróci do domu.

–... czyż bowiem nie zamówił pan powozu na czwartą, panie Roper? Byłam przekonana, że wyjeżdża pan dzisiaj z Pemberley.

– Nie, nie, Elżbieto... sądzę, że mogę zwracać się do ciebie w ten sposób przez pamięć o twojej drogiej siostrze, a mojej zmarłej małżonce, Mary. Mam nadzieję, że nie wyjadę z Pemberley, dopóki nie zostaną spełnione moje najskrytsze pragnienia, a to... to dla ciebie, Elżbieto, abys mnie uwolniła od udręki odmowy w tak sprzyjającym momencie mego życia.

Elżbieta zapytała, co pan Roper ma na myśli. Leciwa pani Gresham spoglądała z okna na piętrze, uśmiechając się na powitanie do pani Darcy, która przyszła tu z daleka i była naprawdę żarliwie oczekiwana. Elżbieta zauważyła jednak, że uśmiech starszej pani zniknął na widok pana Ropera z jego wylupiastymi oczami i bukietem lilii, przydającym jego skrajnie szpetnej powierzchowności wyrazu bliskiego szaleństwa.

– Przychodzę prosić, abys przyjęła, najdroższa Elżbieto, moje oświadczyzny o rękę twej córki Mirandy.

W pierwszym odruchu, słysząc te słowa, Elżbieta chciała wybuchnąć śmiechem, ale widząc, że pan Roper jest śmiertelnie poważny, zbladła i uchwyciła się bramy, żeby się opanować.

– Co pan mówi, panie Roper?! To, o co pan prosi, w ogóle nie wchodzi w rachubę. Będę zobowiązana, jeśli zachowa pan milczenie na ten temat, bo nie życzę sobie o tym słyszeć.

Z tymi słowami Elżbieta nacisnęła klamkę, ale pan Roper stopą uniemożliwił jej zamknięcie za sobą bramy i jeszcze raz zatrzymał ją na ścieżce.

– Rozmawiałem z Mirandą. Była najuprzejmiejsza. Powiedziała, żebym porozmawiał z tobą jako jej matką, bo w rzeczy samej to drogie dziewczę ma rację: wszak w wieku siedemnastu lat słusznie ulega matce.

– Ach, rozumiem... – rzekła Elżbieta, śmiejąc się tym razem z owego podstępu, jakiego użyła córka. – Odpowiem więc za nią, panie Roper. Odpowiedź brzmić musi: nie! Po stokroć: nie!

Na te słowa pan Roper wyprostował się dumnie.

– Madame, pewnego dnia może pani tego żałować. Nie wątpię, że zapragnie pani być utrzymywana w Pemberley. Ja zaś, gdy zostanę panem tej posiadłości, z pewnością zechcę utrzymywać matkę narzeczonej w tym stylu...

– Proszę, panie Roper, by nie poruszał pan ponownie tego tematu – rzekła Elżbieta, ponieważ poczuła śmiertelny chłód, a poza tym zaczął padać drobny deszcz, który sprawił, że leciwa pani Gresham pofatygowała się i zeszła na dół, by otworzyć drzwi i wprowadzić ją do środka.

– Obawiam się, że będzie on poruszany codziennie, aż do dnia ślubu – odparł sztywno pan Roper. – Żałuję jedynie, że okazała pani taką niechęć wobec owego małżeństwa, powszechnie uważanego za doskonale rozwiązanie tych problemów, które spadają teraz na Pemberley. Muszę panią poinformować, że lady Katarzyna także się za nim opowiada.

– Pan mnie zdumiewa – rzekła Elżbieta.

– Pan Darcy także daje swoje przyzwolenie na ten związek.

– Nie wierzę!

Te słowa padły z ust Elżbiety, zanim zdołała się powstrzymać. Lojalność wobec człowieka, którego poślubiła, wciąż tkwiła w niej głęboko, a myśl, że znowu została zdradzona i to w sposób jeszcze bardziej odrażający niż wydziedziczenie Edwarda, przekraczała jej zdolności pojmowania.

– Przepraszam, pani Darcy – rzekł pan Roper, kłaniając się nisko, gdy pani Gresham ponaglała panią Darcy do schronienia się przed deszczem. – Słowa pana Darcy'ego wskazują, że doskonale rozumie on moje dobre intencje.

– Pańskie dobre intencje?! – wykrzyknęła Elżbieta, bo myśl o Mirandzie uwięzionej z tym człowiekiem była zbyt okropna, by potrafiła ją wyrazić. – Jak pan śmie, panie Roper!

– Pan Darcy poinformował mnie, że chętnie widziałby swoją córkę w Pemberley, gdy już go nie będzie. Obawiam się, że ma dla Mirandy więcej uczucia niż ty, Elżbieto. Powiedział, że to dobrze, iż Mirandzie nadarzyła się taka okazja.

Z tymi słowami pan Roper zdecydowanie wyszedł z bramy, która z trzaskiem się za nim zamknęła. Elżbieta podążyła za panią Gresham do łóżka chorego, ale oprócz pociechy, jaką dało jej odkrycie, że stan pana Greshama był znacznie lepszy, niż opisała go lady Sophia, na horyzoncie nie rysowało się nic, co by w niej samej wzbudziło pragnienie, by pozostać wśród żywych. Miranda ma poślubić pana Ropera! To było nie do zniesienia, jednak pomimo wszystkich osobistych uczuć pani Darcy była tak uprzejma i delikatna w rozmowie ze starym zarządcą, jak się po niej spodziewano, i sama stwierdziła, że nie można mu przypisywać winy za ów popłoch, w jaki stado wpadło poprzedniego wieczoru, ponieważ będąc człowiekiem tak chorym, z trudem mógł zdawać sobie sprawę, że lepiej byłoby zamknąć krowy w oborze niż zostawić je na pastwisku.

Rozdział 30

Zakończywszy wizytę u pana Greshama, Elżbieta udała się w drogę do Pemberley, rezygnując z propozycji pani Gresham, gotowej wezwać syna (bo pozostał z rodzicami, aby dodawać im otuchy), by sprowadził dwukółkę i ją tam odwiózł.

Miała wiele do przemyślenia i czuła potrzebę samotności. W takiej chwili pan Gresham wprawiałby ją jedynie w zakłopotanie, a padać już przestało, chociaż na Elżbietę – niepomną, by trzymać się z dala od drzew – z liści i gałęzi wciąż spadały strugi wody, które spływały jej po szyi, przyprawiając o drżenie.

Oto nadszedł czas, kiedy musiała spojrzeć wstecz na wszystkie lata przeżyte z Darcym i zobaczyć go takim, jakim był naprawdę. Potwór, tyran... Jego majątek i pozycja skrywały ten fakt prawdopodobnie zarówno przed nią, jak i przed całym dworem pochlebców, służalców i tych, którzy pracowali w posiadłości. Był małym władcą, nikim więcej, i właśnie to, co jej matce, pani Bennet, tak się w nim podobało – że dał żonie konie, powozy i klejnoty – musiało być powodem, dla którego go poślubiła.

To ona była hipokrytką, nie matka. Czyż w głębi duszy nie zdawała sobie sprawy, że Darcy był jej wrogiem, nie zaś przyjacielem? Jakież bowiem przyjacieliem cisnąłby tak kochane dziecko w mrok wydziedziczenia? I czyż to nie Karol Bingley, który zwierzał się jej siostrze, Jane, z każdej myśli i każdego przedsięwzięcia, byłby mężem, jakiego by wołała... od człowieka tak skrytego, tak skłonnego do niepomysłowości, którą wywołać mógł nawet jakiś nudny wieczór, podczas gdy ona robiła wszystko, co mogła, by przywrócić mu dobry humor? Odpowiedzią musiało być to, iż Jane miała szczęście, które jej się należało, a Elżbieta otrzymała los na miarę swoich zasług...

Krople deszczu spadały Elżbiecie na policzki, zlewając się ze łzami. Nagle przypomniała sobie słowa, które usłyszała od ojca, gdy Darcy – w czasach, które teraz wydawały jej się tak odległe – poprosił w Longbourn o jej rękę. „Lizzy – głos pana Benneta powrócił do niej teraz z taką wyrazistością, że musiała zatrzymać się pod dębem, już w zasięgu okien Pemberley, ale wciąż sama w rozległym parku – pozwól, że ci poradzę, byś się jeszcze nad tym zastanowiła”. Widziała go, jak stoi w bibliotece w Longbourn, wpatrując się w nią z uwagą, której nie zdołał ukryć pod zwykłą niefrasobliwością. „Znam twoje usposobienie, córeczko, i wiem, że nie będziesz ani szczęśliwa, ani godna poważania, nie mając do własnego męża głębokiego szacunku, jeśli nie będziesz go uważała za człowieka stojącego wyżej od ciebie – mówił. – Twoja żywa inteligencja wystawi cię na wielkie niebezpieczeństwo w niedobranym małżeństwie. Trudno ci przyjdzie uniknąć nieszczęścia i niesławy...”.

W rzeczy samej: oto nieszczęście i niesława, pomyślała Elżbieta z ciężkim sercem. Jej małżeństwo było rzeczywiście niedobre. Jak może szanować męża, skoro wypędził jej syna i wydaje córkę za pana Tomasza Ropera?! Płacząc, myślała o owej dyskusji na temat nowych czasów, reform, przemian i postępu, oraz o męskich przechwałkach, i doszła do przekonania, że przed nią nie było żadnej zmiany i że żaden postęp nie obejmie również Mirandy. Czuła, że jej serce kamienieje i uodparnia się przeciwko Darcy'emu i postanowiła wyzbyć się każdego drgnienia uczucia i lojalności wobec niego. Zdradził ją... Znow wróciła wspomnieniem do pana Benneta, śmiejącego się na samą myśl o przyjęciu przez nią oświadczenia pana Collinsa, gdy jako dziedzic i spadkobierca zjawił się on z taką samą misją w Longbourn. Mój ojciec nie potrzebował takich słów jak „reformy” czy „postęp”, myślała, nie zgodziłby się na moje małżeństwo z kimś, kogo nie chciałabym poślubić, nawet gdyby był to pan Darcy ze swoimi dziesięcioma tysiącami funtów rocznego dochodu. Fakt, iż teraz żałowała owej decyzji, był zbyt dramatyczny, by się do tego przyznać. Przyspieszyła kroku, bo deszcz znow zaczął padać i park stał się ponuro przygnębiający. Będzie żyła z dala od tego miejsca... ale musi znaleźć Mirandę i bezzwłocznie uchronić córkę od zguby.

Gdy tylko drzewa okryły się delikatną mgłą deszczu, pojawił się pan Gresham i oboje, idąc teraz ku sobie otwartą i opustoszałą częścią parku, niewiele mogli zrobić, by zejść sobie z drogi. Elżbieta uśmiechnęła się i nawet przyspieszyła kroku, zaś pan Gresham – co zauważyła – był zakłopotany, ale dobre maniere kazały im się zatrzymać i wymienić uwagi na temat stanu starego pana Greshama oraz wyrazić pewność, że w ciągu kilku dni całkiem wyzdrowieje.

– Dziękuję za prezenty dla moich rodziców – rzekł cicho pan Gresham – i proszę... gdyby potrzebowała pani pomocy w jakiegokolwiek sprawie związanej z pani synem i jego kłopotami... wystarczy mnie zawiadomić...

Elżbieta poczuła się tak podniesiona na duchu otwartością rozmowy na ten temat i oświadczeniem pana Greshama, iż zrobi dla chłopca wszystko, co w jego mocy, że połowa jej obaw wydała się nieistotna. Wszak panu Greshamowi mogła zaufać... on nie sprzeciwiał się najczulszym życzeniom jej serca, jak to czynił jej mąż... i bardzo by chciała, by przyszedł z pomocą Edwardowi, co powiedziała głosem drżącym, ale przepełnionym radością.

Przemierzając z Greshamem ostatni odcinek ogrodu ku południowemu wejściu do dworu Pemberley, Elżbieta po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła w sobie ukojenie i spokój. Kiedy zaś znalazła się w środku i wchodziła po schodach do długiej galerii, pomyślała, że wybaczyła i zapomniała o ich fatalnym spotkaniu wśród drzew oraz o jego jawnym spojrzeniu na ślubie pułkownika Fitzwilliama. Miała przyjaciela i pewnego dnia mogłaby go pokochać, mogła więc mieć nadzieję... gdyby dał Edwardowi prawo do spokojnego życia, jakie wiódł.

Cześć czwarta

Rozdział 31

Następne dni minęły bez burz i katastrof, na co można było mieć nadzieję, skoro panna Bingley wyjechała, a niebawem pożegnały się także lady Katarzyna i jej córka, które opuściły Pemberley w towarzystwie pana Ropera. Od dnia wizyty złożonej przez Elżbietę leciwemu panu Greshamowi Miranda przebywała w Barlow, gdzie wśród bydła wybuchła jakaś epidemia, a jej wujek, Karol Bingley, poległ na jej intuicji i weterynaryjnych umiejętnościach, które nabyła w gospodarstwach Pemberley.

Dom był pusty, cichy i Elżbieta wracając z porannej narady z panią Reynolds do dawnego pokoju lekcyjnego, gdzie pan Falk z radością raczył ją opowieściami o Edwardzie – nie było bowiem wątpliwości, że lubił tego chłopca – stopniowo zaczynała czuć, że ani przyszłość nie jest przed nią zamknięta, ani przeszłość wyjaśniona, co rysowało całkiem nowy obraz jej życia.

Nie można zaprzeczyć, że w tym małżeństwie zdarzały się błędy, że Darcy miał przykre wady, bo częściej okazywał dumę niż pokorę, a w ludziach stojących niżej od siebie widział zgoła inny gatunek niż ten, jaki stanowili dziedzice i spadkobiercy Pemberley. Jednak Elżbieta ujrzała i zrozumiała przede wszystkim swą własną potrzebę, by zmierzać – od owej impulsywnej, obdarzonej silną wolą młodej kobiety, która wniosła te cechy do swego małżeństwa i uważała je za wyraz dorosłości i niezależności – do pozycji, która jej samej wydałaby się odpowiednia w świecie, gdzie władza Darcy'ego rozciągała się aż po horyzont i jeszcze dalej.

To on miał przewagę przez cały czas małżeństwa... A małżeństwem muszą pozostać, czyjej się to podoba, czy nie. On będzie dyktował warunki, ona zaś będzie musiała patrzeć, jak córka, równie zdecydowana i pełna werwy, podporządkowuje swe życie panu Roperowi, ponieważ Darcy sprawił, że alternatywa, jaką była utrata Pemberley, nawet dla dziewczyny takiej jak Miranda okazałaby się zbyt ponura. Edward się nie liczył i Elżbiecie wolno będzie widywać go od czasu do czasu. Kiedyś pojawią się wnuki... ale tu Elżbieta wzruszyła ramionami i podeszła do lustra znajdującego się w jej pokoju, którego wysokie okna wyglądały na wspaniały park i ziemie – Wiedziała, że to przyniosłoby jej pociechę, zarazem jednak wiedziała też, że jest jeszcze młoda i pełna życia oraz że jej nadzieja została okrutnie stłumiona. Kolejna naučka – lekcja o bezstronności i obojętności, a także o uprzejmości wobec tych, którzy jej potrzebowali i o życiu bez wrażliwości i bez przyjemności; właśnie werwa dała jej to upodobanie do miłych rzeczy, radości i aktywności, które mąż zawsze w niej lubił – była zbyt trudna do zniesienia. Widziała siebie zamurowaną w Pemberley, tak jak w minionych latach więziono niewierne żony lub porzucone, zapomniane córki... i w nie kończącym się cyklu dni i pór roku oraz krewnych i gości jasno i wyraźnie zobaczyła własną śmierć. Potrzebowała zmiany... ale jej życie się nie zmieni, jak więc mogłaby zmienić się ona? Takie kręgi zataczały jej myśli, a powolny powrót wspaniałej pogody, grządki lawendy i słodka woń kwiatów widocznych z okna stały się raczej szyderstwem wobec jej bezsilności i owego stanu uwięzienia, niż symbolem owych szczęśliwych lat, jakie znała.

Nadszedł list od Jane z Barlow. Jej rodzina dziękowała cioci Lizzy za miły pobyt w Pemberley. Dzieci miały swoje dawne zakątki i kryjówki, mały Joshua był całkiem oszołomiony jerseyowskim stadem, a Emily, po koncercie panny de Bourgh, przyrzekła więcej ćwiczyć na fortepianie. Elżbieta uśmiechnęła się na myśl zawartą między wierszami, ale też dotknęło ją to, że siostra żyje spokojnie w świecie rodzinnego szczęścia, podczas gdy ona z Edwardem została porzucona i nigdy nie przydawała takiego znaczenia drobnym sprawom codziennego życia, jak czyniła to droga Jane swymi rozmowami o psie, który przewrócił pulpit z nutami i wszystkie strony fruwały wokół lub o tym, że ich syn niebawem opuszcza dom i co dadzą mu do jedzenia.

Miranda była w dobrym nastroju, pisała dalej Jane, a ona i Karol nigdy nie widzieli jej szczęśliwszej, zaś zachwycone jej troską bydło w Barlow zupełnie wyzdrowiało. Pogoda znów była wspaniała, więc Jane zaczęła myśleć o wodzie i zazdrościć siostrze podróży do Wenecji. „Pomyśl o tym, Lizzy, zasłużyłaś na tę podróż, po owym weselu, krzątaniu i wszystkim, co musiałaś zrobić. Darcy, który kocha cię nad życie, zabierze cię nad morze z Canale Grandę... Och, żałuję, że nie mogę przekonać Karola, by również mnie tam zabrał, ale on musi w tym roku dopilnować wielu rzeczy w gospodarstwie...” i tak dalej...

Elżbieta westchnęła i odłożyła ów list. Była teraz podwójnie poruszona, bo wieść, że Miranda czuła się dobrze i była zadowolona ze swego wyboru – a właśnie takie musiało być znaczenie tych słów – zdumiewała ją; córka okazała się osobą obcą, którą wychowywała przez te wszystkie lata. To dziewczę było córką

swojego ojca – choć jako mała dziewczynka stanowiła żywy wizerunek Elżbiety – i serce matki czuło ból, że córka przedkładała ziemię, majątek i pozycję nad prawdziwe szczęście. Miranda wybrała Pemberley; ale z drugiej strony, co zasmuciło Elżbietę bardziej, jej własny wybór męża, podyktowany miłością, a nie – jak wtedy, śmiejąc się, powiedziała swojej siostrze – pierwszym spojrzeniem na park w Pemberley, który łączył wspaniałość majątku i nazwiska, legł teraz w gruzach.

Najprawdopodobniej lepiej wyjść za mąż dla wygody, zastanawiała się Elżbieta, spacerując po trawniku i spoglądając na jezioro, które pod bezchmurnym niebem błyszczało niczym wypolerowana stal. Wszak Miranda urodziła się w Pemberley i kochała to miejsce prawdopodobnie bardziej, niż mogłaby pokochać jakiegoś mężczyznę. Dokonała właściwego wyboru i była szczęśliwa. Jednak Elżbiecie, gdy spojrzała wstecz na swoją przeszłość córki pana Benneta w Longbourn i na oświadczyzny pana Collinsa, trudno było zapomnieć własną pogardę i oburzenie oraz zapewnienia ojca, że nie musi zwracać uwagi na owego konkurenta, nawet jeśli majorat oznacza, iż pewnego dnia to on właśnie odziedziczy Longbourn. Z drugiej strony Elżbieta nie kochała Longbourn tak, jak jej córka kochała Pemberley. Nie było żadnego porównania między skromnością jednego a romantycznością i okazałością drugiego, ponadto pewna nerwowość pani Bennet działała – przynajmniej na dwie starsze córki – osłabiająco, więc Elżbieta nie miała tylu miłych wspomnień z dzieciństwa, ile dostarczyło ono Mirandzie, która czuła się tutaj swobodnie. Jako żona pana Ropera miałyby ten dom dla siebie, tak jak dotychczas.

Rozmyślenia nad własnym dzieciństwem przerwało nadejście ekspresowego listu od Lidii. Elżbieta nie po raz pierwszy zdumiewała się ową różnicą między Jane, będącą uosobieniem spokoju, zgodności i pogody, a drugą siostrą, Lidią, która wielokrotnie pisywała do Pemberley z natarczywymi prośbami.

Pełna złych przeczuć, Elżbieta sięgnęła po list i zmarszczyła brwi: Lidia wysłała go z Meryton Lodge.

Droga Lizzy!

Mam nadzieję, że uroczystości ślubne pułkownika Fitzwilliama przebiegły doskonale. Jestem, jak widzisz, u Mamy i to ja piszę do Ciebie, bo Mama zmartwiła się, otrzymawszy Twój list z pytaniami o jej znajomość z lady Harcourt. W rzeczy samej biedna Mama cierpi teraz na migrenę, ale pani Long ma jakieś nowe lekarstwo na tę dolegliwość, chociaż doktor powiada, że nie jest ono niczym więcej jak tylko medykamentem znachorek, który może pogłębić ból.

Mama pragnie Cię zapewnić, podobnie jak ja, że żadna z nas nie zamierza ponownie spotkać się z lady Harcourt.

Może słyszałaś, że Mama została zaproszona na ślub jakiegoś krewnego lady Harcourt... a skoro ja jestem taka biedna, Lizzy, i ugrzęzłam w Pymore z takim potomstwem i Wickhamem, którego pozbawiono pensji, którą obiecał mu stary pan Darcy, i przez te wszystkie lata ledwo wiązę koniec z końcem... krótko mówiąc, Mama wpadła na pomysł, żebym wraz z nią uczestniczyła w tym ślubie. Jak zapewne wiesz, Londyn mnie nie interesuje, jest tak ogromnie męczący... Wickham i ja mamy tam tak szerokie znajomości, że byłoby doprawdy skrajną nieroztropnością rezygnować z zamiaru wyjazdu... pojechałam więc, można by powiedzieć, incognito, a gdyby nie moja przytomność umysłu, to, jak sądzę, Mama i ja mogłybyśmy nigdy nie wrócić do domu.

Powóz, którym przywieziono nas do Londynu, został uprowadzony z głównej alei ku nędznym ulicom Soho. Woźnica i lokaj, który wcale nim nie był, chwycili biedną Mamę i mnie... skaleczyłam się w ramię, gdy dzieci spadły z huśtawki w sadzie i ręka wymaga porady lekarza, bo mogę ją w ogóle stracić. Lizzy, ale nie mam na to pieniędzy... i wepchnęli nas do jakiegoś niewysokiego budynku, w którym było bardzo ciemno i mama niemal zemdliała od dymu świec.

Wiesz, Lizzy, jak bardzo bym chciała, abyśmy byli milej witani pod Twoim dachem w Pemberley! Wickham gotów jest zapomnieć tę ciężką krzywdę wyrządzoną mu przez Twojego męża; wszak są teraz szwagrami! Tak wiele lat minęło od chwili, gdy spotkałam się tam z Tobą i miałam przyjemność zobaczyć Twoje dzieci, iż trudno byłoby mi przysiąc, że ów młody człowiek, który stał kilka stóp od nas, to naprawdę był Twój syn, Edward...

– Edward... – rzekła głośno Elżbieta.

Nie jest znacznie wyższy niż wtedy, gdy widziałam go po raz ostatni, kiedy był jeszcze dzieckiem, więc początkowo nie byłam pewna, Lizzy. On... Edward stał przed namiastką ołtarza... było tam tak wiele świec, że dym po prostu nas oślepił... z jakąś młodą kobietą u boku. Lady Harcourt podeszła do nas i pokazała nam tę pannę, która miała wymalowaną twarz. Powiedziała nam, że to jej krewna i że za chwilę odbędzie się ślub, na który zaprosiła Mamę i mnie, choć niewątpliwie różni się od tego, jakiego oczekiwaliśmy, przyjeżdżając do Londynu...

Edward na ślubie... własnym... – myślała Elżbieta, jeszcze nie wierząc i bojąc się przeczytać ów list do

końca.

Mama była załamana... Lady Harcourt powiedziała, iż pragnęła, aby Mama była świadkiem małżeństwa swojego wnuka. Po ceremonii pojedą do Szkocji, powiedziała, i tam będą małżeństwem wobec prawa. Starła się pociągnąć nas do przodu, ale w tym momencie Mama zemdlła, ja zaś mogłam jedynie, z pomocą jakiegoś wyjątkowo niesympatycznego mężczyzny, przenieść ją przez całe wnętrze...

Elżbieta, która czytała ten list, stojąc przy oknie, gwałtownie ruszyła w stronę krzesła obok biurka, gdzie codziennie spisywała dla pani Reynolds program zajęć, by zapewnić właściwą organizację życia w domu tak wielkim jak Pemberley. Czuła, że jest w tamtym zadymionym wnętrzu, cierpiała z powodu Edwarda, a potem ze wstrętem dla jego głupoty zastanawiała się, gdzie on teraz jest. W końcu, gdy odgłos kroków na schodach zapowiedział zbliżającą się wizytę pani Reynolds, położyła głowę na biurku i rozplakała się.

Wyprowadziłam biedną Mamę na ulicę – informował dalej list Lidii, gdy Elżbieta, podniósłszy głowę, przeczytała go do końca – i zabrałam ją, by mogła dojść do siebie, do domu pana Darcy 'ego w Holland Park, gdzie odpoczęliśmy przed powrotem do domu.

Ileż to razy od chwili przebudowy Waszego wspaniałego domu w Holland Park mówiłam Ci, że chciałabym zobaczyć jego wnętrze! Jest naprawdę cudowny! Nie sądzę jednak, byś zdawała sobie sprawę ze wzrostu wartości owych tabakierek i kamei, które tam ustawiłaś. W Holland Park nie są one dobrze wyeksponowane, a poza tym znam kilku dżentelmenów, którzy są prawdziwymi koneserami i daliby za nie dobrą cenę. Zabrałam je tutaj, Lizzy, za Twoim pozwoleniem, i powiadomię Cię o rezultatach moich przedsięwzięć.

Nie martw się, proszę... Ja mieszkam się całkiem dobrze, chociaż lato w Meryton jest bardzo duszne. Migrena Mamy jako nieustanny temat konwersacji najprawdopodobniej wygoni mnie z powrotem do Dorset, i to szybciej, niż zamierzałam tam wrócić.

Twoja kochająca siostra Lidia

Rozdział 32

Elżbieta wstała od biurka i ku zaskoczeniu pani Reynolds (czego nie potrafiła ona ukryć przez wszystkie lata, które spędziła, pracując jako gospodyni w Pemberley) obwieściła krótko, że dziś nie będzie narady na temat zapasów i posiłków, które należało zaplanować na następny tydzień, a potem, szybko zbiegając po schodach, wyszła z domu.

Był jasny dzień, który zdawał się nasycony złotem bardziej niż środek lata i Elżbieta, zanim się obejrzała, znalazła się u parkowych bram, wychodzących na drogę ku Threlwell, najbliższemu miasteczku leżącemu w odległości dwóch lub trzech mil.

Po raz pierwszy od czasu, gdy przybyła tu jako żona Fitzwilliamia Darcy'ego, nie obejrzała się ku domowi przed opuszczeniem bram i wyjściem na drogę, która wiodła pod starymi bukami. Nie chciała się odwracać w obawie, że okaże się to fatalne dla jej potrzeby uporządkowania własnych myśli i przygotowania się na przyszłość. Nie zatrzymała się, by po raz ostatni rzucić okiem na imponującą fasadę z surowego szarego kamienia z portykami i zwieńczeniami, które przydawały całości takiej gracji i symetrii, że w Pemberley oddychało się atmosferą prawdziwej harmonii. Postanowiła, że nie da się znowu oszukać równowagą i nastrojem tego dworu położonego w kotlinie, gdzie nie kończący się szmer strumienia przynosi ukojenie od przyniatających myśli, a zalesione wzgórza chronią dom i budynki gospodarcze przed burzą i wiatrem.

Od tej chwili wiedziała, że nie jest to dom sprawiedliwej i troskliwej rozwagi. Tkwiły w nim uprzedzenia i niechęci. Nie było tu miejsca na miłość; królowała dyscyplina i karność, a mężczyźni żyli żądzą zachowania ziemi i pieniędzy. Już nie wierzyła, że te przyjemne pokoje, uprzejme rozmowy, piękne widoki, polany i doskonałe grunty są miarą szlachetności towarzystwa. Wręcz przeciwnie; teraz zrozumiała, że prawdę można znaleźć tylko wśród biednych i wydziedziczonych, którzy muszą mówić głośno i otwarcie, jeśli chcą mieć własny głos, lub siedzieć cicho przez kolejne stulecie i dać się rozdeptać przez swoich panów. Pemberley to symbol wszystkiego, co fałszywe i nieprawdziwe, więc opuszczając bramę nie spojrzała w stronę dworu przez szpaler buków ze starymi liśćmi umierającymi od ostatniej zimy, który stanowił granicę królestwa pana Darcy'ego. Gdyby jeszcze raz znalazła się w tym domu, gdzie czuła się taka szczęśliwa, odbyłoby się to w innym nastroju i z całkiem innymi oczekiwaniami, o których mówiła w przeszłości. Nie sądziła jednak, że tam przyjdzie i nie przypuszczała, że słuchano by jej, gdyby przemówiła. Ci, którzy cieszyli się względami Pemberley, już wcześniej nauczyli się milczeć, albo też urodzili się ze znajomością starego porządku rzeczy. Nawet Miranda tego nie kwestionowała. ..

Elżbieta szybkim krokiem pokonywała drogę do miasteczka. Dobrze wiedziała, że jest więcej powodów do wstydu. Pani Bennet, jej własna matka, doprowadziła rodzinę Darcych do ruiny, co wcześniej, bez wątpliwości, przepowiedziała lady Katarzyna. Pani Bennet uczestniczyła w ślubie swego wnuka! Została oszukana i zaprezentowała się jako prostytutka, kompanka jakiejś kobiety o niemal kryminalnej reputacji... Okazała się idiotką i można było powiedzieć, że Darcy od początku miał rację, mówiąc, że w rodzinie pani Bennet tkwi zarówno szaleństwo, jak i wyraźny brak rezultatów wychowania, którego należało się spodziewać po szlacheckiej córce. Darcy był z pewnością poinformowany, myślała Elżbieta, o uczestnictwie teściowej w tym haniebnym wydarzeniu. Uprzedził syna, że musi unikać towarzystwa lady Harcourt i jej kompanów, pod groźbą trwałego pozbawienia praw pierworództwa, gdyby go w nim zobaczono. Edward zaś okazał się nieposłuszny i... cóż za głupiec... poślubił ładacnicę, podsuniętą na przynętę przez jakiegoś szantażystę jako symbol nieustannego wstydu i hańby rodziny.

Elżbieta pomyślała, że dawniej cierpiałaby bardziej z powodu ujawnienia nedorzeczej łatwowierności matki oraz wyrachowania i głupoty Lidii. Byłaby zawstydzona i pełna skruchy, tak jak wtedy, gdy w pierwszym okresie znajomości z Darcym dowiedziała się o jego roli wybawcy Lidii z owej fatalnej ucieczki z kapitanem Wickhamem i zrozumiała, że popełniła błąd, osądzając pana Darcy'ego bez wiedzy o jego wielkodusznej ingerencji... oraz o prawdziwej naturze Wickhama, która objawiła się zarówno Darcy'emu, jak i jego kuzynowi, pułkownikowi Fitzwilliamowi.

Pani Bennet wciąż dostarczała powodów do wstydu i Elżbieta o tym wiedziała. Wszak była już sprawa niejakiego pułkownika Kitchinera, która okazała się wyjątkowo przykra i – jak przewidywała lady Katarzyna – zbrukała cienie Pemberley. Jednak tym razem matka przeszła samą siebie. Czymże bowiem był nieodpowiedni adorator (którego pani Bennet niewątpliwie zachęcała tuż po znalezieniu się w stanie

wdowieństwa) w porównaniu z entuzjastycznym zawarciem znajomości z kimś takim jak owa lady Harcourt?! I któż inny jak nie pani Bennet – z jej nerwami i najnowszym upodobaniem do migreny – mógł być tak ślepy, by dać się oszukać kobiecie o złej reputacji?

A jednak, rozmyślała Elżbieta, jej matka zaznała ciężkiego życia... z pewnością znacznie cięższego niż matka pana Darcy'ego... przez niemal ćwierć wieku znosząc niecierpliwość i irytację męża oraz brak zrozumienia córek. Jako gościa Pemberley – z nieuchronnych dorocznych okazji, które widywały pod tym dachem także lady Katarzynę de Bourgh – lekceważono panią Bennet z taką regularnością, a przy tym z taką troską i finezją, że tylko Elżbieta czuła, iż policzki jej płoną z upokorzenia. Oglądanie pani Bennet nieświadomej obelg, jakimi ją obdarzała pani Hurst i inne okoliczne damy, niewątpliwie zachęcane do dokuczania matce pani Darcy (co miało być sposobem na spędzenie miłego wieczoru w Pemberley) bywało czasami trudne do zniesienia, ale Darcy na swój męski sposób niczego nie zauważał i Elżbieta po kilku próbach zwrócenia mu uwagi na ów pościg jego gości za ofiarą, porzuciła ten temat i cierpiała w milczeniu lub, jeśli była przy tym Jane, wraz z siostrą.

Teraz Darcy potępiał jej matkę podwójnie. Po pierwsze: jej rodzina była obłąkana, po drugie: pani Bennet zaaprobowала ślub Edwarda. Elżbieta czuła jedynie oburzenie, iż domniemywano, że jej matka właśnie tak rozumowała, ponieważ pani Bennet, zawojowana rzekomą świetnością lady Harcourt, z pewnością nie mogła wiedzieć, dokąd ani nawet po co jedzie do Londynu.

Zmierzając do Threlwell drogą, którą tak często dla rozrywki lub na cotygodniowy jarmark chodziła z Edwardem, gdy był chłopcem, Elżbieta wiedziała, że wyzbywa się wszelkiej myśli o przyszłości syna. Jej umysł pochłonięty był teraz jedynie upokarzającym przypuszczeniem Darcy'ego o odpowiedzialności, jaką w tej okropnej sprawie ponosi pani Bennet. Nie umiała, tak samo jak wielokrotnie wcześniej, zastanawiać się nad najnowszym wybrykiem Edwarda. Nie wiedziała, co mogło się z nim teraz stać, skoro postąpił tak nieroztropnie i porywczo, ale nie wierzyła, by chłopiec mógł być ożeniony zgodnie z prawem – nie w jego wieku... nie w takich okolicznościach... – i stwierdziła, że najbardziej irytujące było to, iż Darcy musiał mieć zarówno jakiś pogląd, jak i wiedzę w tej sprawie, ale nie podzielił się tym z żoną. Fakt, iż syn okazał się nieposłuszny i wpadł w szpony tej nikczemnej kobiety, był karygodny, to mogła zrozumieć. Jednak w głębi duszy podejrzewała, że Darcy znalazł kolejny powód, by go wydziedziczyć, że pragnął tego od chwili, gdy chłopiec miał siedem lat, i że były podstawy do okazywania wzdury głupocie i wulgarności pani Bennet. Z każdym błędem lub głupstwem, popełnionym przez syna bądź teściową, rosła jego władza nad żoną. Elżbieta zrozumiała teraz to, z czego wcześniej nie zdawała sobie sprawy aż tak wyraźnie. Znajdzie drogę do nowego życia, nawet gdyby oznaczało to odsunięcie się od Darcy'ego. Znajdzie sposób, by szanować siebie, skoro nie mogła szanować jego.

Rozdział 33

Na przedmieściach Threlwell widać było większe niż zazwyczaj ożywienie, a także ogromną – nawet jak na dzień targowy w samym środku lata – liczbę ludzi i Elżbieta poczuła, że ów tłum porywają i niesie wąskimi brukowanymi uliczkami w stronę rynku. Coś się miało wydarzyć, była podekscytowana, ale nie czuła lęku, choć przechodząc odbierała wiele zdumionych spojrzeń. Prawdopodobnie odbywał się tam koński jarmark, a może przyjechał wędrowny cyrk clownów i akrobatów, tak lubiany przez Edwarda w dzieciństwie. Wokół panowała jednak atmosfera większego napięcia i oczekiwania, i jeśli Elżbieta przez chwilę miała przyprawiające o mdłości wrażenie, że oto motłoch szuka kary na jakąś zbrodniarkę, to równie szybko zorientowała się, że także i to nie było nastrojem owego tłumu. W rzeczy samej poszukiwano tutaj sprawiedliwości, lecz czyniono to nowymi i odmiennymi środkami.

W środku placu ozdobionego flagami i transparentami, na wąskim drewnianym podium stały trzy postaci, czekając, aż tłum znajdzie sobie miejsce. W soboty znajdował się tu zwykle żywy inwentarz oraz stragany z bawełną i artykułami gospodarstwa domowego, ale dziś mieszkańcy Threlwell nie myśleli o targu, co widać było zarówno we wciskaniu się we wszystkie zakątki, gdzie zwykle uprawiano handel, jak i w skupieniu wokół wysokiej postaci, która wystąpiła do przodu na podium. Fakt, iż był to młodszy pan Gresham, co dla Elżbiety stało się jasne, gdy tłum popchnął ją w tamtą stronę, potwierdziło skandowanie jego nazwiska i pełen podniecenia aplauz, jakim powitano jego pojawienie się na owej trybunie. Gdy zaczął przemawiać, zapadła pełna skupienia cisza i tylko płacz jakiegoś dziecka i szczekanie psów obok mieszczącej się po drugiej stronie giełdy zbożowej zakłócały jego perorę, przyjmowaną z powszechnym zadowoleniem.

Elżbieta słuchała jej także, pragnąc zrozumieć, ośmielić i wspierać wszystkie przedsięwzięcia, które ogłaszał teraz syn zarządcy Pemberley. Zdawała sobie sprawę, iż jest świadkiem pewnego nowego momentu, pewnej chwili w historii, która miała położyć kres owej wielkiej posiadłości, gdzie ona była panią, i... gdyby się tak stało, mogłoby się to okazać najgorsze dla wszystkich tamtejszych spadkobierców. Ci ludzie – a rozpoznając twarze dzierżawców i najemnych robotników z Pemberley, liczyła, że było tam więcej takich, którzy szukali dla siebie nowej pozycji – zmieniliby się i dłużej by na to nie czekali. Tkwiła w nich wielka potrzeba równości i niezależności i czuło się radość z uwolnienia się z owego systemu wyborczego, na co – Elżbieta zdawała sobie z tego sprawę – taktycznie zezwolił pan Darcy i ludzie tacy jak on. Istniała pełna konieczność reform.

Elżbieta wierzyła w słuszność tej sprawy. Myślała o swoim nieszczęsnym synu, który musiał być uniewinniony przez wygnanie z ziemi, do której ci ludzie mieli bardziej uprawnione roszczenia niż on... Czyż bowiem nie pracowali na niej dzień i noc, tydzień po tygodniu, podczas gdy jakiś młody nicpoń potrafił to, co było podstawą ich utrzymania, przegrać w karty gdzieś daleko na południu, w Londynie? Czyż nie powinien istnieć jakiś system, który w ogóle zniósłby prawa dziedziczenia? Ale tu Elżbieta zrozumiała, że w swoich radykalnych poglądach i nowych przekonaniach prześcignęła nawet pana Greshama, który był realistą i bardzo ostrożnym politykiem. Prowadził kampanię wyborczą, mając na celu reformy, i ludzie szli za nim z rosnącą radością i aprobatą.

Pan Gresham dostrzegł w tłumie Elżbietę i przerwał na chwilę swą przemowę, nie mogąc oderwać od niej oczu. Inni także zauważyli panią na Pemberley i cofnęli się nieco, tak iż miała nieprzyjemne uczucie izolacji, tej samej, jaką przez wiele lat starała się pokonać na uroczystościach i przyjęciach dla pracowników posiadłości oraz ich żon i dzieci, ale tutaj właśnie ci ludzie, którym najbardziej chciała pomóc, nie zaprzeczali jej odrębności. Wiedzieli, że doceniają jej troskliwość i szczodrość, ale przepaść między nimi nigdy się nie zmniejszyła, gdy była zameżna z panem Darcym... z panem na Pemberley.

Nagle rozległ się jakiś pomruk i nawet słowa pana Greshama w nim utonęły. Dwaj obecni w tym tłumie robotnicy z majątku, którzy mieszkali w wiosce w warunkach niewiele lepszych niż zwierzęta, którymi się opiekowali, wywołali buntowniczy nastrój, wymachując drewnianymi sztachetami używanymi do ogradzania Pemberley i Elżbieta usłyszała swoje nazwisko. Brzmiało ono „Darcy”, bez względu na to, czy by się go wyparła, czy nie. Jej próby przekonania męża, że owe chaty, gdzie ludzie żyli z licznym potomstwem w brudzie i nędzy, powinny być rozebrane i zbudowane od nowa, przechodziły bez echa... lecz skąd mieli o tym wiedzieć? Skąd mieli wiedzieć, że opiekowała się starym panem Greshamem i odwiedzała go... Czuła teraz niechęć Threlwell, która skupiła się na damie ze wspaniałego dworu i zobaczyła niepokój i

oddanie w oczach pana Greshama, który zrozumiał, że Elżbieta zgadza się z jego zasadami i że pragnie go wspierać w owej krucjacie, chociaż sama znajduje się po drugiej stronie.

Pan Gresham zszedł z podium i podszedł ku tym krzykaczom. Szanowali go, więc gdy zobaczyli gniew w jego oczach, ucichli. Potem rozległ się jakiś głos pełen oburzenia. To krzyk jakiegoś szesnastolatka, pomyślała Elżbieta, rozpoznając w nim głos syna robotnika, Jacka Martina, który niegdyś był jednym z kolegów Edwarda w wiosce Pemberley. Ten głos domagał się informacji o miejscu pobytu młodego panicza Darcy'ego i żądał,

aby powiedziano, czy prawdą jest to, co mówiono, że panicz Edward oddaje się w Londynie rozpuście i hazardowi, podczas gdy tutaj, w Threlwell, cały ten kiepski rok ze spadającymi cenami za żywy inwentarz wpędza ludzi do grobu. Czy zatem spadkobiercy pana Darcy'ego dobrze się powodziło, czy też wiodło mu się tak jak wszystkim?

Elżbieta zbladła, bo w tłumie zadźwięczał śmiech i wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę. Nie mogła dostrzec pana Greshama, który zgubił się w tłumie, tracąc ją z pola widzenia. Ledwie jednak znalazła nieco czasu, żeby znów się obwinie, tym razem za pozbawienie młodego architekta chwili triumfu w tych najdonioślejszych dniach, gdy z bocznej ulicy za giełdą zbożową zbliżyła się do niej jakaś wyższa postać i w milczącym przyzwoleniu, utwierdzonym wieloma stuleciami szacunku, tłum cofnął się, by pozwolić owej postaci przejść.

Karol Bingley podszedł do Elżbiety i pochylił głowę w innym niż zazwyczaj ukłonie.

– Pani Darcy... Elżbieta?

Ciszę, jaka zapadła tego dnia na placu targowym w Threlwell, poczuły nawet dzieci, które kwiliły i bawiły się u stóp rodziców. Wszak pani Darcy musi pójść ze swoim szwagrem; to nie miejsce dla niej i nie powinna sama tu chodzić. Pani Darcy... pani na Pemberley... Musi wsiąść do powozu, a tu jest ktoś, kto niby z łaski Opatrzności przychodzi, by przywrócić ją owemu stanowi przepychu, do którego, przynajmniej w ich przekonaniu, należała.

Elżbieta poszła z Karolem Bingleyem; wiedziała, iż to niemożliwe, by kobieta z jej pozycją mogła tego publicznie odmówić i że ściąganie na siebie uwagi naraziłoby przyszłość jej męża na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Powóz toczył się z powrotem ku Pemberley, a Elżbieta, siedząc w nim, obróciła oczy ku oknu, by Karol Bingley nie widział jej łez.

– Kochana szwagierko... – mówił, a był dobrym i zatroskanym człowiekiem, co zrozumiała – wpadliśmy do Pemberley z nadzieją, że cię zobaczymy, bo Jane mówi, że jesteś tu zupełnie sama i że to musi być okropnie nudne...

– Jane przyjechała z tobą? – zawołała Elżbieta, rozjaśniając się, gdy dotarli do bramy i jechali parkiem w stronę domu, złoczonego teraz promieniami zachodzącego słońca i stojącego niczym namalowany w swych ozdobnych ogrodach.

– Sądzę, że nie powinnaś chodzić tak daleko jak do Threlwell bez żadnej eskorty – rzekł Karol Bingley, marszcząc brwi, ale zanim ostatnie słowa padły z jego ust, Elżbieta wyskoczyła z powozu i pobiegła ku siostrze, która stała na schodach u zachodnich drzwi dworu Pemberley.

Rozdział 34

Elżbieta, siedząc z Jane w buduarze, nie jeden raz czuła niesprawiedliwość swojej pozycji, ale Jane, którą tak bardzo kochała i która była tak sprawiedliwa i rozważna w sądach, zawsze ją uciszała i nawet w sprawie listu Lidii zacna pani Bingley znalazła słowa roztropności i zrozumienia.

– Kochana Lizzy... to było trudne również dla Darcy'ego... Wszak list, który otrzymał od pana Collinsa...

– Od pana Collinsa?! – zawołała Elżbieta, krzywiąc się z niesmakiem na wspomnienie o tym człowieku, który prawem majoratu odziedziczył Longbourn i poślubił jej dawną przyjaciółkę, Charlotte, zamieniając tym małżeństwem młodą pannę Lucas w niepozorną, potulną, cierpliwą żonę pana Collinsa, będącą wszystkim, co z niej pozostało.

– Tak... pan Collins napisał do pana Darcy'ego, że mama pochwała to... to małżeństwo Edwarda z jakąś kobietą nazywaną siostrzenicą lady Harcourt! Napisał też, że mama już wcześniej wiedziała, że ten ślub ma się odbyć, bowiem swobodnie pokazywała zaproszenie.

– To niemożliwe – rzekła Elżbieta, która zrozumiała, że jej siostra i szwagier cieszyli się zaufaniem pana Darcy'ego, którego ona nie miała, i mimo przekonywania samej siebie, by się przed tym powstrzymać, cierpiała prawdziwe katusze. – Czy wyobrażasz sobie, Jane, że mama mogła przypuszczać, iż jest zaproszona na ślub Edwarda? Taka myśl jest zupełnie niedorzeczna!

– Darcy jedynie uwierzył w to, co zostało mu powiedziane przez męża Charlotty – odparła spokojnie Jane. – Wiadomości pana Collinsa były rezultatem jakiejś informacji sir Williama Lucasa, który natknął się na Edwarda – lub kogoś podobnego – w Londynie, w towarzystwie jakiejś młodej kobiety. To zaś, w połączeniu z naturalnym lękiem, po ujawnieniu przez mamę, że wysłała lady Harcourt pieniądze, skłoniło pana Collinsa do napisania listu, co też uczynił.

Wszystko dobrze, pomyślała Elżbieta, ale Darcy wciąż nie zadaje sobie trudu, by pomyśleć o prawdziwej naturze naszej matki i zupełnym nieprawdopodobieństwie jej wyjazdu do Londynu, by oglądać tam ślub wnuka, skoro nawet nie osiągnął on wieku odpowiedniego do małżeństwa.

– Mama była dotknięta, że nie zaproszono jej do Pemberley na ślub pułkownika Fitzwilliama – rzekła Jane.

Tak, tym razem Elżbieta musiała przyznać, że zrozumiała to aż nazbyt jasno: pani Bennet chełpiła się swymi wspaniałymi koneksjami w Londynie i zaproszeniem na ślub, który rzekomą doniosłością miał prześcignąć wesele w Pemberley.

– Ależ pan Collins źle mamę zrozumiał! – powiedziała Elżbieta. – Jestem tego pewna. Darcy'emu zaś nie zależało na tym, by odkryć prawdę, zanim ją oskarżył i odtrącił Edwarda. Uwierzył panu Collinsowi. Jest pełen uprzedzeń, Jane, przykro mi to mówić!

– Ty zaś jesteś pełna dumy, Lizzy – cicho odparła Jane. – Wszak nie dałaś Darcy'emu szansy, by mógł ci przekazać następną i, muszę to powiedzieć, najbardziej nieprzyjemną wiadomość. .. od samej lady Harcourt, która próbuje wydrzeć z niego pieniądze w zamian za milczenie na temat tego tak zwanego małżeństwa.

Elżbieta zamilkła na te słowa, ale Jane zauważyła, że jej siostra zagryzła wargi i spoglądała teraz wszędzie, tylko nie na nią.

– Darcy zdecydowanie odmówił, jak się zapewne domyślasz, ale doniesienia o aprobacie naszej mamy nie pomogły tej sprawie. Widzę, że się dziwisz, dlaczego Darcy nie przyszedł z tym do ciebie – mówiła dalej Jane – i nie zapytał cię o opinię o tych wypadkach, kiedy się wydarzyły, ale on musi ci wybaczyć owe raniące słowa, które padły, gdy z nim rozmawiałaś o wychowywaniu chłopca. Podobnie jak ty musisz mu wybaczyć jego słowa na temat mamy.

– A więc opowiedział ci o naszej wymianie słów, gdy wróciłam z Matlock... – rzekła Elżbieta z pewną goryczą.

– Rozmawiał z Karolem. Darcy cię kocha, Elżbieto! Pragnie tylko przywrócić harmonię w rodzinie...

– Jak to możliwe?! – zawołała Elżbieta z płonącymi oczami, które Jane pamiętała z czasów, gdy jako siostry sprzeczały się i raniły wzajemnymi oskarżeniami. – On jest potworem, Jane... Wszak nie można mu

wybaczyć postawy wobec Mirandy!

– Wobec Mirandy?! – spytała Jane z wyrazem prawdziwego zdumienia. – Przecież Miranda jest szczęśliwa przez cały boży dzień! Mam nadzieję, że zechcesz nam wybaczyć, iż tak długo zatrzymujemy ją w Barlow; przynosi tam ulgę wszystkim naszym chorym zwierzętom i wnosi radość wszędzie, gdzie się pojawia.

– Darcy zgodził się na jej małżeństwo z Tomaszem Roperem. Jane, czyż nie poinformował was o tym? Ona zaś – mówiła dalej Elżbieta, a Jane patrzyła na nią ze zdumieniem – w ogóle nie odrzuciła tych oświadczeń! To wprost nie do opisania!

Po tych słowach, jakby właśnie teraz należało nadrobić ów czas, który minął bez ulegania najgłębszym emocjom, Elżbieta wybuchnęła płaczem i nie mogła się uspokoić, dopóki nie otoczyły jej ramiona siostry.

– Lizzy, śmiałybym się, gdybyś nie płakała tak okropnie – rzekła Jane, kiedy wreszcie mogła już dojść do słowa. – Wszak Miranda za nic na świecie nie rozważałaby poślubienia pana Ropera. Jak wpadłaś na ten pomysł, moja biedna Elżuniu?

Z udzielonej zduszonym głosem odpowiedzi Jane zrozumiała, że pan Roper szedł za Elżbietą przez park, że powiedział jej o zgodzie pana Darcy'ego... i że powiedział, w wielu słowach, iż Miranda skorzysta ze sposobności, by spędzić życie w Pemberley.

– Moja biedna siostrzyczko – odparta ze śmiechem Jane, a Elżbieta, widząc to mylne zrozumienie, jeśli takim rzeczywiście było, spoglądała na nią lękliwie. – Pan Darcy ustanawia Mirandę zarządczynią Pemberley. Stary pan Gresham szczęśliwie wraca do zdrowia, ale jest słaby i nie może się podjąć ponownego zarządzania tak wielką posiadłością...

– Miranda zarządczynią Pemberley? – powtórzyła Elżbieta, której znowu przyszło się zdziwić.

– ...i gdybyś mu pozwoliła, sam by ci o tym powiedział – mówiła dalej Jane – ale spędził u nas jedynie krótką chwilę w drodze do Londynu...

– Jest więc w Londynie... – powiedziała głuchym głosem Elżbieta.

– Do tego czasu być może już wrócił do Kympton, Lizzy... Przykro mi, że więcej wiem o przedsięwzięciach pana Darcy'ego, niż ty sama! Jednak dla niego jest oczywiste, że Pemberley pilnie potrzebuje nowego zarządzania; zagranicą, wszędzie panuje nowe nastawienie...

– W istocie – przyznała Elżbieta i opowiedziała Jane o wiecu w Threlwell i o sukcesie, jaki pan Gresham odniósł w wyborczej walce o sprawę postępu.

– Pan Darcy jest człowiekiem, który może wprowadzić nowe metody gospodarowania – stwierdziła Jane. – Słowa są bardzo piękne, ale właściciel ziemski ma siłę, by pokazać rezultaty nowego podejścia. Miranda go przekonała...

– A co z potrzebą poprawienia warunków życia dzierżawców? – zapytała Elżbieta.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i pojawił się w nich Karol Bingley, uśmiechając się przepraszająco za to, że zakłóca tę konferencję obu sióstr.

– Przysłano mnie, abym się dowiedział...

– Przysłano? Cóż to może być? – zapytała Elżbieta, wstając nerwowo. – Czy ktoś jest chory?

– Tylko tak chory, jak można się tego spodziewać po człowieku ze złamanym sercem – rzekł pan Darcy, wchodząc do pokoju i... wyglądając wyraźnie przystojnie, co Elżbieta zauważyła z pewną przykrością. – Jeśli mogę, odpowiem na twoje pytanie na temat dzierżawców i wieśniaków w Pemberley, moja najukochańsza Elżbieto: to ty, a nie tylko Miranda, przekonałaś mnie, że musimy iść z duchem czasów...

– ...i okazywać uprzejmość oraz szacunek wobec ludzkiej równości – powiedziała Elżbieta stanowczym tonem, co jednak przeszło nie dosłyszane przez pana Darcy'ego.

– Miranda będzie wyborną zarządczynią i nie będzie żadnego powodu do skarg z czyjejkolwiek strony w posiadłości ani roszczeń o uprawnienia – rzekł Darcy z miną wskazującą, iż jest to decyzja ostateczna – aleja, najdroższa Elżbieto, przychodzę prosić, abys mi wybaczyła...

Jane skinęła na męża, by oboje wyszli z pokoju, a potem uśmiechając się wzniosła oczy ku niebu w poszukiwaniu zrozumienia ze strony siostry i lekkim krokiem zbiegła po schodach.

– Przybywam z Londynu, najukochańsza Elżuniu, spiesząc się, bo nie mógłbym już przeżyć kolejnego dnia i nocy, nie widząc ciebie.

– Doprawdy? – odparła Elżbieta.

– W naszym londyńskim domu brakuje pewnej liczby tabakierok i bibelotów – mówił Darcy z

uśmiechem – ale nosi on także ślady pewnego gościa: pani Wickham, jeśli chcesz wiedzieć...

– Lidia?! – wykrzyknęła Elżbieta.

– Nie zadawałem służbie zbyt wielu pytań o szczegóły jej obecności – rzekł pan Darcy – w każdym razie nie więcej, niż o te artystyczne przedmioty, którymi okazała się napełnić swój sakwojaż. Jednak upewniłem się u pani Blandford, która jest, jak wiesz, gospodynią równie godną zaufania jak jej siostra, pani Reynolds, w Pemberley, że pani Bennet nie domyślała się prawdy o owym ślubie, którego miała być świadkiem u lady Harcourt. W rzeczywistości była nim głęboko wstrząśnięta i rozchorowała się z tego powodu. Proszę cię o wybaczenie tych okrutnych słów, które powiedziałem o twojej matce i błagam, abyś zechciała ukoić ból, jakiego doznawałem będąc z dala od ciebie.

Wiele jeszcze miało być powiedziane, a stanowczość Elżbiety, chociaż słabsza już po minucie, wciąż była wystarczająco silna, by pani Darcy mogła nalegać na informacje o przyszłości syna, jakkolwiek sporny, niestety, miałby się nieuchronnie okazać ów temat. Jednak tym razem w odpowiedzi, jakiej udzielił jej pan Darcy, znalazło się nowe zrozumienie, a ponieważ informacji tej towarzyszyło solenne przyrzeczenie, iż mąż będzie dzielił się z nią wszystkimi decyzjami dotyczącymi przyszłych działań podejmowanych dla dobra dzieci, postanowiła wysłuchać go z pewną bezstronnością.

– Oboje wiemy, moja Elżuniu, że Edward nie jest obecnie przygotowany do dźwignia ciężaru odpowiedzialności właściwej statusowi dziedzica Pemberley. Pojechałem więc z Kympton do Londynu, gdzie zasięgnąłem rady moich adwokatów... będzie to długi proces... ale znajdę sposób, by skończyć tutaj z majoratem, który jest w tym wszystkim prawdziwym winowajcą.

– Skończyć z majoratem? – pytała Elżbieta, jakby nie mogła uwierzyć własnym uszom, a ponieważ w tej samej chwili Jane i Karol ponownie weszli do pokoju, więc powtórzyła te słowa jeszcze raz.

– Należy mnie skarcić – rzekł Darcy ponuro – za to, że nie umiałem się powstrzymać od poinformowania o tych zamiarach pułkownika Fitzwilliama. Powinienem przewidzieć, że on przekaze sedno tych słów lady Sophii, ale ona przekreśli ich znaczenie. Edward nie jest wydziedziczony...

– Nie?! – wykrzyknęła Elżbieta.

– Pemberley przejdzie zarówno na Edwarda, jak i na Mirandę – rzekł Darcy, na co Karol Bingley aprobując skinął głową, a Elżbieta podbiegła do Jane i złapała ją za rękę. – Miranda będzie, jak wiemy, doskonałą zarządczynią, a Edward, osiągnąwszy dojrzałość, zwiększy swe obowiązki, stosownie do pomyślności, którą uzyska jako właściciel ziemski nadzorujący nasze posiadłości. Obecnie pełni obowiązki zarządcy posiadłości walijskich i uczy się. Mam nadzieję, że leśnictwo okaże się znacznie ciekawszym zajęciem niż trwonienie ogromnego areалу drzew przy grze w kości.

Elżbieta stanęła w końcu u boku swego męża, który teraz trzymał ją z uśmiechem na długość ramienia.

– Zapadła też w istocie pewna decyzja, Elżuniu, którą miałem czelność podjąć bez ciebie, ale ufam, że potrafisz mi to wybaczyć.

Elżbieta zażądała odpowiedzi, cóż to za postanowienie, ale zobaczyła, że oczy Jane zajaśniały i obróciły się ku obrazowi widocznemu przez drzwi wiodące do jej sypialni; temu, na który z takim oczekiwaniem spoglądała ze swego wielkiego łóżka.

– Rano wyjeżdżamy do Wenecji – rzekł pan Darcy – jeśli tylko się na to zgodzisz, Elżuniu!

Po tym wydarzeniu przez kilka tygodni nie widziano Elżbiety i Darcy'ego w Pemberley. Nie ogłoszono, że wyjechali daleko i nie wrócą punktualnie do Yorkshire, gdzie niebawem miał się zacząć sezon łowiecki. Państwo Gardinerowie, którzy gościli tam w czasie nieobecności państwa Darcych (bo pan Gardiner lubił wrzosowiska i wędkowanie), dostali od Elżbiety list z Włoch. Nie informowali oni nikogo oprócz Jane Bingley, że ich siostrzenica jest w Wenecji bardzo szczęśliwa, ale niecierpliwie oczekuje powrotu do Pemberley, gdzie tak wiele będzie do zrobienia przy zakładaniu włoskiego ogrodu, na który razem z panem Darcym się zdecydowali. Pan Gresham miał przygotować projekt, pan Darcy zaś wcześniej spędził nieco czasu, przekonując żonę do atrakcyjności takiego ogrodu.

Pan Falk, którego poinformowano, że może zostać w Pemberley tak długo, jak mu się podoba, miał do opowiedzenia szczęśliwej parze w dniu jej powrotu do domu wiele anegdot o weneckich papieżach i malarzach. Jedynym komentarzem starego preceptora na temat wszystkich obecnych i przyszłych spadkobierców Pemberley było stwierdzenie, że „ani mężczyzna ani kobieta nie są warci czegokolwiek, dopóki nie odkryją, że są głupcami. To jest bowiem pierwszy krok, abyśmy się stali godnymi zarówno poszanowania, jak i sympatii; a dopóki to się nie stanie, nie ma nadziei. Im szybciej dokonuje się takiego odkrycia, tym lepiej, ponieważ ma się więcej czasu i siły, by czerpać z tego korzyści”.

Fakt, iż Elżbieta przestała spoglądać na pana Darcy'ego jak na człowieka stojącego wyżej od niej, co już wcześniej nakazywał jej pan Bennet, stał się niebawem widoczny w nowym zarządzaniu posiadłością.

Dzięki Elżbiecie bowiem wzrósł dobrobyt dzierżawców, a to, że widziała w nim człowieka równego sobie, ujawniło się w sposobie, w jaki Darcy zachęcany był do tego, by w Walii spędzał czas z Edwardem sam, bez żony, decydując o wszystkich zajęciach chłopca.

Żona pułkownika Fitzwilliama przyjeżdżała do Pemberley tylko na Boże Narodzenie i inne poważne okazje, ponieważ – jak pewnego dnia podczas spaceru po ogrodach Darcy powiedział ze śmiechem do Elżbiety – *„lady Sophia nie uznaje żadnych półśrodków; jej zdaniem istnieje jedynie wszystko albo nic”*.